

Prolog

Vincent Parsell, szósty hrabia Helsbury, popijał samotnie koniak przy porysowanym stole, za którym mogłoby zasiąść dwadzieścia osób. Deszcz uderzał o szyby, w jadalni było zimno i ciemnowo, ale hrabia Parsell nie zawołał służącego, żeby dołożył do ognia i zapalił świece w kandelabrze. Nie zwracał uwagi na zimną ciemność, która skradała się pod ścianami i prześlizgiwała po podłodze. Cała uwaga hrabiego skupiona była na portrecie wiszącym na przeciwległej ścianie.

Pelen jasnych kolorów obraz w złożonej ramie pozostawał w ostrym kontraście do ponurego pokoju. Za pomocą jakiejś magicznej mieszanki odcieni artyście udało się doskonale uchwycić wizerunek kobiety: czarne loki, upięte w wysoki kok, odsłaniały delikatny zarys twarzy; złoty medalion zawieszony na szyi spoczywał na kremowej skórze; suknia z podniesioną talią ze złotego jedwabiu świeciła się połyskliwie i prowokacyjnie sugerowała ukryte pod nią kształty; pełne czerwone usta uśmiechały się uwodzicielsko; prześliczne ciemnoniebieskie oczy błyszczały od radosnego śmiechu.

Vincent odwrócił wzrok. Ostatni raz, kiedy ją widział - na balu maskowym w Helsbury - w jej oczach nie było uśmiechu. Tego wieczoru zerwała ich zaręczyny.

Podniósł do ust kieliszek i upił duży łyk. Koniak zapiekł w gardle i osiadł w żołądku. Vincent czekał.

Nic.

Zaklął. Pił już od dwóch godzin i nadal nie odczuwał otepiałego ciepła, na które liczył. Odstawił kieliszek i wziął butelkę. Kiedy napełniał kieliszek, kilka brązowych kropli upadło na dębowy stół, a stuk szkła o szkło odbił się echem w ogromnym pomieszczeniu. Vincent zdał sobie sprawę z przejmującej ciszy i pustki w domu.

Głośno odstawił butelkę. Nie był przyzwyczajony do samotności. Zazwyczaj mieszkał tu któryś z jego braci. Teraz jednak wszyscy wyjechali do Londynu. Wszyscy, oczywiście oprócz Gilberta, który wiódł sielankowy żywot z żoną Jane i małym synkiem Jasonem.

Vincent przysłonił oczy dłonią. Gil zawsze różnił się nieco od innych Parsellów - był od nich mniej nieufny i bardziej uparty - ale zaskoczył całą rodzinę, kiedy im powiedział, że się zakochał w Jane. Sam Vincent też się trochę z niego wyśmiewał. Teraz jednak, na wspomnienie szczerych, jasnych twarzy Gila i Jane poczuł się jeszcze żałośniej.

Może powinien pojechać do Elizabeth. Porozmawiać z nią. Przeprzić...

Nie.

Wzdrygnął się na samą myśl. Hrabiowie Helsbury nie przepaszali ani tym bardziej nie upokarzali się przed kobietami. To Elizabeth musi przyjść do niego, i to prędko, bo inaczej może już jej nie zechce...

- Jaśnie panie - odezwał się za nim cichy głos.

Vincent odwrócił się i z trudem skupił wzrok na niskim, ciemnowłosym mężczyźnie w drzwiach. Zmarszczył brwi.

- O co chodzi, Wilmott?

- Najmocniej przepraszam, gaśnie panie, ale właśnie to przyszło.

Wilmott podszedł i podał mu list, po czym wycofał się na odległość pełną szacunku.

- Posłaniec czeka na odpowiedź.

Vincent odwrócił się tyłem do Wilmotta, nie zwracając uwagi na jego ostatnie słowa. W milczeniu wpatrywał się w znajome, kobiece pismo. Przez chwilę zaszumiało mu w głowie, potem się uśmiechnął.

Wreszcie się opamiętała. Wiedział, że tak będzie. Wiedział, że prędzej czy później będzie go błagać o wybaczenie. W jej liście będą smugi łez i wiele ładnych słów przeprosin. Vincent obrócił papier w rękach. Nie był pewien, czy powinien przyjąć list; zachowała się doprawdy okropnie.

List pachniał lekko perfumami przypominającymi wiosenne róże. Vincent wchłonął w siebie znajomy zapach. Poczł mrowienie w łędźwiach i drżenie palców. List wypadł mu z ręki na ciemny stół, na rozlane krople koniaku. Już bez uśmiechu podniósł Ust i złamał pieczęć.

Drogi Vincencie!

Mam nadzieję, iż list ten zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Chociaż rozstaliśmy się w gniewie, chcę Cię zapewnić, że nie żywię do Ciebie urazy. Chciałabym, abyś i Ty nie wracał myślą do przeszłości. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Zamknął na sekundę oczy. Nie, nie chciał wracać do przeszłości. Tak, chciał, aby byli „przyjaciółmi”. Bardzo chciał. Być może wybaczy jej w końcu. Zemści się za jej upór po ślubie - przez tydzień nie wypuści jej z łóżka...

Otworzył oczy i z lekkim uśmiechem na ustach czytał dalej:

W duchu przyjaźni chciałabym Cię prosić, żebyś zwrócił portret, który ci dałam w prezencie zaręczynowym. Jestem pewna, iż przyznasz mi rację: nie jest to coś, co powinieneś zatrzymać. Zwłaszcza teraz, kiedy się zakochałam w kim innym i mam wkrótce wyjść za mąż.

Słowa rozmazały mu się przed oczyma. Poczul, że krew zamarza mu w żyłach. W pokoju zrobiło się ciemno. W skroniach coś mu waliło, a w uszach głośno dzwoniło.

- Czy będzie odpowiedź? - spytał Wilmott.

Vincent gapił się na niego bezmyślnie.

- Jaśnie panie - dopytywał Wilmott, marszcząc z niepokojem ciemne, gęste brwi. - Czy będzie odpowiedź?

Vincent spojrzął na list, który ścisnął zmięty w zaciśniętej dłoni. Wciągnął głęboko powietrze. Wstał, gwałtownie odsuwając krzesło.

Nie odpowiadając zdumionemu lokajowi wyszedł z pokoju do marmurowego holu, gdzie czekał przemoczony służący, który nerwowo obracał w rękach mokry od deszczu kapelusz.

Vincent wyciągnął do niego zmięty papier.

- Ty to przyniosłeś?

Krępy posłaniec zacisnął palce na kapeluszu. Z jego peleryny ściekała na podłogę strużka wody.

- T-t-tak, jaśnie panie. Panna Yale powiedziała, że mam przynieść ten obraz - kiwnął głową w stronę płótna stojącego pod ścianą - i w zamian dostać inny obraz od pana. Czeka na mnie powóz.

Oddała jego portret? Vincent z wysiłkiem powściągnął wściekłość.

- Pannie Vale musi bardzo zależeć na tym obrazie - stwierdził.

- To prawda - powiedział posłaniec, znów kręcąc nerwowo kapeluszem. - Chce go dać hrabiemu Havershamowi.

Vincent poczuł, że sztywnieją mu mięśnie szyi i ramion.

- Haversham? - powtórzył. - Wychodzi za Havershama?

- Tak, proszę pana. Jutro.

Vincent zobaczył przed oczyma czerwoną mgłę. Haversham. Jutro wychodzi za hrabiego Havershama. Najbogatszego mężczyznę w kraju - i największego fircyka.

Głupia baba. Chciwa, niewierna baba.

Vincent odwrócił się do Wilmotta i powiedział przez zaciśnięte zęby:

- Zawołaj trzech ludzi i zdejmijcie portret ze ściany.

Posłaniec postąpił krok w przód.

- Chętnie pomogę, proszę pana.

- To nie będzie konieczne - odparł Vincent, obrzucając go przelotnym spojrzeniem. - Nie zabierzesz obrazu do swojej pani.

Posłaniec otworzył usta.

- Ale... ale co powiem panie Yale?

Vincent spojrzał na niego zmrużonymi oczyma.

- Możesz poinformować pannę Yale, iż zamierzam rozniecić największe w tym hrabstwie ognisko i spalić jej portret. Jestem pewien, że kilka wieków temu zginęłaby na stosie razem z obrazem. A teraz - dodał niebezpiecznie cichym głosem - proponuję, żebyś się stąd wyniósł, zanim wyrwę ci flaki i rzucę twój zewłok krukom.

Posłaniec przestał kręcić kapeluszem, wcisnął go na głowę i odwrócił się na pięcie, omal nie przewracając się w kałużę u jego nóg. Szybko zniknął za drzwiami.

Z nieprzyjemnym uśmiechem na ustach Vincent spojrzał na Wilmotta, stojącego nieruchomo pośrodku holu.

- I co? - spytał, nadal tym samym cichym głosem.

Wilmott otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zamiar. Pospiesznie ruszył do schodów dla służby.

Vincent wrócił do jadalni. Wziął kieliszek z koniakiem i wypił jednym haustem. Kiedy schylił się, żeby odstawić kieliszek, jego wzrok jeszcze raz padł na obraz.

Niebieskie oczy rozświetlały niemal ciemny pokój. Śmiały się do niego, czarując i drwiąc z niego jednocześnie. Prawie słyszał jej śmiech. Niski, kuszący śmiech, który doprowadzał człowieka do szaleństwa z pożądania.

Zacisnęła dłoń na pustym kieliszku.

Teraz Haversham będzie słuchał tego śmiechu. Do niego Elizabeth będzie się słodko uśmiechać i obdarzać pocałunkami. Haversham będzie miał ją w ramionach, w łóżku...

Nie!

Z całej siły rzucił kieliszkiem przed siebie. Uderzył o ścianę i rozsypał się na setki błyszczących okruchów. Vincent odwrócił się na pięcie i podszedł do drzwi, omal nie wpadając na służących, którzy akurat wchodzili.

Spojrzeli na niego i cofnęli się z przestraszeniem.

- Niech jeden z was dopilnuje, żeby osiodłano Zeusa i przyprawiono do drzwi - rozkazał ostro. - I niech mi ktoś poda płaszcz i kapelusz. - Natychmiast! - krzyknął, ponieważ stali bez ruchu.

Już po chwili wsiadł na potężnego, czarnego ogiera i skierował go przed siebie, w burzę. Wiatr i deszcz uderzały w twarz i wciskały się za kołnierz płaszcza, ale Vincent nie czuł zimna. Z wściekłości było mu bardzo gorąco.

Haversham! Powinien był wykorzystać okazję sprzed trzech miesięcy w czasie wieczoru muzycznego w Helsbury i chlusnąć gogusiowi winem w twarz. Powinien był wyzwąć tego niedołęgę na pojedynek i porąbać go na kawałki. Powinien był szpadą wyciąć mu wątrobę i rzucić ją psom.

A Elizabeth? Wobec niej też nie powinien był zachować się tak tolerancyjnie. Należało ją zamknąć w lochu pod zamkiem i trzymać pod kluczem, dopóki się nie zgodzi natychmiast zostać jego żoną. Nie kocha przecież Havershama, to niemożliwe! To pyszałkowaty, gogusiowaty kretyn. Nosi gorset i ochraniacze na nogi. I pisze fatalne wiersze, a mówi prawie falsetem.

Vincent przyhamował konia, kiedy wjechali w ostry zakręt, po czym znów popędził. Błoto i żwir uderzały go w twarz, ale nie zwracał na to uwagi.

Nie, Elizabeth nie jest zakochana w Havershamie. Wychodzi za niego na złość Vincentowi. Za to, że za dużo chciał, za dużo żądał, za dużo wymagał. Mię powinien tak łatwo ustąpić...

Błysnęła błyskawica i rozległ się grzmot. Koń zwolnił i w świetle błysku Vincent zobaczył przed sobą spienioną, czarną wodę. Trzęsący się most, przerzucony nad zazwyczaj łagodnym strumieniem, znikł.

Vincent z przekleństwem na ustach ściągnął cugle. Zeus zaprotestował jękliwie. Vincent kręcił się w kółko na koniu, podczas gdy rozsądek podpowiadał mu powrót do domu. Noc była zbyt ciemna, deszcz - zbyt gwałtowny, droga - zbyt zdradliwa.

Tak samo zdradliwa jak Elizabeth Vale.

Vincent gwałtownie skierował konia do wody.

Zimna woda ochlapwała mu nogi i ramiona. Czuł wciągający prąd, ale się tym nie przejmował. Musiał jechać dalej. Musiał powstrzymać małżeństwo Elizabeth i Havershama.

Zacisnął szczęki. Jak mogła znieść dotyk tego robaka? Po tym wszystkim, czym byli dla siebie, jak śmiała pozwolić się dotknąć innemu mężczyźnie?

Jak mogła tak go zdradzić?

Vincent zwolnił na moment cugle. Zaciskając zęby wplótł palce w czarną, mokrą grzywę konia, ignorując drętwiące z zimna ciało i ponaglił zwierzę do biegu.

Prądy wodne krążyły wokół jeźdźca i konia. Vincent otarł wodę z twarzy i wyteżył wzrok. Z trudem widział przeciwny brzeg. Między nogami czuł potężne ciało ogiera walczące z prądem. Zacisnął palce na grzywie i pochylił się do przodu.

- Dasz sobie radę, mały - mruknął do konia.

Zeus zastrzygł uszami i znów położył je po sobie. Nagłym wysiłkiem rzucił się do walki z żywiołem. W chwilę później końskie kopyta wspięły się na kamienisty brzeg.

Vincent złożył na moment głowę na szyi konia, chwytając powietrze. Zwariował chyba wyjeżdżając w taką noc. Wszystko to było winą Elizabeth. Ukarze ją za to, jak tylko dopadnie. Będzie ją całował tak długo, aż zacznie błagać o zlitowanie, o przebaczenie. A potem znów ją pocałuje. I będzie całować, dopóki nie przyzna, że nie kocha Havershama, że nie kocha nikogo oprócz...

Ponownie rozbłysła błyskawica.

Zeus stanął dęba. Cugle wypadły z odrętwiałych dłoni Vincenta. Spadł na kamienisty brzeg, uderzając głową o ostry kamień.

Przeszył go potworny ból. Nagle poczuł przejmujące do szpiku kości zimno. Nie mógł się poruszyć.

Woda przepływała tuż przy jego twarzy. Jakaś niesiona z prądem gałąź zadrapała go w policzek. Świeży ból przywrócił mu przytomność. Usiadł i oparł głowę na kolanach. Chciał tak zostać, aż minie ból, ale nie miał czasu.

Niezgrabnie i ociężale wstał. Przed oczyma latały mu czarne płatki. Potykając się wyciągnął na oślep rękę do konia.

Dotknął dłonią mokrej, gładkiej skóry. Zeus drgnął nerwowo, potrącając go całym ciałem.

Vincent upadł do tyłu, z rozłożonymi rękami, starając się złapać równowagę. Płatki przed oczyma zawirowały szybciej. Leciał w tył, w tył, w tył...

Lodowata woda uderzyła w niego z całą siłą, wypychając z płuc powietrze. Tafla wody zamknęła się nad nim, głuszając odgłosy burzy.

Potem coś rzuciło go do góry. Przebił głową powierzchnię wody i znów zabrzmiało mu w uszach szum wiatru. Ledwo zaczerpnął odrobinę powietrza, gdy prąd ponownie go wciągnął.

Rękami i nogami bronił się przed żywiołem, który wypełniał mu buty i obciążał ubranie, ciągnąc coraz silniej do dna. Usiłował rzucić buty, ale były za ciasne. Próbował pozbyć się płaszcza, tymczasem coraz bardziej się zaplątywał.

Ręce i nogi stawały się ołowiane. Woda wciskała się w oczy i w uszy. Płuca pękały z braku tlenu. Zrozumiał, że zginie.

Jeszcze raz ogarnęła go wściekłość.

Elizabeth... ty potworze... przeklinam...

Świat się uspokoił. Stał się ciemny, cichy i przeraźliwie zimny. Złość odeszła. Ból w jego sercu przewyższał rozpaczliwy ból głowy i płuc.

Elizabeth... nie możesz za niego wyjść... nie możesz...

Pełna brudu i błota woda wdarła mu się do ust i dalej, do płuc. Ogarnęło go odrętwienie, które pokonało cierpienie.

Beth...

1

25 lat później

Mary Goodwin patrzyła przez brudne okno pociągu. Z powodu zamkniętych okien przedział śmierdzał węglem, dymem i nie mytymi ciałami, ale Mary nie zwracała na to uwagi. Zatopiona we własnym świetle rozmyślała o Jasonie... O kochanym Jasonie.

Minął prawie rok, odkąd go widziała po raz ostatni, nadal jednak pamiętała go tak wyraźnie, jakby to było wczoraj: łagodne niebieskoszare oczy, gęste, kręcone, ciemnobrązowe włosy i biały błysk nagłego uśmiechu. Był wysoki i silny, i bardzo uprzejmy - często przynosił jej szal lub koszyczek z szyciem - a także nadzwyczaj łagodny. Kiedy się jej oświadczył, trzymał ją za rękę tak, jakby była z najdelikatniejszego szkła, a kiedy ją pocałował, jego usta były ciepłe, słodkie, delikatne...

Pociąg zatrzęsł się, a Mary wyrwał z rozmyślań okrzyk:

- A niech to!

Mary rozejrzała się i zobaczyła, że starsza kobieta, siedząca naprzeciwko, przygląda się ze zmarszczonymi brwiami swej robótce.

- Czy znów zgubiła pani oczko? - spytała z uśmiechem Mary, która już wcześniej zawarła znajomość z towarzyszką podróży.

Pani Tem kiwnęła głową. Z westchnieniem złożyła druty i rękawiczki, po czym schowała je do torby podróźnej. Marszcząc czoło rozejrzała się po zatłoczonym przedziale.

- Bardzo tu ciepło. Mam nadzieję, że parowóz się nie przegrzeje. Czy słyszała pani o pociągu, który wybuchł w zeszłym tygodniu? Zginęło dwadzieścia osób! Wolałabym podróżować powozem. Jest znacznie wygodniejszy. Człowiek nie musi się martwić, że wyleci w powietrze.

Mary z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Pociąg nie wybuchnie. To niemożliwe, żeby coś tak straszного zdarzyło się w tak cudowny dzień.

- Wszystko jest możliwe - stwierdziła ponuro starsza pani.

Mary, nadal się uśmiechając, poklepała panią Tem po ręce.

- Wypadki pociągów są bardzo rzadkie - zapewniła swą towarzyszkę. - Czy ma pani ochotę na miętówkę? - spytała, chcąc odwrócić jej uwagę od niepotrzebnych obaw.

- Tak, chętnie.

Mary sięgnęła ręką do torby i odnalazła dwa cukierki. Jeden dała pani Tem, a drugi włożyła do ust. Poczowała na języku mocny, miętowy smak, równie wyraźny jak jej wspomnienie o Jasonie.

Wciąż nie mogła uwierzyć, iż ma za niego wyjść za mąż. Jako dwudziestoczteroletnia płaćna panna do towarzystwa dla chorej żony pana Coopera, niezbyt majątnego kupca, zdawała sobie sprawę z braku perspektyw. Jednakże zawsze dumna była ze swego rozsądku i przyjmowała swój los z pogodą ducha.

Wszystko się zmieniło, kiedy w domu pana Coopera w Liverpoolu zjawił się Jason.

Był prawnikiem w firmie, z którą pan Cooper prowadził interesy, i przyszedł razem ze starszym kolegą, żeby przedyskutować pewien proces, w który pan Cooper był wówczas zaangażowany. Mary, zachwycona Jasonem Parsellem, obserwowała go spod oka podczas kolacji. Później, kiedy się wymknęła z dusznego domu do ogrodu pełnego pachnących jaśminów, pozwoliła sobie nawet na skromne marzenia.

W gruncie rzeczy, mimo owych marzeń, nie miała żadnych złudzeń. Z prostymi brązowymi włosami, niepozorną twarzą i figurą nie miała szans, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

Zdziwiła się, kiedy następnego dnia przy śniadaniu nawiązał z nią rozmowę. Podobnie przy obiedzie i przy kolacji. Tego wieczoru, gdy siedziała z robótką w kąciku salonu, spostrzegła, iż ją obserwuje z ciepłym uśmiechem w oczach. Następnego wieczoru usiadł przy niej i zabawił ją rozmową.

W następnych dniach często go spotykała na korytarzu, na schodach lub w ogrodzie. Rozmawiała z nim, zwierzała mu się, razem żartowali. Po krótkim czasie stał się jej przyjacielem. Mary wydawało się, że zna go od dawna.

Pewnego popołudnia ścinała róże w ogrodzie. Słyszac jakiś hałas, odwróciła się z naręczem róż w ramionach i zderzyła się z Jasonem. Złapał ją za ramiona, żeby nie upadła. Spojrzała na niego ze śmiechem i zobaczyła, iż wpatruje się w nią z poważnym wyrazem twarzy. Ciepło słońca, bzykanie owadów, upajający zapach róż - wszystko to nagle znikło. Przez chwilę poczuła w sobie cudowną, niemożliwą, przyprawiającą o zawrót głowy nadzieję.

Jednakże Jason cofnął się i odwrócił plecami. Przytłumionym głosem poinformował ją, że zmarł jego stryj, a on odziedziczył nie tylko spory majątek, lecz także tytuł hrabiowski. Głupia nadzieja Mary skurczyła się i zmarła.

Ssąc miętowy cukierek, poprawiła się na siedzeniu i znów wyjrzała przez okno pociągu.

Oczywiście ucieszyła się z korzystnego zrządzenia losu dla Jasona, wiedziała jednak, iż będzie musiał opuścić dom Cooperów, pojechać do Londynu i poszukać bogatej, utytułowanej narzeczonej. Walcząc ze łzami uśmiechnęła się i pogratulowała mu korzystnej odmiany losu.

Jason, zamiast podziękować i odejść, wziął ją w ramiona, razem z różami, i delikatnie pocałował w usta. A potem poprosił, aby została jego żoną.

Mary z rozmarzeniem wpatrywała się w znikający za oknem krajobraz. Naturalnie przyjęła jego oświadczenia. Musiał ją opuścić, żeby załatwić sprawy związane ze spadkiem, kiedy jednak żegnała się z nim na stacji, obiecał zabrać ją do siebie, gdy wszystko będzie gotowe. I obiecał, że będzie do niej pisał.

- Chociaż nie jestem zbyt mocny w pisaniu listów - dodał nieśmiało.

Co okazało się prawdą, pomyślała Mary z uśmiechkiem. Napisał do niej dokładnie trzy listy. Pierwszy przyszedł dopiero po trzech miesiącach, ale Mary przeczytała go tyle razy, iż znała go na pamięć:

Droga Mary!

Przepraszam, że nie pisałem wcześniej, ale byłem bardzo zajęty załatwianiem wszystkich formalności. Jestem tutaj, w Helsbury House, dopiero od tygodnia i muszę ci powiedzieć, że czuję się bardzo dziwnie jako właściciel tego wielkiego domostwa. Ciotka Weldon (daleka krewna, jej siostra wyszła za jednego z kuzynów mego ojca) zaoferowała się, iż przygotuje wesele. Powiedziałem jej, że chcemy lak najszybciej, ale poinformowała mnie o wielu rodzinnych tradycjach, których musimy przestrzegać, między innymi wziąć ślub w miejscowym kościele. Zgodziłem się, skoro to dla niej takie ważne. Czy Ty się też zgadzasz? Jeśli nie, to daj mi znać, a ja porozmawiam z ciotką Weldon. Choć muszę Cię ostrzec, że jest osobą przerażającą i trzęsą mi się kolana na myśl o tym, że miałbym się jej sprzeciwić. Jednakże dla Ciebie, Mary, zrobię wszystko.

Mary uśmiechnęła się do siebie. Napisała Jasonowi, żeby pozwolił ciotce zrobić tak, jak chce. Było to bardzo miłe z jej strony. Mary z niecierpliwością oczekiwała spotkania z ciotką Weldon, aby jej osobiście podziękować, mimo tego, co pisał Jason. Czasami miewał bardzo dziwaczne poczucie humoru, któremu dał wyraz w końcowej części swego listu:

Muszę Ci jeszcze coś powiedzieć - tylko się nie śmieć - w tym domu chyba straszy. Czy zechcesz zamieszkać w nawiedzonym domu, Mary? Obiecuję, że obronię Cię przed duchem. Zawsze będę przy Tobie. Zwłaszcza w nocy, kiedy duchy lubią się wałęsać.

Twój Jason

Mary zaczerwieniła się na wspomnienie ostatniego zdania. Wielokrotnie czytała list, zastanawiając się nad tym, co napisał Jason. Nie powinien tak z niej żartować. Będzie musiała zwrócić mu uwagę.

Drugi list przyszedł po paru miesiącach.

Droga Mary!

Przepraszam, że nie pisałem tak długo. Jestem zajęty kłótnią o miedzę z sąsiadem (chce mi zabrać ponad akr Lasu Południowego, a ja nie mogę znaleźć papieru z prawem własności).

Bardzo za Tobą tęsknię i chciałbym, żebyśmy się mogli prędko pobrać, ale to niemożliwe. Być hrabią jest trudniej niż myślałem, Mary. Muszę o wszystkim decydować, nawet o tym, kiedy obsiać pola, jaką należność brać od dzierżawców, do jakiej szkoły posiać młodych kuzynów, jakie rodziny odwiedzić i jak kroić pieczeń! Nie chcę Cię jednak zamęczać moimi problemami. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku i napiszę, jak tylko skończę tę sprawę z sąsiadem.

Jason

Mary współczuła wprawdzie Jasonowi, ale była rozczarowana opóźnieniem ślubu, zwłaszcza że nie dostała żadnego listu przez następne pół roku. Denerwowała się coraz bardziej, kiedy nadszedł trzeci list, a raczej krótka wiadomość:

Mary!

Przepraszam, że nie pisałem. Jestem szalenie zajęty sprawami majątku i nowymi obowiązkami, ale nadeszła pora, żebyś przyjechała i poznała moją rodzinę. Ślub odbędzie się w tydzień po Twoim przyjeździe. Posyłam Ci bilet.

Twój, itd., Helsbury

Mary uśmiechnęła się na myśl o tym, jak bardzo była wtedy podekscytowana. Wreszcie, po roku czekania, mieli wziąć ślub. Prawie nie zwróciła uwagi na sposób, w jaki podpisał list; była pewna, że złożył podpis automatycznie. I choć ton listu był może z lekka obcesowy, intencja nie pozostawiała wątpliwości - chciał się z nią ożenić. Nareszcie!

Pisk metalu przywrócił Mary do rzeczywistości. Pociąg hamował.

- Manchester! Manchester! - wołał konduktor. Mary podniosła głowę. To była jej stacja. Pospiesznie pogryzła i połknęła resztkę cukierka. Sprawdziła kapelusz i suknię. Brązowy materiał był trochę znoszony, przyszyła jednak nowe mankiety oraz kołnierzyk, i miała nadzieję, że wygląda całkiem porządnie, choć jej bratowa Kathryn nalegała, aby sprawiła sobie nową suknię.

- Będziesz żoną hrabiego - zwróciła jej uwagę, kiedy Mary odwiedziła ją kilka tygodni przedtem. - Kup nowe ubrania i wyślij rachunki narzeczonemu. On z pewnością oczekuje, że będziesz się dobrze prezentować.

Mary nie podzielała zdania bratowej. Jason nie zwracał uwagi na ubranie. Poza tym pomysł, aby kupował jej suknie, nie wydawał jej się właściwy. W zamian Mary odkładała każdego pensa zarobionego u pani Cooper na jedwab na ślubną suknię, a później siedziała nocami i haftowała stanik sukni filozelą i drobnymi perłami. Każdy ścieg miał w sobie nadzieję i marzenie na przyszłość - jasną, różaną przyszłość u boku Jasona.

Uśmiechnęła się na myśl o prawie wykończonej sukni, którą wiozła w torbie. Musiała jeszcze tylko obrzucić haftem dół.

Pociąg zatrzymał się i Mary wyjrzała przez okno. Na peronie było pełno ludzi, ale nie widziała nigdzie Jasona. Pożegnała się z panią Tem, wstała, wzięła torbę i, przeciskając się między podróżnymi, wyszła z przedziału. Konduktor sprowadził ją po stopniach na peron.

Pociąg wydawał z siebie różne odgłosy, mimo iż nadal stał na stacji. Mary miała wrażenie, że skóra jej się lepi od wilgotnego powietrza. Ocierając czoło chusteczką rozejrzała się wokół i zobaczyła znajomą wysoką

sylwetkę, na wpół od niej odwróconą.

Roześmiała się i podeszła do mężczyzny.

- Jasonie! - zawołała machając chusteczką.

Pociąg zadudnił i zasyczał, prawie ją zagłuszając, lecz mężczyzna najwyraźniej usłyszał, ponieważ się odwrócił.

Przez chwilę, przyglądając się eleganckiej postaci, Mary pomyślała, że się pomyliła. Ale nie, to jednak był Jason. Jej uśmiech znikł. Powoli opuściła chusteczkę i przycisnęła ją do piersi.

Jason się zmienił.

2

Zamiast zakurzonego, czarnego płaszcza, z postrzępionymi mankietami i łątą na rękawie, który pamiętała, Jason miał na sobie ciemnozielony surdut i wyszywaną w skomplikowany wzór kamizelkę. Znikł wymięty, przekrzywiony fular z cienkiego, czarnego muślinu; teraz Jason nosił jedwabny krawat w paski, zawiązany a la Byron. W ręce trzymał czarny, jedwabny cylinder i rękawiczki z cienkiej skóry.

Mary wsunęła chusteczkę do kieszeni. Nagle znoszona, brązowa, podróżna suknia wydała jej się stara i brzydka. Pożałowała, że nie posłuchała bratowej i nie kupiła nowej.

Jason, kiedy go poznała, miał dwadzieścia dziewięć lat i wyglądał młodziej. Teraz miał trzydzieści i wyglądał na więcej. Jego twarz była chudsza, rysy bardziej wyostrzone, nowe zmarszczki na czole. Wprawdzie nadal miał brązowe włosy, wysoką i barczystą sylwetkę, ale jego oczy zdawały się chłodniejsze, raczej szare niż niebieskie.

Był powściągliwy, wyniosły, arystokratyczny.

Mary odruchowo dygnęła.

- Dzień dobry, hrabio.

I natychmiast poczuła się głupio. To przecież był Jason, na litość boską, jej narzeczony.

Spodziewała się, że Jason się roześmieje, lecz on wyciągnął tylko rękę i powiedział:

- Dzień dobry.

Mary wpatrywała się w niego, nie wiedząc, o co mu chodzi. Jego dłoń była twarda i gładka, bez atramentowych plam i odcisków od pióra, z krótko przyciętymi, zadbanymi paznokciami.

- Czy mogę wziąć twoją torbę?

Mary podniosła oczy i zobaczyła uniesione brwi Jasona. Czerwieniąc się oddała mu torbę. Wręczył ją stojącemu z tyłu służącemu, po czym podał jej ramię. Płochliwie dotknęła eleganckiego rękawa, świadoma, iż ma palce lepkie od cukierka.

Nawet jego zapach jest inny, pomyślała oszołomiona Mary. Jason pachniał teraz drogim mydłem i czystą bielizną, dobrym gatunkiem wełny i egzotycznym tytoniem.

Ludzie rozstępowali się przed nimi, kiedy prowadził ją przez peron do błyszczącego, czarnego powozu z wymalowanym złotym herbem na drzwiczkach.

W środku Mary usiadła na czerwonym pluszowym siedzeniu. Jason usiadł naprzeciwko i zastukał palcami w sufit. Dobrze resorowany powóz ruszył z ledwo wyczuwalnym szarpnięciem.

Przez kilkanaście minut, gdy powóz przeciskał się przez zatłoczone ulice. Mary siedziała w milczeniu. Wszystkie drobiazgi, o których chciała mu opowiedzieć, wyleciały jej z głowy. Czowała się bardzo onieśmielona i jakby pusta w środku.

Dopiero kiedy powóz wjechał na wygodną drogę, zostawiając za sobą dymy i tłumy miasta, Mary pozbierała się i doszła z lekka do siebie.

W tym, że czuła się onieśmielona, nie było nic dziwnego - w końcu nie widzieli się od roku. Wszystko minie, kiedy się przyzwyczai do nowego Jasona. Wprawdzie wyglądał i pachniał inaczej, ale na pewno w środku był nadal tą samą osobą. Człowiek nie zmienia się, dlatego, że zostaje lordem.

Na pewno?

Odruchowo pogłaskała gładkie pluszowe siedzenie.

- Jaką miałas podróż? - spytał Jason głosem chłodnym i bezosobowym.

Mary spojrzała nań zza rzes, zastanawiając się, o czym myśli. Miał wzrok utkwiony w jej rękach. Mary zaczerwieniła się i złożyła ręce na podolku.

- Bardzo miłą, ale cieszę się, że już tu jestem.

- To widać.

Głęboka ironia w jego głosie sprawiła, że Mary zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Czyżby jej zakłopotanie było aż tak oczywiste? Oblizła wargi, czując na ustach smak miętówki i postanowiła na razie się nie odzywać.

Po przejechaniu kilkunastu kilometrów powóz skręcił i Mary nabrała odwagi.

- Cieszę się, że mamy przed sobą cały tydzień, kiedy będziemy mogli poznać się na nowo - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Ja także - stwierdził Jason. - O ile uda nam się znaleźć trochę czasu między najrozmaitszymi rozrywkami zaplanowanymi na ten tydzień i sprawami, które muszę zakończyć przed ślubem, łącznie z przygotowaniem do naszej podróży poślubnej.

Rozrywki? Sprawy? Podróż poślubna? Mary przełknęła ślinę. Wcale nie rozmawiali wcześniej o podróży poślubnej. Wspomniała, że lubi morze, ale nic więcej. Powóz skręcił ostro w wąską alejkę.

- Podróż poślubna? - powtórzyła.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę - powiedział Jason wyglądając przez okno. - Jedziemy do Paryża.

- Do Paryża! - wykrzyknęła Mary, zapominając o onieśmieleniu. Nigdy w życiu nie przyszło jej do głowy, że mogłaby wyjechać za granicę.

- Dziękuję! - zawołała z promiennym uśmiechem.

Jason spojrzał na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie musisz mi dziękować. Wszyscy jeżdżą do Paryża w podróż poślubną. - Ponownie wyjrzał przez okno. - Jesteśmy prawie na miejscu. Zobaczysz dom, kiedy wyjedziemy zza zakrętu.

Mary przez chwilę wpatrywała się w jego odwrócony profil, po czym posłusznie wyjrzała przez okno.

Jechali między gęsto rosnącymi dębami i cisami, wzdłuż wijącego się strumienia. Słysząc było śpiew rudzików i wróbli. Kątem oka dostrzegła przebiegającego wśród krzaków zająca. Wreszcie powóz wyjechał zza zakrętu i oczom Mary ukazał się Helsbury House.

Oniemiała z wrażenia.

Ujrzała pałac z białą marmurową fasadą, zdobiony kolumnami, frontonami i posągami, z niezliczoną ilością kominów. Pałac stał na tle ciemnozielonych drzew, na szerokim, płaskim trawniku. Puszyste białe owce skubały trawę pod olbrzymim wiązem, inne piły wodę ze strumyka, który płynął między drzewami.

To miało być to „wielkie domostwo”, o którym pisał w liście?

- Jaki piękny! - zawołała Mary.

- Jest bardzo zimny - odparł Jason, stukając palcami w szybę.

- Na pewno są w nim kominki - powiedziała lekko Mary.

Jason wzruszył ramionami.

Znów uderzyło ją to, jak bardzo się zmienił. Wprawdzie zawsze był spokojny i poważny, ale nigdy nie był tak zamknięty w sobie.

- Czy mieszkasz tu tylko z ciotką Weldon?

- Mieszka tu także kilkoro innych krewnych - odparł Jason.

Powóz podskoczył i koła zadudniły na drewnianym moście.

- Lady Weldon, która występuje jako pani domu, ma córkę Beatrice. Poza nimi jest dwoje kuzynów mego ojca: Horace Quimby, który jest pastorem w wiosce, i panna Sally Parsell. Wątpię jednak, abyś ją poznała.

- Dlaczego?

- Żyje w odosobnieniu. Jada posiłki w swoim pokoju i nigdy go nie opuszcza.

- Czy jest chora? - spytała skonfundowana Mary.

- Nie, po prostu nie lubi towarzystwa.

- Na pewno czuje się samotna.

Jason znów wzruszył ramionami.

- Być może. To jej sprawa.

Odpowiedź wydała jej się mało sympatyczna i Mary spojrzała na Jasona ze zdziwieniem. Szybko jednak wytłumaczyła sobie, iż nie zna przecież całej sytuacji. Może panna Parsell naprawdę najlepiej czuje się we własnym towarzystwie?

- Mam jeszcze jedną krewną, która tu mieszka - powiedział Jason - choć chwilowo przebywa na kuracji w Bath z powodu artretyzmu. Ponadto mam dwóch dalekich kuzynów, którzy w tej chwili rozbijają się w Londynie i jednego, który jest w Baton. Każdy z nich może się tu pojawić lada chwila. Mój kuzyn, Cecil Parsell, przyjechał w odwiedziny. Jest jednym z niewielu moich krewnych, który posiada własny dom. - Miło mi go będzie poznać - powiedziała Mary, kiedy powóz zatrzymał się przed domem. - Pozostałych, oczywiście, także. Zwłaszcza lady Weldon. Chcę jej podziękować za to, że zajęła się przygotowaniem do ślubu.

Jason, z ironicznym wyrazem twarzy, nie zaszczyił jej odpowiedzią. Wsiadł i podał Mary rękę, a potem poprowadził ją marmurowymi schodami do drzwi frontowych, gdzie stał główny lokaj. Służący uklonił się i wprowadził ich do pięknego, choć bardzo zimnego holu, w którym podłoga, kolumny i schody wykonane były z białego marmuru.

Schodami schodziła właśnie wysoka, siwowłosa kobieta w czarnej, jedwabnej sukni z młodą, bardzo piękną dziewczyną w modnej, żółtej sukni, która podkreślała jej długie, rude włosy. Obie kobiety zatrzymały się u podnóża schodów i wlepiły wzrok w Mary.

Sądząc z podobieństwa brązowych oczu i orlich nosów musiała to być lady Weldon i jej córka Beatrice.

- Ciociu Weldon, Beatrice - mruknął Jason - chciałbym przedstawić pannę Mary Goodwin, moją narzeczoną.

Mary uśmiechnęła się i zrobiła krok naprzód.

- Lady Weldon, jakże mi miło panią poznać. Bardzo dziękuję za pomoc w przygotowaniach do ślubu.

Lady Weldon nie zmieniła wyrazu twarzy i uśmiech Mary znikł. Nigdy nie widziała brązowych oczu, które byłyby tak zimne.

- Jestem pewna, że zechce się pani odświeżyć i przebrać do obiadu w coś bardziej odpowiedniego - powiedziała lady Weldon, spoglądając na nią z góry i obrzucając jej brązową podróżną suknię pogardliwym spojrzeniem. Mary zaczerwieniła się i cofnęła.

- Owszem. Dziękuję, lady Weldon.

- Gdzie jest pani służąca z bagażem?

- Nie mam służącej. Ani bagażu oprócz torby. - Chociaż - dodała szybko, widząc zaszokowany wyraz twarzy lady Weldon - to jest bardzo duża torba.

Informacja o rozmiarach torby nie wpłynęła na dezaprobatę lady Weldon.

- Czyżby podróżowała pani samotnie?

- Ależ, mam - powiedziała Beatrice, podchodząc do Mary. - Nie możesz pouczać narzeczonej Jasona od pierwszego dnia. Chodź, Mary, pokażę ci twój pokój. Matka kazała przygotować żółty apartament.

Mary, wdzięczna za wybawienie, poszła za Beatrice w kierunku schodów.

- Chwileczkę.

Na dźwięk głosu Jasona Beatrice zatrzymała się. Mary spojrzała na niego, myśląc, iż może sam zechce ją zaprowadzić do pokoju.

- Wolę, żeby Mary dostała inny pokój - powiedział Jason do ciotki.

Lady Weldon uniosła w górę brwi.

- Narzeczone w Helsbury zawsze śpią w żółtym apartamencie.

- Mimo to wolę, aby Mary dostała inny pokój - powtórzył Jason.

- To bez sensu zmieniać pokoje, kiedy jeden jest już przygotowany - stwierdziła lady Weldon. - Nie chcesz chyba, żeby spała na tym samym pięttrze co ty? Byłoby to wysoce niestosowne.

- Nie. - Jason strzepnął z rękawa jakiś pyłek. - Chcę, aby Mary dostała błękitny apartament.

Lady Weldon znieruchomiała i otworzyła szeroko oczy. Beatrice także stała nieruchomo. Mary rozejrzała się wokół, nie wiedząc, co ich tak wszystkich zaskoczyło.

Frontowe drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Mary podskoczyła i obejrzała się na lokaja.

Stał obok woźnicy, który właśnie wszedł z bagażem Mary.

Zapadnięte policzki lokaja były równie białe, jak resztki jego siwych włosów.

- Proszę o wybaczenie, jaśnie panie. Drzwi wymknęły mi się z ręki.

- To pewno wiatr - powiedział Jason. - Niech ktoś zaniesie bagaż panny Goodwin do błękitnego apartamentu.

- Tak, proszę pana - mruknął lokaj.

- Ależ, Jasonie - zaprotestowała lady Weldon. - Pokój nie jest przygotowany.

- Kazałem go wczoraj wysprzątać i przewietrzyć - wyjaśnił Jason.

- Rozumiem. Zatem wszystko w porządku - powiedziała lady Weldon, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu. Jej oczy zachowały lodowaty wyraz. - Wybacz mi, proszę, Jasonie. Muszę się rozmówić z kucharzem w sprawie kolacji.

Jason, nie zwracając najmniejszej uwagi na niezadowolenie ciotki, zwrócił się do Mary:

- Sam cię zaprowadzę do błękitnego apartamentu.

Beatrice otrząsnęła się z bezruchu.

- Nie, nie, Jasonie. Pozwól, że skorzystam z okazji, aby lepiej poznać twoją narzeczoną. Ja ją zaprowadzę.

Jason przez chwilę przyglądał się Mary z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Miała nadzieję, że będzie się upierał przy swoim, tymczasem skłonił się bez słowa i odszedł. Kiedy za nim spoglądała, powróciło uczucie pustki w żołądku.

- Och, myślę, że nie masz nic przeciwko temu. Chciałam dać szansę Jasonowi, aby mógł przeprosić matkę za wtrącanie się w jej kompetencje - powiedziała Beatrice.

- Doprawdy? - spytała zdumiona Mary.

- Choć wydaje mi się, że zrobił to przypadkowo. Nie zamierzał przecież podważyć autorytetu matki w obecności służby.

Beatrice odwróciła się i pobiegła po schodach na górę.

Mary zamrugała oczami, wzięła w rękę brzeg sukni i pospieszyła za Beatrice. Uważała jej uwagi za dość dziwne. Czyżby Jason nie był panem we własnym domu? Nie chciała jednak teraz wypytywać o to Beatrice. Bardziej ją zainteresowała dziwna reakcja wszystkich obecnych na wzmiankę o błękitnym apartamencie.

- Czy z błękitnym apartamentem jest coś nie w porządku? - spytała.

Beatrice roześmiała się lekko, stukając obcasami po marmurowych schodach.

- Nie, skądże znowu. Po prostu od dwudziestu pięciu lat nikt go nie używał.

- Dlaczego? - spytała Mary.

Beatrice skręciła w długi korytarz, którego ściany zawieszane były portretami starych, ponurych ludzi i ciemnymi, smutnymi pejzażami.

- Z powodu ducha - powiedziała szeptem Beatrice.

Mary otworzyła usta ze zdumienia. Potem przypomniała sobie uwagi z listu Jasona i roześmiała się wesoło.

- Pokój jest nawiedzany? Ach, to cudownie!

Beatrice zmarszczyła brwi, ale natychmiast wygładziła czoło, kiedy spostrzegła, że Mary jej się przygląda.

- Cieszę się, że nie jesteś przesadna. Większość ludzi bałaby się spać w błękitnym apartamencie.

Beatrice przyspieszyła kroku i skręciła w kolejny korytarz.

- Czy to niemiły duch? - spytała Mary, starając się dotrzymać kroku Beatrice.

Beatrice zawahała się na moment.

- Jestem pewna, że nie masz się czym przejmować - powiedziała wreszcie. - Nie ma, sensu opowiadać ci czegoś, co cię tylko zdenerwuje.

- To racja - przyznała Mary.

Na szczęście nie wierzyła w duchy, bo inaczej stwierdzenie Beatrice naprawdę mogłoby ją zdenerwować.

Beatrice przystanąła przed hebanowymi drzwiami pośrodku korytarza.

- Jesteśmy - powiedziała i otworzyła drzwi.

Meble i ozdoby wykonane były z hebanu, białego jedwabiu i niebieskiego atlasu. Na południowej ścianie znajdowały się dwa okna. W pokoju było cieplej niż gdzie indziej, może dlatego, że w kącie był kominek, a podłogę wyścielał różowo-niebieski dywan.

- Jaki piękny pokój! - zawołała Mary, podchodząc do łóżka. Na małym hebanowym stoliku leżała duża muszla. Wzięła muszlę do ręki i pogłaskała twardą, chropowatą powierzchnię.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparła z uśmiechem Beatrice. - I że w ogóle przyjechałaś. Zawsze chciałam mieć jakieś towarzystwo w moim wieku. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami.

Mary z uśmiechem podniosła wzrok znad muszli.

- Ja także, Beatrice.

- Lady Beatrice - powiedziała dziewczyna, poprawiając bufiasty rękaw żółtej sukni.

- Słucham?

- Mój ojciec był hrabią - wyjaśniła Beatrice z miłym uśmiechem. - Dlatego mówi się do mnie: „lady Beatrice”.

Mary zaczerwieniła się gwałtownie.

- Bardzo przepraszam, lady Beatrice.

- Nic nie szkodzi. Wiem, że nie znasz się na zwyczajach towarzyskich. Jestem pewna, że szybko się nauczysz. Jeśli będziesz miała jakieś wątpliwości, możesz zawsze zapytać mnie lub moją matkę - wyjaśniła Beatrice z tym samym miłym uśmiechem.

- To bardzo uprzejmie z pani strony, lady Beatrice - mruknęła Mary.

Beatrice jeszcze raz się uśmiechnęła i wyszła.

Mary wpatrywała się w zamknięte drzwi, a potem w muszlę.

Przypomniała sobie słowa Jasona. Wszyscy jeżdżą do Paryża w podróż poślubną. Z jakiegoś powodu Paryż już jej tak nie cieszył.

Przyłożyła muszlę do ucha. Usłyszała lekki szum. Oczywiście wyobraźni ujrzała siebie i Jasona idących kamienistą plażą do małego, przytulnego domku. Odłożyła muszlę na stolik. Paryż będzie daleko bardziej ekscytujący, powiedziała sobie w duchu.

Kiedy jednak przebierała się do kolacji, nadal widziała oczywiście wyobraźni mały domek na plaży.

3

Jason starannie zawiązał wykrochmalony halsztuk, wsunął rubinową spinkę i obejrzał się w lustrze. Z lewej strony materiał lekko się marszczył. Jason wyciągnął spinkę i zerwał halsztuk z szyi. Jego osobisty służący podał mu bez słowa następny. Jason zaczął od początku, ale trudno mu się było skupić. Nie mógł przestać myśleć o Mary.

O tym, jak bardzo się zmieniła.

Odkąd widział ją po raz ostatni minęło dużo czasu i zdążył zapomnieć szczegóły jej wyglądu i zachowania. Może dlatego tak był zaszokowany tą znoszoną suknią. Wytarta brązowa suknia bardziej byłaby odpowiednia dla pomocy kuchennej niż jego przyszłej żony. Dlaczego nie poprosiła go o pieniądze na nową?

Nie podobało mu się również jej gładkie uczesanie. Wyglądała jak guwernantka. Czy zawsze tak się czesała? Nie pamiętał. Wiedział jednak na pewno, że nigdy przed nim nie dygała ani nie nazywała go hrabią. Nawet się przy tym nie uśmiechnęła. Była taka zimna i obca. Przygnębiona.

Nie mógł sobie przypomnieć, co w niej takiego widział przed rokiem. Miała miły uśmiech, jak anioł. Wtedy myślał, że niebiosa specjalnie mu ją zesłały...

Czyżby naprawdę był tak głupi?

- Wydaje mi się, że tym razem się udało, proszę pana.

Jason spojrzął na podłużną, bladą twarz służącego. Everitt przyglądał mu się z wielką uwagą. Problem wiązania halsztuka był bardzo ważny. Everitt niemal płakał przy wcześniejszych próbach Jasona. Dopiero tygodnie ćwiczeń zadowolili jego wymagania.

Pozycja hrabiego była czymś zupełnie różnym od pozycji urzędnika adwokackiego, pomyślał ironicznie Jason. Rok temu nikt się nie przejmował jego ubraniem. Był Jasonem Parsellem, zakochanym w ładnej dziewczynie. Teraz, w tym nowym świecie, jako hrabia Helsbury, nosił wyłącznie najelegantsze ubrania, a miłość zdawała się uczuciem dziwnym. Hrabiowie Helsbury, jak mu często przypomniano, nie bywali zakochani.

- Doskonale, proszę pana.

Jason spojrzął na służącego, który kiwał głową z aprobatą. Rzucił okiem w lustro i przekonał się, że halsztuk rzeczywiście prezentuje się doskonale.

- Dziękuję, Everitt.

Służący pomógł mu włożyć granatowy surdut i Jason zszedł na dół, wracając myślami do Mary.

Przyczyny, dla jakich jej się wtedy oświadczył, nie miały teraz większego znaczenia. Nie byłby przecież tak podły, aby ją porzucić, nawet gdyby chciał. A nie chciał. Miał obowiązek się ożenić, a biorąc pod uwagę historię rodu Helsburych, im szybciej, tym lepiej. Mary nadawała się na żonę.

Kiedy służący otwierał drzwi do salonu, Jason usłyszał głośny śmiech. Wszedł i ze zdumieniem spojrzął na parę siedzącą na sofie.

Srebrnoblond włosy kuzyna Cecila znajdowały się bardzo blisko złotobrazowych włosów Mary. Cecil roześmiał się z czegoś, co powiedziała Mary, i ona także się zaśmiała.

Jason, spięty, stał w miejscu, przyglądając się im, dopóki Mary się nie odwróciła i nie zobaczyła go.

Przestała się śmiać.

- Dobry wieczór, hrabio - powiedziała, spoglądając nań z obawą.

- Dobry wieczór. Mary - odparł spokojnym, beznamiętnym głosem.

Czemu tak na niego patrzyła? Miał ochotę podejść i odciągnąć ją od Cecila, ale się powstrzymał. Zachowywał się śmiesznie. To dobrze, że Mary poznawała jego rodzinę. Nie było powodu do

niezadowolenia.

- A, jesteś, Jasonie! - zawołał Cecil. - Muszę przyznać, że twoja narzeczona jest czarująca. Zazdroszczę ci.

- Dziękuję - powiedział zimno Jason.

Poczuł, że ktoś bierze go pod ramię. Kiedy się odwrócił, zobaczył Beatrice.

- Dobry wieczór, Jasonie - powiedziała z uśmiechem.

Odruchowo odwzajemnił jej uśmiech i znów spojrzął na Mary. Wyglądała lepiej niż przedtem. Miała na sobie niebieską suknię, prostą, ale ładniejszą niż ta brązowa. Inaczej się też uczesała, upinając wyżej włosy. Taki styl podkreślał delikatny zarys twarzy.

- Mary i Cecil prędko się polubili - szepnęła Beatrice. - Mary ma na niego zdumiewający wpływ.

- To prawda.

Głos Jasona brzmiał sztywno, nawet w jego własnych uszach. Nie powinien się dziwić, że Mary wyciągnęła Cecila z jego skorupy; była bardzo miłą i przyjacielską osobą. Tyle że doprawdy udało jej się to bardzo szybko. Piękna i czarująca Beatrice nie potrafiła sprowokować Cecila do wybąkania dwóch słów.

- Cieszę się, że znalazła bratnią duszę - stwierdził spokojnie Jason.

- Znalazła dwie bratnie dusze - poprawiła go Beatrice. - Ja też ją polubiłam. Jest taka... bezpretensjonalna.

Jason zmarszczył brwi i ponownie rzucił okiem na Mary. Zauważył, że jej uczesanie odsłaniało szyję, na której wił się wdzięcznie luźny, złotobrązowy kosmyk.

- Jasonie...

Jason oderwał wzrok od Mary i spojrzął na dziewczynę u swego boku.

- Bardzo cię przepraszam, Beatrice. Masz rację. Mary jest bezpretensjonalna. Mam nadzieję, że będziesz jej służyć pomocą.

- Oczywiście - odparła Beatrice, trzepocząc rzęsami.

Drzwi znów się otworzyły i wszedł Horace Quimby. Kępki siwych włosów sterczały mu na wszystkie strony. Pod pachą trzymał Biblię.

Kiwnął od niechcenia głową pozostałym osobom i podszedł szybko do Jasona.

- Miałeś rację, kuzynie, co do Blevinsa - zawołał. - Sprawdziłem u jego poprzedniego pracodawcy i okazało się, że ten człowiek nadużywa alkoholu.

- To pech - mruknął Jason.

Przypomniał sobie, że podczas rozmowy z Blevinsem widział w jego oczach prawdziwą rozpacz, i odczuł przytłaczający go ciężar odpowiedzialności.

- Jutro z nim porozmawiam.

Quimby pokiwał głową.

- Pomyśleć, że o mało co nie zarekomendowałem go na posadę w młynie. Mieć wśród nas poplecznika Bachusa jest czymś doprawdy odrażającym. Ach, dziękuję - dodał, biorąc kieliszek z winem od przechodzącego służącego.

Wypił łyk wina, uśmiechając się z zadowoleniem, po czym rozejrzał się po pokoju. Przez dłuższą chwilę spoglądał na Beatrice, później przeniósł wzrok na Mary. Coś zamigotało w zażawionych, niebieskich oczkach. Dopił wino i zrobił krok naprzód. Wziął ręce Mary w swoje dłonie.

- Widzę, że mamy gościa. Kuzynie, musisz mnie przedstawić tej pięknej damie.

Jason, rozzłoszczony, dokonał prezentacji. Mimo swego wieku i religijnego powołania - a może właśnie dlatego - Quimby lubił ładne kobiety. Jason nie przypuszczał, że Mary może zwrócić na siebie uwagę pastora. Powinien był wiedzieć, że Quimby zwraca uwagę na wszystkie osoby w sukniach, nawet tak znoszonych, jak suknia Mary. Różnica stała się jeszcze bardziej widoczna, kiedy Mary stanęła przy Beatrice. Młodsza dziewczyna miała na sobie suknię ze szmaragdowego jedwabiu i walencjańskich koronek, a na rudych włosach - kapelusz z piórami.

Jason zmarszczył brwi.

- Proszę na kolację - powiedziała lady Weldon.

Jason podał ramię Mary i spojrzął jej w oczy, szukając w nich... czego? Sam nie był pewien. Tego, co widział w nich przed rokiem.

Teraz jednak niebieskie oczy Mary były chłodne.

Poczuł złość, ale jej nie okazał, prowadząc Mary do jadalni.

Jednej rzeczy na pewno nauczył się w ciągu ostatniego roku - ukrywania emocji.

4

Mary siedziała po prawej ręce Jasona, obserwując go kątem oka. Chciała mu się przyjrzeć, żeby stwierdzić, na czym polega zmiana, jaka w nim zaszła. Niektóre różnice widać było gołym okiem: pionową zmarszczkę między brwiami, która sprawiała, że wyglądał na wiecznie zasepionego; wargi zaciśnięte w węższą, prostszą linię, przez co wyglądał groźniej; usztywniona szczęka i ramiona. Jednakże coś jeszcze się w nim zmieniło, coś, co trudno było zdefiniować. W nieskazitelnie białych spodniach i granatowym surducie wyglądał jak prawdziwy hrabia, wyniosły i arogancki. Jednocześnie emanował pewnością siebie, poczuciem władzy i całkowitego opanowania, co dla Mary było dziwnie atrakcyjne.

Gdyby tylko nie był tak... onieśmielający.

Chciała z nim porozmawiać, ale wcześniejsze zakłopotanie nie tylko nie minęło, lecz raczej się wzmoгло. Jason był chłodny i daleki. Nie wiedziała nawet, jak ma się do niego zwracać. W myślach nazywała go Jasonem, może jednak wolał, tak jak Beatrice, aby używała jego tytułu? Na stacji nie protestował, kiedy zwróciła się do niego w ten sposób.

Obserwowała, jak skłaniał głowę ku Beatrice, siedzącej po jego lewej ręce, słuchając czegoś, co szeptała mu do ucha. Mary poczuła ukłucie zazdrości. Chciałaby umieć tak się zachowywać, jak ta młodsza od niej panna, która beztrudnie śmiała się ze słów Jasona i niby niechcący dotykała jego ramienia.

Obydwoje byli bardzo elegancy, bardzo przystojni, bardzo światowi. I pasowali do siebie.

Mary szybko odrzuciła niepokojącą myśl. Jedząc zupę zółtawą przekonywała się w duchu, że Jason ją przecież kocha. Może zachowywał się trochę sztywniej, trochę bardziej formalnie, ale była pewna, że w gruncie rzeczy się nie zmienił.

Jej zakłopotanie wynikało z otoczenia, a nie z postępowania Jasona. Nie była przyzwyczajona do takiego przepychu, do stołu z kilometrami białego płótna, niezliczonymi kryształami i srebrami. Do służących, którzy wciąż prawie na siebie wpadali, biegając z tacami wyszukanego jedzenia. Do jadalni z wysokim sufitem, białą marmurową posadzką i kiepskimi kominkami.

Mary zadrżała, żałując że nie ma szala. Wszędzie tu było zimno. W domu jej brata pokoje były ciepłe i jasne, rozbrzmiewające śmiechem i rozmowami. Nawet stary dom Cooperów zdawał się cieplejszy, a posiłki - bardziej ożywione.

Tutaj z kominka nie dochodziło ciepło, a świece w żyrandolu paliły się dziwnie ciemnym światłem. Nikt się nie śmiał, nie mówił normalnym głosem, nie rozkoszował jedzeniem; być może z wyjątkiem pana Quimby'ego, który siedział z drugiej strony Beatrice. Jadł z takim zapamiętaniem, iż nie brał udziału w rozmowie. Mary z zadowoleniem stwierdziła, że on przynajmniej docenia doskonale jedzenie.

Zjadła kolejną łyżkę pysznej zupy, z przyjemnością czując w ustach jej delikatny smak. Kiedy przełknęła, podniosła wzrok i zobaczyła, że Jason się w nią wpatruje. Czyżby miała na brodzie ślad zupy? Odłożyła łyżkę i wytarła usta serwetką.

Jason bez słowa odwrócił się znowu do Beatrice.

Zbita z tropu Mary spojrzała na Cecila, który siedział z jej drugiej strony. Był on, jak dotąd, jedyną w tym domu osobą, przy której czuła się swobodnie. Kiedy go po raz pierwszy zobaczyła w salonie, przypominał jej trochę dawnego Jasona, choć Cecil był jaśniejszy i szczuplejszy od kuzyna. Podobieństwo dotyczyło raczej powściągliwego sposobu bycia, jakby nie najlepiej czuł się w towarzystwie. Mary postanowiła go rozruszać i chyba jej się to udało.

- Czy zawsze jadacie tak uroczyście? - spytała szeptem Cecila.

- To straszne, prawda? - odparł z uśmiechem Cecil. - Czy nie wie pani przypadkiem, którego widelca powinienem użyć do ryby?

Mary przyjrzała się trzem widelcom leżącym przy jej nakryciu i z żalem potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia.

Cecil wziął do ręki widelec, który leżał najbliżej talerza. Lady Weldon natychmiast chrząknęła znacząco, zmarszczyła brwi, podniosła zewnętrzny widelec i nabrała kawałek ryby.

Cecil, z czerwonymi uszami, zmienił widelec.

- Nienawidzę tych bzdur - mruknął.

- Jak tylko zostanę hrabiną, zarządzę, żeby przy nakryciu nie leżał więcej niż jeden widelec - zażartowała Mary, której zrobiło się żal Cecila.

W tym momencie przy stole zapadła cisza i jej słowa zabrzmiały głośno w całej jadalni. Mary zaczerwieniła się na widok uniesionych brwi Jasona.

Lady Weldon obrzuciła ją zimnym spojrzeniem brązowych oczu.

- Mam nadzieję, że nie mówi pani poważnie. Jako żonę hrabiego będą panią jednak obowiązywały pewne formy. Staralam się utrzymać standard domu na jak najwyższym poziomie.

- Przepraszam. Nie chciałam...

Mary spojrzała na Jasona i zobaczyła, że znów ma niezadowoloną minę.

- Ależ nie ma o czym mówić - powiedziała z uśmiechem Beatrice. - Mamo, nie powinnaś tak strofować Mary. Pamiętaj, że pochodzi z zupełnie innych sfer.

Przy stole zapadła cisza. Mary podniosła kieliszek i napiła się wina, mając nadzieję, iż chłodny napój ostudzi jej rozgorączkowaną twarz.

- Osobiście uważam, że panna Goodwin jest cennym nabytkiem w naszej rodzinie. Chciałbym tylko, aby przetrwała dłużej niż poprzednie hrabiowskie narzeczone - oznajmił Cecil.

Mary zakrztusiła się winem. Łapiąc powietrze zwróciła się do Jasona:

- Byłeś już wcześniej zaręczony?

- Nie - odparł Jason, spoglądając na służącego.

Służący podbiegł i dolał Mary wina.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział Cecil. - Miałem na myśli narzeczone poprzednich hrabiów. Od czasów piątego hrabiego Helsbury'ego nikt się nigdy nie ożenił, choć każdy był w swoim czasie zaręczony.

Mary szeroko otworzyła oczy.

- Nikt się nie ożenił? Dlaczego?

Pan Quimby po raz pierwszy przestał jeść i rozejrzał się wokół stołu. Po czym pochylił się do Mary i szepnął:

- Z powodu ducha.

- Ducha? - roześmiała się Mary, czując, iż znika gdzieś zakłopotanie, jakie męczyło ją przez cały wieczór. - Chce pan powiedzieć, że pan także wierzy w te głupstwa?

Mary usłyszała głośny dźwięk i spojrzała na Jasona. Widelec wypadł mu z ręki na talerz.

- Nie wolno się śmiać - powiedział pastor.

- Słucham? - Mary starała się przybrać poważniejszy wyraz twarzy. - Co to za duch?

Pastor kiwnął głową w stronę ściany za krzesłem lady Weldon. Mary odwróciła głowę.

Na ścianie, nad dwoma skrzyżowanymi mieczami, wisiał portret w grubej, złoconej ramie. Przedstawiony na nim mężczyzna był bardzo przystojny i, sądząc z wyrazu jego twarzy, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Miał na sobie ubranie w modnym przed dwudziestoma pięcioma laty stylu, złote, rozwiane włosy i

ozdobioną klejnotami tabakierkę w jednej ręce. Pod prostymi, czarnymi brwiami widniały zielone oczy, okolone gęstymi ciemnymi rzęsami, namalowane w taki sposób, iż zdawały się patrzeć wprost na Mary.

- Wygląda niezbyt groźnie - zauważyła.

Głośny dźwięk znów zwrócił jej uwagę na Jasona. Służący podbiegł i podniósł nóż, który Jason stracił na podłogę. Jej narzeczoney, dziwnie spięty, wpatrywał się wściekłym wzrokiem w portret szóstego hrabiego Helsbury'ego.

Służący nałożył Mary na talerz plaster soczystego bażanta. Zjadła kęs, rozkoszując się smakiem potrawy, po czym znów zwróciła się do Quimby'ego:

- Dlaczego duch, nawet jeśli istnieje, miałby powstrzymywać kolejnych hrabiów przed ożenkiem?

Pastor włożył właśnie do ust duży kawałek bażanta. Cecil wyręczył go w odpowiedzi.

- Vincenta zdradziła narzeczonea. Umierając rzucił klątwę na swój ród, przysięgając, iż żaden z jego potomków nie zostanie tak niegodziwie potraktowany. Mówi się, że teraz jego duch sprawdza wszystkie narzeczone.

- Sprawdza? Jak? - spytała Mary, nabijając na widelec kawałek bażanta.

Cecil wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jednakże wyniki są kiepskie.

- Co to znaczy?

- Aaron, brat Vincenta, siódmy hrabia Helsbury, był zmęczony przez wiele lat, ale nigdy nie wyznaczył daty ślubu. Wreszcie wybrał dzień i sprowadził narzeczoną do Helsbury House na miesiąc przed ślubem. Tej nocy usłyszała kroki w swoim pokoju. Tak się przeraziła, że zerwała zaręczyny i wyjechała następnego dnia.

- Przesadziła. - Mary gestem poprosiła służącego o sałatę. - Kilka skrzypiących desek nie jest dowodem na istnienie ducha.

Cecil poważnie potrząsnął głową.

- Być może. Aaron wrócił do wojska i został później zabity w bitwie pod Talaverą. Tytuł odziedziczył jego brat Roger. Lubił kobiety i nie zamierzał się ustatkować, ale dla porządku zaręczył się z niejaką panną Dalrymple. Ta z kolei widziała w swoim pokoju dziwne światło. Zerwała zaręczyny, spakowała się i wyjechała.

- Ojej - mruknęła Mary.

- Miesiąc później Roger zaręczył się z kolejną panną i przywiózł ją do Helsbury House. Nagle stał się bardzo niezgrabny i przewracał się dosłownie co krok. Lady Diana zerwała zaręczyny.

- To brzydko z jej strony - stwierdziła Mary, podnosząc wzrok znad talerza z sałatą.

- Bardzo brzydko. - Cecil kiwnął głową służącemu, żeby podał mu groszek. - Chociaż moim zdaniem to raczej Roger miał szczęście. Nadal jednak miał mocne postanowienie, aby się ożenić, choć zdawał sobie sprawę, że to duch wypłasza nieodpowiednie narzeczone. Następną zatem wybierał bardzo starannie. Była to panna Hortense Grimshaw, zacna chrześcijanka, która modliła się rano i wieczorem. Tymczasem, kiedy Roger przywiózł ją do Helsbury House, zdarzyło się coś dziwnego: za każdym razem, gdy Roger otwierał usta, rozlegało się przekleństwo. Przysięgał - między przekleństwami - że to duch przez niego przemawia, ale panna Grimshaw tak się obraziła, że wyjechała nazajutrz. Roger poddał się i spędził resztę życia zażywając grzesznych przyjemności. Kiedy umarł, hrabią Helsbury został Timothy, trzeci brat Vincenta.

Beatrice odłożyła widelec.

- Lepiej nie opowiadaj tej historii, Cecilu. Mary będzie się niepotrzebnie denerwować.

- Historie o duchach mnie nie denerwują - powiedziała Mary. - Niech pan mówi dalej.

- Timothy miał prawie sześćdziesiąt lat i wciąż był kawalerem, ale prędko zaręczył się z młodą dziedziczką. Przywiózł ją do Helsbury House.

Cecil urwał, czekając, aż służący zabierze jego talerz.

Inny służący zabrał talerz Mary, która w ogóle tego nie zauważyła.

- I co dalej?

- Tego nikt nie wie - odparł Cecil poważnie, choć z lekkim błyskiem w oku. - W środku nocy narzeczona z krzykiem wybiegła z domu.

- Niesłychane! Biedaczka!

Mary odsunęła się z krzesłem od stołu, gdy służba zaczęła zwijać obrus.

- Też mi coś, biedaczka! - prychnęła lady Weldon. Nie zasłużyła, aby zostać hrabiną Helsbury.

Quimby położył na stole Biblię i oparł na niej dłoń.

- Miejmy nadzieję, że Vincent zaakceptuje Mary.

Mary byłaby to skomentowała, ale służący podał jej talerzyk z ciastem. Zjadła kawałek czekoladowego tortu i westchnęła z przyjemnością.

Beatrice odmówiła ciasta.

- Te opowieści nie mają nic wspólnego z sytuacją Mary. Jestem pewna, że pasuje do naszego kochanego Jasona. W przeciwnym wypadku by jej nie wybrał - stwierdziła, spoglądając na Mary z uśmiechem. - Jestem pewna, moja droga, iż nie musisz się niczego obawiać.

Mary spojrzała na portret.

- Na pewno się nie boję takiego nadętego pyszałka - powiedziała ze śmiechem.

Jason rozlał wino.

- Bardzo przepraszam - wyjąkał. - Strasznie jestem dziś niezgrabny. Ciociu Weldon, czy nie pora, aby damy przeszły do salonu?

Lady Weldon majestatycznie podniosła się z miejsca.

- Oczywiście. Nie podobają mi się te opowieści o duchach.

Panowie i Beatrice także powstali. Mary poszła za ich przykładem. Podobały jej się zabawne historie i smakowało pyszne jedzenie. Po raz pierwszy, odkąd tu przed paroma godzinami przybyła, poczuła się swobodnie. Teraz jednak Jason chciał, żeby panie wyszły.

U Cooperów Jason niechętnie akceptował rozdzielanie towarzystwa. Często rezygnował z kieliszka porto, aby dotrzymać towarzystwa pani Cooper i Mary. Teraz Mary rzuciła na niego okiem. Może chciał pójść razem z paniami?

Jason, jakby czując na sobie jej wzrok, odwrócił się, spojrzał jej w oczy i lekko się skłonił. Jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

Mary, której znów zrobiło się zimno, poszła za lady Weldon. Przechodząc obok kominka, stwierdziła, że mimo wysokich płomieni nie czuło się ani odrobiny ciepła.

Drżąc wyszła z jadalni.

Wiesz, Jasonie, twoja narzeczona to sympatyczna osoba - powiedział Cecil, kiedy drzwi zamknęły się za damami. - Podoba mi się.

- Bardzo się cieszę - odparł Jason, biorąc od Quimby'ego butelkę porto i nalewając sobie do kieliszka. - Myślałem, że chciałeś ją wystraszyć, opowiadając wszystkie te historie z duchami.

Cecil ze śmiechem sięgnął po paterę z orzechami włoskimi. Zgniół jeden orzech i wydłubał zawartość ze skorupki.

- Prędzej czy później i tak by je usłyszała. Poza tym muszę powiedzieć, że nie wyglądała na przestraszoną.

To prawda. Zamyślony Jason sączył trunek. Zaskoczyła go reakcja Mary. Większość kobiet poczułaby się nieswojo, a Mary tylko się śmiała. Jej śmiech był uroczy...

- Jest zupełnie inna niż damy z towarzystwa - stwierdził Cecil.

- Czarujący, nieskałany kwiat kobiecości - dodał Quimby.

Podniósł kieliszek i jednym haustem wypił zawartość.

- I na swój sposób jest bardzo ładna. Włosy jak przypalony złoty dąb, oczy jak błękitne jajeczko polnego skowronka, a figura subtelna jak u leśnej nimfy...

- Horace - powiedział Jason, zaciskając palce na kieliszku.

- Co? Ach, wybacz mi, proszę - powiedział Quimby, nalewając sobie porto. - Po prostu panna Goodwin bardzo mi się podoba. Z przyjemnością bliżej się z nią poznam. W gruncie rzeczy... - urwał i wypił duszkiem drugi kieliszek, oblizując wargi - jeśli pozwolicie, pójdę teraz do dam.

- Horace - powtórzył Jason, rzucając mu ostre spojrzenie. - Czy nie musisz przygotować na jutro kazania?

- Nie - odrzekł Quimby, wstając i biorąc do ręki Biblię. - Już skończyłem.

- A może powinienes jeszcze raz je przejrzeć?

- Nie, ja... - Quimby spojrzał na Jasona i zmienił zdanie. - Rzeczywiście, to doskonały pomysł. Przepraszam.

I przyciskając Biblię do piersi wyszedł prędko z jadalni.

Cecil uniósł brwi.

- Praktykujesz na nim groźne spojrzenia, kuzynie?

Jason zmarszczył czoło, ale Cecil tylko się zaśmiał.

- Całkiem nieźle. Ja też zrozumiałem aluzję. Chcesz zostać sam, a zatem wychodzę.

Wyszedł z pokoju, biorąc po drodze garść orzechów.

Jason nie próbował go zatrzymać. Cecil był dobrym przyjacielem, czasem jednak Jason miał ochotę posłać go do diabła. Na przykład przy kolacji niepotrzebnie opowiadał Mary o duchach. Na szczęście chyba się nie przejęła.

Choć najwyraźniej polubiła Cecila.

Jason nalał sobie kolejny kieliszek porto.

I ona spodobała się Cecilowi. Co w końcu nie było niczym nadzwyczajnym, gdyż Mary miała w sobie coś, co przyciągało wzrok. Odczuł to sam na sobie. Przy kolacji z trudem słuchał tego, co mówiła Beatrice, ponieważ cały czas obserwował Mary.

Jaśniała z wyraźną przyjemnością. Słyszał, jak westchnęła, biorąc kawałek ciasta. Jedząc bażanta, przymykała z rozkoszy oczy, a zupę długo smakowała.

Kiedy się jej przyglądał, przypomniał sobie, jak po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę. Początkowo prawie jej nie zauważył, jednakże po kolacji u Cooperów, gdy wyszedł do ogrodu, Mary już tam była. Blask księżycy srebrzył jej włosy, a twarz miała jasną i spokojną. Jason obserwował ją z ukrycia, trochę zawstydzony swym zachowaniem, lecz było w niej coś takiego, co przykuło go do miejsca. Nie mógł się poruszyć i nie mógł oderwać od niej oczu.

Potrząsnął głową. Zachowywał się jak zakochany młodzieniaszek. Nalał sobie porto i podniósł do ust kieliszek. Miał parę spraw do przemyślenia.

Ogień rozbłysł i płomień wyskoczył do góry, by po chwili znów opaść. Świece zamigotały i w pokoju zrobiło się jeszcze chłodniej. W powietrzu rozsunął się zapach jesiennych liści.

Jason opuścił kieliszek i spojrzał przez pokój.

Błyszcząca, trochę przezroczysta postać zeszła z portretu. Stopniowo nabrała ciała i po chwili przed Jasonem stał Vincent Parsell, szósty hrabia Helsbury, z cynicznym uśmiechem na ustach.

Jason zacisnął palce na szkle.

- Dlaczego, do diabła, nie pójdziesz wreszcie do piekła i nie zostaniesz tam na zawsze?

Vincent roześmiał się głośno.

- Może i pójde. Jak tylko wyrwę cię z łap tej kobiety.
- Powtarzam ci już od pół roku, stryju, iż nie trzeba mi twojej pomocy.
- Czyżby?

Vincent podszedł bliżej. Jego złote włosy świeciły jak aureola, dając wrażenie anielskości, która kontrastowała z cynicznym błyskiem zielonych oczu.

- Z zadowoleniem przyjmowałeś moje uwagi, kiedy nie miałeś pojęcia, jak sobie radzić z zarządcą i z dzierżawcami.

Jason opuścił wzrok na stertę skorup z orzecha, pozostawionych przez Cecila.

- Tak, byłem bardzo wdzięczny...

Vincent zatrzymał się przy końcu stołu i wyjął z kieszeni srebrną tabakierkę, ozdobioną klejnotami.

- Nie miałeś nic przeciwko temu, żebym ci powiedział, gdzie jest dokument udowadniający, że Las Południowy należy do Helsbury.

- Twoja wiedza na temat spraw związanych z majątkiem bardzo mi się przydała...

- A kto cię nauczył wiązać halsztuk?

Długim, eleganckim palcem postukał w wieczko tabakierki. Pokrywka odskoczyła i Vincent wyjął szczyptę tabaki.

- Nadal nosiłbyś wymięty kawałek materiału, gdyby mnie tu nie było.

Jason roześmiał się mimo woli.

- To prawda. Dzięki tobie nie stałem się pośmiewiskiem całego hrabstwa. Jednakże... - Jason przestał się uśmiechać i podniósł wzrok na Vincenta. - Jednakże wolałbym sam zajmować się Mary.

- Też coś! - parsknął Vincent, zamykając tabakierkę. - Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo potrzebujesz pomocy. Ona jest gorsza od wszystkich poprzednich razem wziętych. Słyszałeś, jak się śmiała, kiedy Quimby o mnie opowiadał?

- Słyszałem.

- Jak można robić sobie żarty ze zmarłych? Ta kobieta niczego nie szanuje.

Vincent zaczął chodzić wokół stołu.

- Jest bardzo rozsądna - powiedział Jason.

- Rozsądna!

Vincent przeszedł obok Jasona, za nim wionęło zimne powietrze.

- Słyszałeś, jak się o mnie wyraziła? Nadęty pyszałek. Ja! Hrabia Helsbury! Nigdy w życiu, a nawet po śmierci, nikt mnie tak nie obraził. Dlaczego mnie nie broniłeś?

Jason z niesmakiem przewrócił oczyma.

Grube zasłony zakołysały się, gdy Vincent przeszedł do miejsca, gdzie siedział Cecil. Skorupy orzechów przesunęły się na brzeg stołu i spadły na podłogę.

- Nie możesz się ożenić z tą kobietą. Będziesz przez nią nieszczęśliwy.

- Nic o niej nie wiesz.

- Wiem, że przy kolacji flirtowała z twoim kuzynem. Na pewno słyszała, że jest bardzo bogaty.

- Była po prostu uprzejma.

Vincent, który znów doszedł do końca stołu, przystanął i obejrzał się przez ramię.

- Zdaje mi się, że jesteś zazdrosny.

- Nie jestem zazdrosny - oświadczył beznamiętnie Jason.

- Oczywiście, że nie jesteś - powiedział z szyderczym uśmiechem Vincent, obserwując Jasona spod oka. -

Trochę się zdziwiłem, że umieściłeś narzeczoną w błękitnym apartamencie - stwierdził od niechcienia.

- Doprawdy? - powiedział Jason, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Owszem. Narzeczone zawsze spały w żółtym apartamencie.

- Tak mówiła ciotka Weldon - stwierdził Jason. - Jednakże Mary nie cierpi żółtego koloru. Wiem, że miałeś jakieś nieprzyjemne wspomnienia związane z błękitnym apartamentem, ale jestem pewien, że po tylu latach nie mają już one znaczenia.

- Nie mają - potwierdził Vincent, mrużąc oczy.

- Bardzo się z tego cieszę, stryju.

Vincent ściągnął brwi, a potem wzruszył ramionami.

- Cóż, to nie takie ważne. Jutro jej tu nie będzie. Podejrzewam, że wystraszę ją bez najmniejszego trudu. Taka mała myszka. Na pewno wyleci z krzykiem z domu, jak tylko szepnę jej do ucha: „Buuu”.

Jason dopił porto.

- Nie chcę, żebyś szeptał jej „buuu” do ucha. I wolałbym, gdybyś się powstrzymał od swych zwykłych sztuczek.

- Sztuczek? Czy ja jestem jakimś tanim magikiem?

Jason zignorował uwagę Vincenta.

- Uważam, iż powinieneś się zastanowić nad tym, co się stanie, jeśli żaden z kolejnych hrabiów Helsburch nie będzie się żenił. W końcu zabraknie dziedziców tytułu.

Vincent odwrócił wzrok.

- Zapewniam cię, że chcę się tylko przekonać, czy ta kobieta warta jest rodzinnego nazwiska.

Jason odstawił kieliszek i wstał.

- Sam o tym zadecyduję.

Vincent wpatrywał się w niego ze zmarszczonym czołem. Jason nie opuścił oczu.

W ciszy głośno tykał zegar nad kominkiem.

Vincent opuścił powieki i przybrał gładki wyraz twarzy.

- Jeśli sobie życzysz, to naturalnie nie będę się wtrącał - mruknął.

- Dziękuję, stryju. Cieszę się, że choć raz osiągnęliśmy porozumienie.

Vincent uniósł ze zdumieniem brwi.

- Często się przecież zgadzamy. Powiedz mi, co zamierzasz zrobić w sprawie Blevinsa?

- Wybieram się jutro do wioski, żeby z nim porozmawiać.

- Porozmawiać? O czym tu rozmawiać? Musisz podjąć działania...

- Dziękuję, stryju - przerwał mu Jason. - Jestem pewien, że sobie poradzę. A teraz, jeśli mi pozwolisz, chciałbym wrócić do pań.

- Proszę bardzo.

Vincent zachował neutralny wyraz twarzy, dopóki Jason nie wyszedł, ale kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi jadalni, znów ściągnął brwi.

Już po raz trzeci w ostatnim tygodniu Jason odmówił rozmowy na temat majątku. Młody człowiek zachowywał się dziwnie, odkąd przed dwoma tygodniami ogłosił przyjazd panny Mary Goodwin i ich bliski ślub. W całym domu panowało zamieszanie. Lady Weldon narzekała na krótki termin, w którym musiała zorganizować tradycyjne przyjęcia. Beatrice zintensyfikowała próby zagarnięcia Jasona dla siebie - stale szukała jego towarzystwa i dotykała go przy każdej okazji. Quimby i Cecil zarzucili Jasona pytaniami narzeczoną, ale niewiele się dowiedzieli.

Vincent zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Lubił Jasona, tory był bardzo podobny do Gilberta. Gilbert,

najmłodszy z braci, był zawsze ulubieńcem Vincenta. Dobry z natury, zdeterminowany, aby zawsze dorównywać we wszystkim czterem starszym braciom, odznaczał się także szalonym uporem. Jason najwyraźniej odziedziczył tę cechę po ojcu.

Vincent zatrzymał się przy kominku i spojrzał na płonące szczapy. Wiedział, że pół roku temu Jason uważał, iż jest zakochany w tej Mary. Mimo że nigdy nic nie mówił, wyraz jego oczu przy wymawianiu jej imienia wystarczał każdemu postronnemu obserwatorowi.

Na szczęście długotrwałe rozstanie i kłopoty związane z nową pozycją, nie wspominając już o częstych kazaniach Vincenta o perfidii kobiet, zgasiły głupie sentymenty Jasona.

Tak przynajmniej wydawało się Vincentowi.

Teraz nie był pewien, czy w Jasonie nie tli się jeszcze iskierka uczuć. Jeśli tak, musiał działać, aby znów nie zapłonęła większym ogniem. Żeby tylko Jason nie odrzucił jego pomocy!

Vincent potrząsnął głową. Chciał jedynie zaoszczędzić Jasonowi bólu. Nie miał pojęcia, co to znaczy być zdradzonym przez kobietę...

Vincent zacisnął dłoń na tabakierce. Klejnot wbił mu się w palec, powodując dziwne uczucie, podobne do bólu.

Vincent spojrzał na rękę. Skoro Jason nie chciał słuchać głosu rozsądku, to on, Vincent, musi zaakceptować jego życzenie.

Oczywiście.

Kiedy to postanowił, odetchnął głęboko, wyciągając energię z ciepła na kominku i z migoczących świec. Poczul się pewniej i silniej.

Teraz musiał jeszcze znaleźć sposób, aby przywitać Mary w rodzinie.

Wizyta w jej pokoju... Za jakąś godzinę lub dwie...

Uśmiech wykrzywił mu wargi. Schował tabakierkę do kieszeni i wszedł z powrotem na obraz.

Nie mógł się doczekać północy.

6

Mary siedziała w salonie z głową pochyloną nad robótką i z całego serca marzyła o tym, żeby pójść do swego pokoju.

Nie była zmęczona i nie marzła. Razem z szyciem przyniosła sobie z pokoju szal, a zresztą w salonie było bardzo przyjemnie i ciepło. Nie przeszkadzało jej nawet to, iż lady Weldon całkowicie ją ignorowała, siedząc w przypominającym tron fotelu przy kominku i czytając zbiór kazań.

Najbardziej zmęczyła ją Beatrice, która była szalenie... miła.

Beatrice, trzymając w ręce gęsie pióro, siedziała przy sekretarzyku, na którym leżała kartka papieru, ale nie napisała jeszcze ani słowa. Rozmawiała z Mary bardzo miłutko i serdecznie, opowiadając jej najrozmaitsze anegdoty, i Mary naprawdę doceniała jej uprzejmość, choć w miarę słuchania stawała się coraz bardziej przygnębiona.

- Bal u księcia Stafforda był towarzyskim wydarzeniem roku - mówiła Beatrice, uśmiechając się różnymi usteczkami. - Wszyscy marzyli o otrzymaniu zaproszenia. Ludzie przyjechali aż z Londynu. Moja biedna przyjaciółka Clarice miała grypę i nie mogła pojechać na bal. Wszystko jej dokładnie opisałam, ale oczywiście to nie jest to samo. Strasznie było mi jej żal, tak samo jak wtedy, kiedy przełożona złapała ją na ściąganiu podczas egzaminu. Uczęszczałyśmy na zajęcia dla młodych panien w szkole panny Finch. Byłyśmy przyjaciółkami od serca.

- To miłe - mruknęła Mary.

- Tak, w szkole można znaleźć prawdziwą przyjaźń. Clarice jest spokrewniona z biskupem i z wicehrabią. Powiedz mi, do jakiej szkoły chodziłaś. Mary?

- Nie chodziłam do szkoły - odparła spokojnie Mary. - Mama uczyła mnie w domu.

- Ach, to... niezwykle. I pechowe. Wiesz, jak ważne są odpowiednie koneksje.

- Nie, nie wiedziałam.

Beatrice przesunęła palcem po papierze.

- Nie martw się, opowiem o tobie wszystkim moim przyjaciółkom. Kiedy weźmiecie ślub, będziesz musiała wydać bal, żebym mogła cię im przedstawić. Zrobisz to, prawda? Jako hrabina będziesz musiała często przyjmować gości.

- Tak? - spytała Mary, starannie wyszywając brzeg niebieskiej jedwabnej sukni.

- Oczywiście. - Beatrice musnęła rudy lok gęsim piórem. - To podstawowa sprawa. Lubisz bale, prawda?

- Nigdy nie byłam na balu.

Beatrice otworzyła szeroko oczy.

- Nigdy nie byłeś na balu?

- Choć mój brat i bratowa często wydawali przyjęcia.

- Och!

Beatrice odwróciła wzrok, jakby Mary powiedziała coś niestosownego.

- Jestem pewna, że ci się spodoba urządzenie balu. Naturalnie będziesz musiała czynić honory domu, ale to nic trudnego. Pomogę ci, jeżeli będziesz chciała.

Powstrzymując niegrzeczny odruch poinformowania Beatrice, że nie potrzebuje jej pomocy, Mary skupiła się na swej robótce. Beatrice trzepała dalej. Dlaczego panów tak długo nie ma? Nie spędzą przecież całego wieczoru w jadalni, pijąc i rozmawiając ze sobą? Jason przyjdzie na pewno, choćby tylko po to, aby powiedzieć im dobranoc?

- Jako hrabina będziesz musiała spełnić wiele oczekiwań. - Głos Beatrice przerwał rozmyślenia Mary. - Musisz, na przykład, pamiętać, żeby czasami zachodzić do miejscowego sklepu. Oczywiście, ładne rzeczy kupujemy w Londynie, ale na codzienne zakupy wystarcza sklep wioskowy. W zeszłym tygodniu Jason kupił tam wentylator. Był strasznie brzydki, więc oddał go ciotce Sally.

Słyszając to imię, Mary podniosła głowę znad szycia. Prawda, Sally Parsell.

- Czy pannie Parsell podobał się prezent? - spytała.

- Nie wiem. Jason jest jedyną osobą, która z nią rozmawia. Odwiedza ją każdego popołudnia, chociaż mama mu to odradzała.

Lady Weldon odłożyła książkę.

- Wiele razy mówiłam Sally, że jej strach jest głupi i irracjonalny, ale nie chce mnie słuchać. Więcej nie będę się wtrącać.

- Czego się boi? - zapytała Mary, marszcząc brwi.

- Zdradziła Vincenta - odparła Beatrice. - Przyjaźniła się z jego ówczesną narzeczoną. Teraz Vincent czai się za drzwiami pokoju Sally, żeby się na niej zemścić. Tak przynajmniej twierdzi Sally - dokończyła z uśmiechem Beatrice.

- Biedna kobieta! - wykrzyknęła Mary.

- Nie ma jej co żałować - powiedziała lady Weldon. - Musi się wreszcie ocknąć. Jestem pewna, że najlepiej byłoby ją całkowicie odizolować od reszty domowników.

- To byłoby niepotrzebne okrucieństwo - stwierdziła odruchowo Mary.

Lady Weldon zeszywniała.

- Czasami trzeba być okrutnym, żeby wyświadczyć komuś przysługę - stwierdziła oziębłym tonem. - Powinna się pani tego jak najszybciej nauczyć.

Lady Weldon powróciła do swej książki.

Beatrice spojrzała na matkę i na Mary, potem zanurzyła pióro w kałamarzu i napisała coś na kartce papieru. W ciszy słychać było skrzypienie pióra.

Mary przygryzła wargę i kontynuowała szycie. Nie zgadzała się z lady Weldon, lecz nie chciała wszczynać kłótni. Poza tym była pewna, że Jason nigdy by się nie zgodził na takie nieludzkie traktowanie.

Skrzypienie pióra ustało.

- Co ty szyjesz, Mary? - spytała Beatrice, ponownie maczając pióro w kałamarzu.

- Wykańczam ślubną suknię - odparła cicho Mary, nie przerywając roboty.

- Ślubną suknię?! - wykrzyknęła Beatrice. Jej dłoń z piórem zastygła w powietrzu.

Lady Weldon znów odłożyła książkę.

- Chyba pani żartuje.

Mary zacisnęła palce na igle.

- Czemu pani tak mówi?

- Wychodzi pani za hrabiego - powiedziała lady Weldon, spoglądając na nią z góry. - Musi pani być odpowiednio ubrana.

- Ależ, mam, jestem przekonana, że Mary, przy swoim pochodzeniu, jest doskonałą szwaczką - powiedziała Beatrice, uśmiechając się do Mary. - Wydaje mi się, że mamie chodzi o to, że teraz w modzie są białe suknie. Znam krawcową we wsi. Porozmawiam z nią i na pewno się zgodzi uszyć ci coś modnego.

Mary potrząsnęła głową.

- Bardzo dziękuję, ale wolę własną suknię.

Tego akurat była pewna. Jasonowi zawsze się podobała w niebieskim. Poza tym nie lubiła białego koloru. Był taki zimny i pozbawiony uczucia.

Lady Weldon z trzaskiem zamknęła książkę.

- Nie sądzę...

Otworzyły się drzwi. Trzy głowy odwróciły się jednocześnie. W drzwiach stał Jason, niemal dotykając framugi szerokimi ramionami.

Lady Weldon natychmiast się uśmiechnęła.

- Ach, jesteś wreszcie, mój chłopcze. Myślałam, że nie zechcesz dziś do nas przyjść.

- Skądże znowu - powiedział grzecznie Jason, spoglądając na Mary.

Przeszedł przez pokój i usiadł na sofie przy jej krześle. Siedział tak blisko, że Mary widziała skręcone włosy na karku i czuła zapach jego mydła. Serce zabiło jej mocniej.

Lady Weldon wodziła wzrokiem od Jasona do Mary. Jej uśmiech nie był już tak ciepły.

- Na szczęście nie przyszedłeś za późno. Muszę się wkrótce położyć. Mam jutro mnóstwo rzeczy do zrobienia, zwłaszcza w związku z przyjęciami, na których mamy przedstawić wszystkim Mary.

- Przyjęciami? - powtórzyła Mary z niepokojem.

Spojrzała na Jasona. Mówił coś takiego w powozie w drodze ze stacji, ale wówczas myślała o podróży poślubnej.

- Naturalnie - powiedziała Beatrice, chowając kartkę papieru do szuflady sekretarzyka. - Przed ślubem tradycja przewiduje wieczór muzyczny, śniadanie i bal maskowy, aby wprowadzić narzeczoną hrabiego Helsbury'ego do towarzystwa.

Mary próbowała ukryć konsternację. Nie miała strojów odpowiednich na takie okazje.

- Z pewnością nie zdąży się urządzić tylu przyjęć - wyjąkała nieśmiało.

- Cioci Weldon udało się zaplanować wszystko na ten tydzień - powiedział Jason. - Wieczór muzyczny będzie pojutrze, a śniadanie następnego dnia. Bal maskowy odbędzie się dwa dni później.

Mary zaniepokoiła się nie na żarty. Rzuciła okiem na Beatrice, zastanawiając się, czy mogłaby ją poprosić o pożyczenie sukni. Jednakże mimo jej propozycji pomocy nie mogła się do tego zmusić. Włożyła ślubną

suknię, postanowiła niechętnie. Był to jej jedyny elegancki strój.

- Tradycyjne przyjęcia nie bywają zazwyczaj słoczzone w ciągu jednego tygodnia - stwierdziła lady Weldon, patrząc wściekłym wzrokiem na Mary, jakby była to jej wina. - Mam tylko nadzieję, że jeszcze tu pani będzie. Przygotowywałam podobne okazje dla narzeczonych poprzednich hrabiów i każda wyjeżdżała przed wieczorem muzycznym. Spodziewam się, że nie okaże się pani aż tak niewdzięczna.

- Nigdzie się nie wybieram - stwierdziła Mary.

Obejrzała brzeg sukni, zadowolona, iż jej praca zbliża się ku końcowi. Na pewno zdąży na czas.

- Nie martw się, mamo - powiedziała Beatrice. - Jestem pewna, że Mary nie przestraszy się jakiegoś głupiego hałasu, prawda, Mary?

- Na pewno nie. To bardzo miło z pani strony, że wszystkim się pani zajęła - dodała, zwracając się do lady Weldon.

Lady Weldon niemal niezauważalnie skłoniła głowę.

- Wieczór muzyczny z pewnością ci się spodoba - powiedziała Beatrice, nawijając na palec rudy lok. - Tradycyjnie gramy w pewną grę. Wszystkie panie kładą na tacy rękawiczkę, a panowie je wybierają. Wtedy każda pani może się domagać od swego ukochanego spełnienia prośby.

- A jeśli któryś z panów nie wybierze rękawiczki swojej ukochanej?

- Służący, który chodzi z tacą, daje panom pewne wskazówki. Oczywiście może się zdarzyć, że ktoś celowo wybierze niewłaściwą rękawiczkę. Nie martw się, Mary. Hrabiowie Helsbury zawsze wybierają rękawiczki swoich narzeczonych. W przeciwnym wypadku zachowaliby się bardzo obraźliwie.

- Miejmy zatem nadzieję, że nie będę pierwszą narzeczoną w historii, której się to przydarzy - powiedziała Mary na wpół żartobliwie.

- Na pewno nie - mruknął Jason.

- Ojej, wygląda na to, że przywiązuję za dużą wagę do gry w rękawiczki - zawołała Beatrice. - To nie jest aż tak istotne. Punktem kulminacyjnym wieczoru jest występ narzeczonej; musi zagrać na jakimś instrumencie albo zaśpiewać.

Mary powoli zawiązała supełek i odcięła koniec nitki.

- Obawiam się, że nie potrafię grać ani śpiewać.

- A to ci kłopot!

Mary podniosła oczy znad robótki i spostrzegła zmartwiony wyraz twarzy Beatrice.

- Będziesz musiała za nią zaśpiewać, Beatrice - powiedziała lady Weldon.

- Nigdy w życiu bym się nie odważyła - stwierdziła Beatrice, skromnie spuszczać oczy.

- Bzdura. Pięknie śpiewasz. Jasonie, powiedz Beatrice, że musi zaśpiewać - rozkazała lady Weldon.

- Proszę cię - mruknął Jason.

Beatrice zatrzepotała rzęsami.

- Jeśli tak bardzo nalegasz.

Mary spojrzała na Jasona. Nie zwrócił żadnej uwagi na rzęsy Beatrice, natomiast wpatrywał się w dłonie Mary. Zaskoczona niezgrabnie wbiła igłę i ukłuła się w palec. Krzyknęła cicho i włożyła palec do ust. Spojrzenie Jasona przesunęło się na jej wargi.

Czerwieniąc się, opuściła rękę. Przypuszczalnie znów zrobiła coś niestosownego.

- Czy podczas wieczoru muzycznego będą tańce? - spytała, chcąc odwrócić uwagę od popełnionej gafy.

- Nie - odparł Jason, wracając wzrokiem do jej rąk.

- Ale będzie się tańczyć na balu maskowym - przypomniała mu Beatrice. - A przy śniadaniu będziemy grać w wolanta i fechtować się.

- Fechtować? - powtórzyła niepewnie Mary.

Jason mówił jej kiedyś, że uczył się szermierki w szkole, ale Mary uważała ten sport za niebezpieczny.

- To niesłychanie ekscytujące - stwierdziła Beatrice.

Wstała, podeszła do sofy i usiadła przy Jasonie, dotykając jego ramienia.

- Jestem pewna, że wygrasz.

Przez chwilę Mary nie mogła oderwać oczu od Jasona i uśmiechającej się do niego Beatrice. Znów poczuła ukłucie zazdrości. Ta dziewczyna była doprawdy doskonała. Śliczna i uprzejma. Wykształcona i dobrze ustawiona w towarzystwie. I niewątpliwie miała w szafie tuziny pięknych sukien.

Mary poczuła, że musi natychmiast wyjść z salonu. Szybko złożyła niebieską suknię, wzięła przybory do szycia i wstała.

- Proszę mi wybaczyć, ale jestem bardzo zmęczona po podróży. Dobranoc państwu.

Jason zerwał się.

- Odprowadzę cię do pokoju, Mary.

Beatrice zacisnęła palce na rękawie jego surduta.

- Mam do ciebie drobną sprawę, Jasonie, o której chciałabym porozmawiać, jeśli można.

Jason zawahał się.

- Nie musisz mnie odprowadzać - powiedziała prędko Mary. - Sama trafię.

Wyszła z pokoju i wzięła lampę stojącą na stole w holu. Pospiesznie weszła na górę i ruszyła korytarzem, chcąc się znaleźć jak najdalej od salonu.

Skrecając w korytarz, przy którym był błękitny apartament, zwolniła kroku. Powinna się wstydzić swej zazdrości o Beatrice. Przecież starała się, jak mogła, żeby jej ułatwić życie. W końcu to nie jej wina, że Mary nie ma odpowiednich strojów, wysoko postawionych przyjaciół ani że nie umie śpiewać i grać na pianinie. Pomyślała, że chyba rzeczywiście jest zmęczona po podróży i dlatego tak marnie się czuje...

Tuż przy niej otworzyły się drzwi i Mary omal nie wpadła na wychodzącą z pokoju służącą, która przyciskała do piersi kwiatek w doniczce. Służąca dygnęła i pobięła korytarzem.

Mary spoglądała za nią przez chwilę, a potem spojrzała na drzwi. To na pewno pokój Sally Parsell, pomyślała. Lady Weldon uważała, że panna Parsell nie powinna mieć żadnego towarzystwa.

Musi się czuć straszliwie samotna.

Mary wyprostowała się i podeszła bliżej drzwi. Cóż takiego, że pozna kuzynkę Jasona? Dobre wychowanie nawet tego wymaga. Przedstawi się, a jeśli Sally Parsell będzie niezadowolona, natychmiast wyjdzie.

Na stukanie odezwał się jakiś głos:

- Proszę wejść.

Mary weszła.

Szczupła kobieta z siwiejącymi jasnymi włosami, w różowej koszuli nocnej z falbankami i w fartuchu, podlewała kwiaty przy wysokim oknie w kącie pokoju. Odwróciła się, patrząc na Mary ze zdumieniem.

- Kim jesteś? - spytała, z konewką na wpeł przechyloną w powietrzu.

Mary dygnęła.

- Nazywam się Mary Goodwin i jestem narzeczoną hrabiego Helsbury. Za tydzień bierzemy ślub.

- Doprawdy? - Sally Parsell podlała kwiat i podeszła do następnego. - Przypuszczam, że Vincent wystraszy cię stąd tak samo, jak te inne.

Mary wybuchnęła śmiechem.

- Na pewno nie. Nie wierzę w duchy.

- Nie? - Kobieta wyprostowała konewkę i odwróciła się do Mary, spoglądając na nią dużymi, brązowymi oczyma. - Coś takiego!

Widząc z bliska zmarszczki wokół jej oczu. Mary zdała sobie sprawę, że Sally jest starsza niż jej się początkowo wydawało. Przypuszczalnie zbliżała się do pięćdziesiątki. Miała bardzo delikatne ręce. Mary spojrzała na dużą, cynową konewkę.

- Czy mogę pani pomóc podlać kwiaty?

Starsza pani zawahała się, a potem kiwnęła głową.

- Jeśli chcesz.

Mary przeszła przez pokój i wzięła od niej ciężką konewkę. Poczowała słodki zapach lawendy, szałwi i tymianku.

- A zatem - powiedziała panna Parsell, siadając na wrzecionowatym krześle obok półki, na której stało mnóstwo małych buteleczek i słoiczków - powiedz mi, co myślisz o Helsbury House.

- Jest bardzo piękny - odparła Mary, uważnie podlewając kwiaty.

- I nie jest ci tu zimno?

- Może troszeczkę. - Mary przeszła do następnego rzędu kwiatów. - Wydaje cni się, że byłoby cieplej, gdyby w holu położono dywan.

Panna Parsell zaśmiała się chrypliwie.

- Żeby ocieplić ten dom trzeba czegoś więcej niż dywanu. Tu jest zimno od dwudziestu pięciu lat.

Mary podniosła głowę.

- Mieszka tu pani od tak dawna? Czy znała pani Jasona, zanim został hrabią?

- Spotkałam go raz czy dwa. Przyjeżdżał tu czasami. Na pogrzeby różnych krewnych.

- Ach, tak?

Panna Parsell pokazała doniczki z kwiatami, które stały na stole w przeciwległym kącie pokoju, między łóżkiem a małą półką na książki.

- Nie zapomnij o nich.

Mary podeszła do stołu i podlała kwiaty, uważając, aby ani kropla wody nie spadła na wachlarz z różowych strusich piór, leżący obok doniczek.

Kiedy skończyła podlewać, panna Parsell uśmiechnęła się szeroko.

- Bardzo dziękuję. To było naprawdę ogromnie miłe.

- Ach, to naprawdę nic takiego. Pracowałam jako osoba do towarzystwa i często wykonywałam różne prace dla pani Cooper.

- Osoba do towarzystwa? - Brwi panny Parsell podjechały aż do linii włosów. - Czy Eugenia wie o tym?

- Jeśli ma pani na myśli lady Weldon, to tak, wie. Nie lubi mnie.

- Pewno, że nie - powiedziała panna Parsell z przebiegłym uśmiechem. - Ja cię lubię.

- Ach, dziękuję - rzekła zaskoczona Mary.

- Nie musisz mi dziękować. Widzę, że będziesz doskonałą żoną dla Jasona. Problem tylko... Co z Vincentem?

- Już pani mówiłam, że nie wierzę...

- Tak, tak - przerwała jej panna Parsell. - Nie wierzysz w duchy. A jutro już cię tu nie będzie. Chyba że...

Panna Parsell zamilkła i zapatrzyła się przed siebie.

- Chyba że co?

Panna Parsell spojrzała na Mary.

- Nic ważnego. Bardzo cię proszę, mów do mnie ciociu Sally. Ostatecznie wkrótce będziemy rodziną.

Mary niezmiernie się ucieszyła. W towarzystwie Beatrice i lady Weldon czuła się nieswojo, a teraz

spotkała kobietę z rodziny Parsellów, którą bez zastrzeżeń polubiła.

- Dobrze, ciociu Sally.

Rozległo się stukanie do drzwi i weszła służąca z herbatą. Spojrzała na Mary szeroko otwartymi oczyma, dygnęła i wyszła.

- Napijesz się ze mną herbaty? - spytała ciotka Sally.

Mary kiwnęła głową.

Sally wstała i rozejrzała się wśród buteleczek na półce.

- Zawsze sama parzę sobie herbatę. Mam specjalną rumiankową mieszankę, która ci z pewnością będzie smakować.

Ciotka Sally wsypała do filiżanki kilka suchych listków.

- Jestem zielarką - wyjaśniła.

- A to jest cioci ogród? - spytała Mary, przyglądając się różnym doniczkom.

- Tak. Uprawiam wiele roślin leczniczych, między innymi łuskiewnik, mak i walerianę.

Ciotka Sally wzięła z półki buteleczkę i szczerze dołała czegoś do filiżanki Mary.

- Co to jest?

- Mój własny tajemniczy składnik. - Nalała do filiżanki gorącej wody i podała ją wraz ze spodeczkiem Mary. - Usiądź, Mary. Wypij i powiedz mi, co myślisz.

Mary usiadła na wrzecionowatym krześle i spróbowała napoju. Omal się nie zakrztusiła. Nigdy w życiu nie piła czegoś równie paskudnego. Paliło ją w gardle i było obrzydliwie słodkie. Rumianek był tak mocny, że aż gorzki.

- Smakuje ci?

Mary miała ochotę zaprzeczyć, ale nie chciała obrazić tej miłej kobiety.

- To bardzo niezwykły napój - stwierdziła z uśmiechem.

Z wysiłkiem wypila mieszankę do końca. Bojąc się, że dostanie drugą porcję, szybko wstała z krzesła.

- Muszę już iść. Cieszę się z poznania cioci.

- Przychodź, kiedy chcesz. Dobranoc, Mary. Śpij dobrze. I nie pozwól, żeby Vincent cię nastraszył.

Mary zatrzymała się przy drzwiach i uśmiechnęła do miłej ciotki Jasona.

- Nie pozwolę - obiecała.

Kiedy Mary znalazła się w swoim pokoju, prędko nalała sobie dużą szklankę wody z dzbanka przy łóżku i wypila jednym haustem.

Mimo to nadal czuła w ustach okropny smak.

Dołała sobie wody i wypila, przepłukując nią usta. Powoli nieprzyjemny smak zniknął. Powtórzyła płukanie wiele razy. Wstrętny smak wreszcie znikł zupełnie. Z westchnieniem ulgi odstawiła szklankę.

Rozpięła suknię. Miała nadzieję, iż ciotka Sally nie domyśliła się, że herbatka jej nie smakowała; nie chciałyby zranić uczuć tej bardzo samotnej, delikatnej kobiety. Teraz Mary tym bardziej by się sprzeciwiła, gdyby Jason miał pójść za radą lady Weldon i unikać w przyszłości ciotki Sally. Odosobnienie byłoby dla biednej kobiety czymś najgorszym. Będzie musiała porozmawiać o tym z Jasonem.

Powoli złożyła suknię i schowała ją do szafy. Pytanie tylko, czy Jason zechce jej posłuchać.

Zdejmując i chowając halki Mary zastanawiała się, co powie Jason, kiedy przedstawi mu swe zdanie na temat ciotki Sally. Czy wysłucha jej chętnie? Obojętnie? Niechętnie? Mary niezdarne rozwiązywała sznurówkę gorsetu. Trudno było przewidzieć, jak Jason zareaguje. Teraz nie potrafiła już, tak jak kiedyś, przewidzieć jego zachowania.

Szkoda, że to się zmieniło. W salonie Jason przyglądał jej się bardzo uważnie i Mary nie bardzo wiedziała dlaczego. Przedtem nigdy tak na nią nie patrzył. Kiedyś, u Cooperów, Jason spoglądał na nią ciepło i przyjaźnie. W ciągu tych paru godzin, odkąd się tu znalazła, jego wzrok był przeważnie chłodny i obojętny. Jednakże w salonie, kiedy przyglądał się, jak szyła, zobaczyła w jego oczach intensywne uczucie, które sprawiło, iż poczuła się dziwnie.

Wreszcie rozwiązała ostatnią sznurówkę i wtedy usłyszała jakiś hałas. Nasłuchując chwyciła poły gorsetu i przyciągnęła je do siebie.

Znów ten hałas.

Rzuciła okiem na grube, atlasowe, niebieskie zasłony wiszące w oknach. Nie potrafiła zidentyfikować hałasu - był to szeleszczący i jakby drapiący dźwięk, który dobiegał z zewnątrz.

Hałas rozbrzmiewał coraz głośniej.

Mary powiesiła gorset na oparciu krzesła i wzięła świecę. Powoli podeszła do okna. Co tam może być?

Czyżby duch?

Uśmiechnęła się na tę myśl. Mimo to przeleciał jej po plecach lekki dreszcz. A jeśli za oknem jest Vincent, który stuka w szybę i tylko czeka, żeby ją zamknąć w zimnym uścisku?

Potrząsnęła głową i odsunęła zasłony. Przycisnęła czoło do zimnej szyby, starając się dostrzec coś za oknem, ale przeszkadzało jej w tym światło świecy. Otworzyła okno i zadrżała, gdy chłodne nocne powietrze owiało jej nagie ramiona i szyję i przeniknęło przez cienki materiał bawełnianej koszulki. Tuż pod oknem słyszała głośny teraz i wyraźny hałas. Wychyliła się, unosząc wysoko świecę. Nadal nic nie widziała, wychyliła się zatem jeszcze bardziej...

Wpatrywała się w nią para czarnych oczek.

Mary podskoczyła i pisnęła.

Kolczasty jeź, który wspinał się po rynnie, także pisnął. Poruszył spiczastym nosem, zazgrzytał pazurkami po metalowej rurze i szybko uciekł.

Śmiejąc się z jeża i z siebie samej, Mary zamknęła okno, zaciągnęła zasłony i odstawiła świecę na toaletkę. Jak mogła przestraszyć się jeża! Te opowieści o duchach kompletnie ją otumanily. Za chwilę z pewnością zobaczy krasnoludki. Wciąż się uśmiechając, podeszła do szafy i zdjęła koszulkę. Drżąc z zimna czym prędzej włożyła ciepłą flanelową nocną koszulę i usiadła przy toaletce.

Wzięła do ręki szczotkę i uniosła ją, ale zaskoczyło ją własne, szerokie ziewnięcie. Potrząsnęła głową, lecz ziewanie nie ustępowało.

Odłożyła szczotkę i podniosła ręce, aby zapleść włosy. Jej ramiona stały się nagle strasznie ciężkie.

Opuściła je. Może jeśli pozwoli im chwilę odpocząć...

Oczy same się zamykały. Mary pochyliła się do przodu, omal nie spadając z krzesła. Otworzyła oczy. Znów podniosła ręce, ale były jeszcze cięższe niż przedtem. Usiłowała podjąć jakąś decyzję, ale umysł pracował leniwie.

Powieki ponownie zaczęły jej opadać, gdy usłyszała głośne stukanie.

Usiadła prosto, oszołomiona. Rozejrzała się po pokoju, starając się dociec, skąd pochodzi hałas. Czy wrócił jeź?

Hałas rozbrzmiał ponownie i Mary zdała sobie sprawę, że ktoś puka do drzwi.

Wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je.

Za nimi stał Jason.

Mary zamrugła oczyma.

- Jason?

- Obudziłem cię?

- Nie. Zaplatałam włosy. Ale moje ręce są zmęczone. To znaczy ja jestem zmęczona - powiedziała

niewyraźnie. - Co się stało?

Jason obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

- Mary... - Urwał i chrząknął. - Czy nie masz jakiegoś szlafroka?

Mary zmarszczyła czoło, starając się myśleć logicznie.

- Chyba nie. Jason, czy mogę usiąść? Jestem okro-okrop... - Mary ziewnęła szeroko. - Jestem bardzo zmęczona.

Chwiejąc się na nogach zrobiła krok naprzód.

Jason złapał ją za ramię.

- Śpierz na stojąco - mruknął.

Kopnięciem zamknął drzwi i wziął ją na ręce.

Czuła ucisk męskich, twardych ramion na plecach i na udach. Jest bardzo silny, pomyślała. Silniejszy niż pamiętała.

Z westchnieniem objęła go za szyję. Kiedy niósł ją do łóżka, wplotła mu palce we włosy. Były zdumiewająco miękkie, czego się zupełnie nie spodziewała.

Jason położył ją na łóżku i Mary zaprotestowała, mimo że oczy znów jej się zamykały.

- Nie mogę pójść spać, dopóki nie zaplotę włosów. Rano będą zupełnie potargane.

Przez moment Jason nic nie mówił.

- Ja ci je zaplotę - stwierdził wreszcie.

Z trudem podniosła powieki i uśmiechnęła się do niego.

- Naprawdę, Jasonie? To bardzo miło z twojej strony.

Mruknął coś pod nosem, czego nie rozumiała, potem posadził ją i odwrócił tyłem do siebie. Poczuła jego palce we włosach. Usłyszała, jak głęboko odetchnął i zaczął delikatnie rozdzielać włosy na trzy pasma i splatać je w warkocz.

Westchnęła z ukontentowaniem. To był Jason, jakiego znała... Czuły i uprzejmy. Nie wiadomo, dlaczego myślała, że się zmienił. Jego dłonie były ciepłe i tak bardzo delikatne...

Musnął palcami jej szyję i Mary poczuła lekki dreszcz. Zamknęła oczy i oparła się o niego plecami, przekręcając głowę, tak że dotykała policzkiem szorstkiego nieco surduta. Wciągnęła zapach wełny i mydła, które stawały się coraz bardziej znajome...

Palce Jasona znieruchomiały.

- Mary - zaczął ochryplym głosem.

Mocniej się do niego przytuliła.

Przesunął w dół ręce i chwycił ją za ramiona.

- Mary, muszę z tobą porozmawiać.

Dotyk jego rąk był bardzo przyjemny. Chciałaby się wtulić w jego ciepło, w jego zapach. Próbowana przysunąć się jeszcze bliżej.

Wydał z siebie dziwny dźwięk, jakby jęk, i odsunął ją od siebie. Zapadając się w miękką chmurę, objęła go za szyję.

- Mary...

Mówił zdenerwowanym głosem. Czyżby znów się na nią złościł?

Chciała otworzyć oczy, ale był to zbyt duży wysiłek.

- Mmmm?

Delikatnie wyswobodził się z jej uścisku.

- W tym domu... czasami słyhać coś dziwnego.

- Mmmm?

Przesunęła dłońmi po jego piersi, dotykając pod warstwą wełny i jedwabiu twardych mięśni. Wyczuwała pod ręką bicie jego serca, silne i dziwnie szybkie. Pochylił się nad nią i szepnął:

- Nie bój się.

Wcale się nie boję, chciała powiedzieć, ale nie mogła wypowiedzieć słów. Z uśmiechem na ustach odpłynęła na chmurze.

Przy nim nigdy nie będzie się bała.

Słyszając jej cichy, równomierny oddech, Jason odsunął się lekko. Ręce Mary opadły na łóżko. Spojrzał na nią ze zdumieniem. Spała.

Usiadł z jękiem, wsuwając palce we włosy.

Nie powinienem był tu przychodzić. Chciał ją tylko ostrzec przed duchem na wypadek, gdyby Vincent nie dotrzymał słowa. Z pewnością nie przewidział ogarniającej go fali pożądania.

Przycisnął pięść do czoła. To wszystko przez to jej cholerne szycie. Kiedy ją obserwował w salonie, przypomniały mu się niemal zapomniane wieczory u Cooperów. Często siadywał z Mary, kiedy coś szyła. Fascynowały go jej zręczne palce. Przeplływały nad materiałem, rytmicznie wbijając i wyciągając igłę. Obserwował je jak zaczarowany, wyobrażając sobie, co takie palce mogłyby robić na jego ciele...

Jason wstał i odwrócił się tyłem do łóżka, starając się zapanować nad sobą. Był teraz hrabią Helsburym, musiał poskromić naturalne odruchy i w swych działaniach kierować się logiką, a nie emocjami. Jeśli miał być panem tego domu - i wszystkich domowników - musiał stwarzać wrażenie siły i opanowania.

Do ślubu został tylko tydzień. Może poczekać na pójście z Mary do łóżka.

Jeszcze raz rzucił na nią okiem. Uśmiechała się we śnie. Ciemnozłote rzęsy leżały na zaróżowionych policzkach. Jedwabiste kosmyki wymykały się z warkocza. Podeszedł do toaletki i spostrzegł różowy gorset na poręczy krzesła.

Odwrócił wzrok, starając się nie wyobrażać sobie Mary w gorsecie i niczym więcej. Wziął z toaletki cienką wstążkę i wrócił do łóżka. Usiadłszy na jego brzegu starannie zawiązał koniec warkocza. Odruchowo pogłaskał ją po włosach, a potem przejechał dłonią po policzku, aż do ust. Miękkie i ciepłe wargi rozchyliły się pod jego dotykiem, pozwalając mu wsunąć palec w wilgotne wnętrze.

Zaklął i cofnął rękę. Wsunął zaciśniętą pięść do kieszeni, wstał i wyszedł z pokoju, starannie omijając wzrokiem gorset.

Dom był całkiem ciemny. Jakiś zegar wybił godzinę trzecią.

Na korytarzu, przy drzwiach do błękitnego apartamentu, pojawiło się ciemne światelko, które tak długo rosło i nabierało kształtów, aż zmieniło się w postać mężczyzny - Vincenta Parsella.

Stał przez chwilę nieruchomo, czekając, żeby wszystkie cząsteczki światła znalazły się na swoim miejscu. Wtedy dopiero odwrócił się twarzą do znajomych hebanowych drzwi.

Było później, niż to planował. Nie chciał działać, dopóki Jason nie poszedł spać, ale kiedy zajrzał do jego sypialni, Jason wciąż przewracał się niespokojnie z boku na bok. Vincent nie mógł się już doczekać, kiedy zaśnie.

Wreszcie sen zmorzył Jasona i teraz Vincent musiał jedynie wejść do pokoju i parę razy zajęczeć. Przeraził Mary śmiertelnie i wyjdzie. Zabierze mu to wszystko nie więcej niż dwie minutki. Nawet nie zdąży pomyśleć o Elizabeth...

Vincent zaklął pod nosem. Dlaczego, do diabła, Jason tu właśnie ulokował narzeczoną? Vincent ani na chwilę nie uwierzył w niechęć Mary do żółtego koloru. Żadnemu z poprzednich hrabiów nie przyszło nawet do głowy używanie tego pokoju, dlaczego zatem Jason?...

Niecierpliwie potrząsnął głową. To w końcu nie miało znaczenia. Najważniejsze było jak najszybsze wyekspediowanie panny Mary Goodwin z Helsbury.

Wziął głęboki oddech i przeniknął przez hebanowe drzwi.

Natychmiast poczuł, że coś na niego działa z wielką siłą. Walcząc z nieodpartym pragnieniem powrotu na obraz, rozejrzał się po pokoju. Nic się nie zmieniło. Hebanowe meble odbijały światło jego aury; w oknach i wokół łóżka wisiały te same niebieskie zasłony. Trzy razy musiał odsyłać bele aksamitu, nim przysłano mu odpowiedni odcień...

Oslabiająca go siła wzrosła.

Było znacznie gorzej, niż się spodziewał. Walcząc z chęcią ucieczki, zmusił się do podejścia wprost do łóżka i spojrzął na śpiącą kobietę.

Nie była piękną. Ciekawe, co Jason w niej widział. Z pewnością nie mogłaby wzbudzić w mężczyźnie wielkiego pożądania. Miała mysie, brązowe włosy, niewinnie różowe wargi i dość małe piersi. W niczym nie przypominała Elizabeth.

Oczywiście wyobraźni ujrzał jej obraz: ciemne, słodko pachnące loki i uwodzicielsko uśmiechnięte czerwone wargi; pełne piersi z różowymi czubkami i miękka, niewiarygodnie biała skóra; przyjemność i namiętność tak intensywna, że ich wspomnienie nadal było żywe, choć minęło ponad dwadzieścia pięć lat.

Vincent, klnąc w duchu, odwrócił się od łóżka. Torturowanie się wspomnieniami przyjemności, których nie mógł już doświadczyć, nie miało najmniejszego sensu. Tak samo jak irracjonalna złość z powodu umieszczenia Mary w tym pokoju, skoro jutro już jej tu nie będzie. Jeśli, oczywiście, przestanie mitrzyć czas i zajmie się sprawą.

Vincent zamknął oczy i skoncentrował się na ponownym wyrównaniu cząsteczek. Powoli zaczęła przez niego przepływać siła i energia.

Uśmiechnął się i otworzył oczy. Tajemnicza moc pokoju znacznie osłabła.

Uśmiechając się coraz szerzej, ponownie odwrócił się do łóżka. To będzie bardzo proste, niemal - zbyt proste. Po wielu latach praktyki do mistrzostwa opanował sztukę koncentracji i kierowania energią. Bez żadnego wysiłku na dobre usunie pannę Goodwin z życia Jasona.

Kierując całe swe skupienie do środka, zebrał konieczną energię i otworzył usta, aby ją uwolnić.

- OOOOOOOOOOOOOOchchch...

Dźwięk przetoczył się po pokoju, pełen złowróżbnego przeczucia.

Nieźle, pogratulował sobie w duchu Vincent. Subtelne, choć przeraźliwe.

Z uśmiechem spojrzął na łóżko.

Mary nadal spała słodko, oddychając równo i spokojnie.

Vincent uniósł brwi. Oslabiająca siła znów go zaatakowała, ale ją zignorował. Może zadziałał za bardzo subtelnie? Musi spróbować trochę głośniejsze. Skupił się i wydał z siebie przeciągły, jęczący dźwięk.

- OOOOoooooochchchch...

Jęk wznosił się w górę z zadowalającą przeraźliwością. Gdzieś w oddali zawył w odpowiedzi jakiś pies. Zadowolony z siebie Vincent spojrzął na łóżko.

Mary spała spokojnie.

Vincent zmarszczył brwi. Ta kobieta ma mocny sen. Może jednak będzie mu trudniej, niż przypuszczał. Musi dać z siebie wszystko. Szkoda wprawdzie było tracić tyle energii na pannę Goodwin, ale nie miał innego wyjścia.

Jeszcze raz skoncentrował się do wewnątrz tak intensywnie, że pokonał siłę tkwiącą w pokoju. Pozwolił energii rosnąć, rozwijać się i intensyfikować, i wyzwolił ją, kiedy osiągnęła krytyczny poziom.

- OOOOOOOOOOOOOO... OOOOOOoooooo... OOOOOOOCHCHCHCH-CHCH!!!

Był to dźwięk, który miał oblewać człowieka zimnym potem, przerażać gwałtownym dreszczem, przejmować do szpiku kości. Był to jęk żalu, krzyk torturowanej duszy, niezemska skarga zmarłego, odbita i zwielokrotniona echem.

Naprawdę przeszedł samego siebie. Z dumą i oczekiwaniem spojrzął na Mary.

Lekko zachrapała.

Vincent otworzył szeroko oczy, po czym je zmrużył. Z niedowierzaniem zacisnął pięści. Z hałasem podszedł do kominka i załomotał pogrzebaczem i szczypcami do węgla, które brzęknęły jak szable i zamigotały iskrami.

Mary przewróciła się na drugi bok i spała dalej.

Vincent, zaciskając zęby, utkwiał wzrok w porcelanowej misie i dzbanie, powodując iż przeleciały przez pokój i rozbiły się o ścianę. Głośno zatupał nogami. I dmuchnął w stronę łóżka zimnym powietrzem.

Mary szczelniej opatulila się kołdrą.

Vincent zaczął głośno chodzić po pokoju, obrzucając wściekłym spojrzeniem wszystkie przedmioty. Drzwi szafy otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Załomotały szuflady biurka i komody. Okna otworzyły się i z hukiem zamknęły z powrotem. Taki hałas obudziłby umarłego.

Ale nie pannę Mary Goodwin, która spała nadal.

Vincent rozbłysnął cały czerwonym światłem.

To po prostu było śmieszne. Żadna kobieta nie może tak mocno spać. Najwyraźniej sam hałas nie wystarczał. Będzie musiał użyć... Poruszcza Łóżka.

Vincent zatrzymał się przy kominku. Wolałby nie robić czegoś tak drastycznego. Odczuwał lekkie wyrzuty sumienia po tym, jak narzeczona Timothy'ego wyleciała z krzykiem z domu w środku nocy. I biegła bez przerwy siedem kilometrów aż do domu sir Dudleya.

Vincent rzucił okiem na Mary. Spała spokojnie z policzkiem na złożonych dłoniach.

Czuł, że siły z niego uciekają. Nie może tu za długo zostawać. Zacisnął usta. Najwyraźniej nie ma wyjścia. Musi to zrobić.

Podszedł do łóżka i oparł dłonie na jednym ze słupków baldachimu. Zamknął oczy i koncentrował się tak długo, że zebrana w nim energia groziła wybuchem. Skupił się na łóżku.

Łoże zadrżało. Potem się zatrzęsło. Trzęsło się i trzęsło, na wszystkie strony, jak statek na wzburzonym oceanie, jak dziki koń, który się spłoszył. Podniosło się do góry na dziesięć centymetrów i z hukiem opadło na podłogę, jak kamień spadający z urwiska.

Vincent opuścił ręce i odetchnął głęboko. Otworzył oczy i spojrzał na Mary.

Wcisnięta w miękki materac, obróciła się i mruknęła coś przez sen.

Wlepił w nią wzrok z niedowierzaniem. Co mogło obudzić tę kobietę? Spała jak trup. Nie, nie, nawet zmarli nie śpiąją tak mocno. Wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Stał przy łóżku, oddychając głęboko, a jego aura jaśniała i ciemniała z każdym oddechem. Usiłował pozbierać resztki energii.

Było to jednak niemożliwe. Był tak słaby, jak duch świeżo zmarłego. Co gorsza czuł, że pokój coraz bardziej wysysa z niego siły. Musiał natychmiast wyjść.

Wyczerpany, spojrzał raz jeszcze na Mary.

- Zobaczymy, moja panno - warknął przez zaciśnięte zęby. - Tę rundę może pani wygrała, ale jutro nie będzie pani miała tyle szczęścia.

I znikł ze wściekłym błyskiem.

W pokoju ponownie zapanowała ciemność i cisza.

Mary, śniąc o czymś przyjemnym, uśmiechnęła się przez sen i mruknęła jedno słowo:

- Jason...

Słoneczne światło padło na powieki Mary. Z jękiem odwróciła twarz i wtuliła ją w poduszkę, starając się zasnąć znowu, ale na nic się to nie zdało. Głowa ją bolała, w ustach czuła niesmak, a w myślach miała taki zamęt, iż wcale nie pamiętała, co się zdarzyło wieczorem. Przypomniała sobie, że piła obrzydliwą herbatę

ciotki Sally, ale to, co działo się później, było dość niewyraźne. Rozebrała się, usłyszała jeża, potem poczuła się bardzo zmęczona, zbyt zmęczona, aby zapleść włosy. A Jason...

Jason!

Mary usiadła wyprostowana na łóżku. Od gwałtownego ruchu zakręciło jej się w głowie. Znów jęknęła, objęła dłońmi pękającą z bólu głowę i próbowała coś sobie przypomnieć. Jason tu był, w jej pokoju! Dlaczego? Nie powinien był tego robić. Może chciał jej powiedzieć „dobranoc”?

Doprawdy wszystko przepadło w zakamarkach pamięci, miała jedynie mgliste wrażenie delikatnych rąk ostrożnie zaplatających jej włosy...

Jason widząc, jak bardzo jest zmęczona, sam zaplótł jej włosy. Jak to miło z jego strony. Chyba jednak nie zmienił się tak bardzo, jak myślała poprzedniego dnia.

Stukanie do drzwi przerwało przyjemne myśli Mary i zapowiedziało nadejście pokojówki. Dziewczyna była chuda jak szczapa i ważyła chyba mniej, niż taca, którą wniosła.

- Przyniosłam śniadanie, panienko.

Mary spojrzała na służącą ze zdumieniem. Jeszcze nigdy w życiu nie jadła śniadania w łóżku.

- Dziękuję... Jak się nazywasz?

- Peggy, panienko.

Pokojówka postawiła tacę na stoliku przy łóżku i spytała:

- Czy mam nalać panience herbaty?

Mary już chciała kiwnąć głową, ale się zawahała.

- To nie jest przypadkiem herbata od ciotki Sally, co?

- Ależ nie, panienko - odparła Peggy, potrząsając stanowczo głową. - Kucharka kupiła herbatę w sklepie we wsi.

Mary wzięła od niej filiżankę i, nie dodając mleka ani cukru, wypila łąpczywie. Mocna, gorąca herbata splukała cierpki smak w ustach i trochę rozjaśniła Mary w głowie, ale nadal nie pamiętała, co się zdarzyło w nocy. Naprawdę była bardzo zmęczona. Spała mocno i miała dziwne sny. Śniły jej się duchy, przybory do palenia w kominku i latające w powietrzu łóżka...

- Ojej, panienko! Czy coś się stało?

Peggy wpatrywała się w leżące na podłodze skorupy dzbanka i porcelanowej misy.

- Ja... nie wiem.

Musiała je w nocy potracić, choć zupełnie tego nie pamiętała. A może to Jason je stłukł? Mary rozejrzała się po pokoju, żeby sprawdzić, czy wszystko poza tym jest w porządku, i dostrzegła gorset rozwieszony na poręczu krzesła. Zaczerwieniła się, mając nadzieję, iż Jason go nie zauważył. Jak mogła zapomnieć o tym, żeby odłożyć gorset do szafy? Zwykle nie zachowywała się tak nieporządnie.

- Czy śniadanie panience smakuje?

Mary spojrzała na służącą, który zamiatała skorupy, a potem na tacę. Były tam placki z jęczmiennej mąki, śmietana i dżem truskawkowy.

- Jedzenie wygląda wspaniale, Peggy.

Mary wzięła placek, posmarowała go dżemem i odgryzła kawałek. Słodki dżem, świeża śmietana i placki dodały jej energii. Jadła powoli, rozkoszując się każdym kęsem.

- To było pyszne - powiedziała, kiedy skończyła jeść. - Podziękuj kucharce.

- Dobrze, panienko.

Peggy wzięła tacę i uśmiechnęła się, ukazując lekko skrzywiony ząb i dołek w policzku.

- Czy mam panience pomóc się ubrać?

Mary, która odrzuciła kołdrę i zamierzała wstać, znów się zdumiała.

- Bardzo dziękuję, ale nie potrzebuję pomocy.

- Pan hrabia powiedział, że mam być panią pokojówką.

- Tak powiedział? - Mary poczuła trzepotanie serca. - To bardzo uprzejmie z jego strony.

- Tak, panienko. Bardzo był przejęty, żeby jego narzeczona miała porządną pokojówkę i wszystko. Tak się należy.

Mary zmarszczyła brwi i wstała z łóżka. Mimo wszystko Jason zachował się uprzejmie, niezależnie od powodu.

- Podziękuję mu, jak tylko go zobaczę.

- Zobaczy go panienka. Kazał mi powiedzieć, że chce, aby panienka przyszła za pół godziny do salonu.

- Ach, tak? - zawołała z uśmiechem Mary, zapominając o wczorajszych wątpliwościach. - Muszę się pospieszyć.

Z pomocą Peggy ubrała się rzeczywiście bardzo prędko. Już po kilku minutach Mary w brązowej sukni stała przy drzwiach do salonu, przyglądając włosy. Z uśmiechem na ustach weszła do środka.

Uśmiech znikł, kiedy zobaczyła nie tylko Jasona, lecz także lady Weldon i Beatrice, rozmawiających cicho przy - kominku. Na dźwięk jej kroków odwrócili się i wlepili w nią wzrok. Zapadła cisza.

- Dzień dobry - powiedziała Mary.

Jason zrobił krok naprzód.

- Dzień dobry, mam nadzieję, że dobrze spałaś.

Jason miał na sobie granatowy surdut z aksamitnym kołnierzem, spodnie w modne, wąskie paski i wzorzysty halsztuk. Mary spojrzała w jego szaroniebieskie oczy. Wydało jej się, że te oczy były kiedyś bardzo blisko jej oczu, a wargi Jasona szeptały coś bardzo blisko jej warg...

- Mary? Dobrze się czujesz?

Obraz znikł i Mary zaczerwieniła się gwałtownie. Musiało jej się to przyśnić.

- Tak, dziękuję. I bardzo dobrze spałam. Kiedy już pokonałam ducha.

- Widziałaś ducha? - spytał ostro Jason.

Mary poważnie skinęła głową.

- Usłyszałam jakieś dziwne hałasy. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam... jeża.

Twarz Jasona rozpoznała się.

- To był jeż?

- Tak, wspinał się po rynnicy. Myślę, że bardziej ja go przeraziłam niż on mnie.

Beatrice uśmiechnęła się chłodno.

- Masz szczęście, że nie odwiedził cię prawdziwy duch.

- Ależ odwiedził, choć jedynie we śnie - powiedziała ze śmiechem Mary. - Myślę, że zaszkodziła mi herbatka ciotki Sally.

- Herbatka ciotki Sally - mruknął Jason, uśmiechając się pod nosem.

Lady Weldon prychnęła z dezaprobatą.

- To prawdziwy cud, że Sally nikogo dotąd nie uśmierciła swoimi trującymi mieszankami. Podejrzewam, że dodaje do nich alkoholu.

Jason przestał się uśmiechać.

- Myślę, że dodaje nie tylko alkoholu - powiedział i zwrócił się do Mary, marszcząc brwi: - Nie powinnaś więcej pić jej herbaty.

- Nie będę - stwierdziła smutno Mary. - Obudziłam się z potwornym bólem głowy. Jednakże polubiłam

ciotkę Sally. Chyba jest bardzo samotna.

- Samotna? - wykrzyknęła lady Weldon. - Ta kobieta jest niemożliwa! Na szczęście woli przebywać w swoim pokoju. - Zwróciła się do Jasona: - Miałam zamiar porozmawiać o niej z tobą, mój drogi. Czy będziesz miał dla mnie czas? Musimy również porozmawiać o innych sprawach, zwłaszcza o przyjęciach. Boję się, że nie starczy nam krzeseł na wieczór muzyczny, a gospodyni powiedziała, że potrzebuje dodatkowej pomocy, oprócz dziesięciorga służących, których wynajęliśmy. Zaproszenia na bal maskowy dotarły dopiero dzisiaj...

Zmarszczka na czole Jasona pogłębiła się znacznie.

- Może ciocia zarządzić wszystko, co będzie uważała za stosowne. Ja muszę się wybrać do wioski. Mam sprawę do Blevinsa.

- Hmm. Mam nadzieję, że nie zamierzasz brać ze sobą Mary. Musi adresować zaproszenia. Sama wszystkiego nie zrobię.

Mary spłotła nerwowo dłonie. Chętnie by pomogła, ale marzyła o tym, żeby spędzić trochę czasu z Jasonem. Przejazdka powozem byłaby fantastyczna.

Westchnęła. Wiedziała, że nie może beztrudno zostawić lady Weldon samej z zaproszeniami, zwłaszcza że przyjęcia organizowano specjalnie dla niej.

- Z przyjemnością pani pomogę, lady Weldon - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

Jason potrząsnął głową.

- Obawiam się, że Mary nie będzie mogła cioci pomóc.

Mary spojrzała na niego z cieniem nadziei w sercu. Czy będzie nalegał, aby mu towarzyszyła?

- Umówiłem na dzisiaj krawcową. Pani French weźmie miarę na nowe suknie.

Zażenowanie zajęło miejsce nadziei. Czyżby Jason domyślił się, że Mary nie ma odpowiednich sukien na przyjęcia? Jak mogła przypuszczać, że dwie suknie wystarczą? Z drugiej strony dawny Jason nie przywiązywał wagi do ubrania.

Rzuciła okiem na jego nieskazitelny strój. Zaczerwieniła się i odruchowo dotknęła małej łatki na swoim rękawie.

- Dziękuję - wyjąkała.

- Zamów, co chcesz - powiedział jej Jason. - I wybierz coś odpowiedniego na bal maskowy.

Mary skinęła głową, usiłując się uśmiechnąć.

Beatrice zrobiła krok naprzód, poprawiając fałdy niebiesko-zielonego szala.

- Czy mogę pojechać z tobą, Jasonie? - spytała z uroczym uśmiechem. - Muszę koniecznie kupić nowe rękawiczki. Oczywiście, jeśli mama nie potrzebuje mojej pomocy przy zaproszeniach - dodała, zerkając na lady Weldon.

- Nie, kochanie, możesz jechać - powiedziała lady Weldon, rozciągając w uśmiechu wąskie wargi. - Nie możemy ryzykować, że pobrudzisz sobie dłonie atramentem, skoro masz jutro śpiewać na naszym wieczorze muzycznym. Jestem pewna, że jakoś sobie poradzę.

Beatrice wzięła Jasona pod ramię.

- Idziemy?

- Za chwilę - odparł, odsuwając jej rękę.

- Porozmawiamy, jak wrócę - powiedział cicho do Mary.

Mary kiwnęła głową i popatrzyła, jak Jason z Beatrice wychodzą z pokoju. Ten widok nie trapił już jej tak bardzo jak poprzedniego dnia. Z uśmiechem przyjęła zimne spojrzenie lady Weldon.

- Przepraszam, lady Weldon - mruknęła, dygnęła i pospiesznie wybiegła z salonu.

Okazało się, że pani French i cztery szwaczki właśnie przybyły. Krawcowa była niska i pulchna. Na głowie

miała najładniejszy kapelusz, jaki Mary kiedykolwiek widziała.

- Czy pani French? Jestem Mary Goodwin. Może przejdziemy na górę?

Pani French skinęła głową, wprawiając w ruch wstążki i pióra przy kapeluszu.

- Tak, tak, naturalnie. - Po czym zwróciła się do lokaja, z brodą uniesioną, mimo niskiego wzrostu, bardzo wysoko: - Niech służba przyniesie na górę kufry z powozu.

William odwzajemnił się dumnym spojrzeniem i spytał Mary:

- Do błękitnego apartamentu, panienko?

- Tak. Proszę za mną - odparła Mary, uśmiechając się do pani French i do szwaczek.

Kiedy przechodziły obok pokoju ciotki Sally, pewien Pomysł przyszedł Mary do głowy.

- Proszę tu zaczekać - powiedziała i lekko zapukała do drzwi.

- Proszę! - zawołał przygnębiony głos.

Mary weszła i ujrzała ciotkę Sally, w różowej bluzce z falbankami i w fartuchu, wyglądającą przez okno, między dwoma doniczkowymi kwiatami. Mary spojrzała nad ramieniem starszej kobiety. Jason i Beatrice znikali właśnie wśród drzew.

- Dlaczego to nie ty z nim jesteś, tylko ona? - spytała ciotka Sally, bacznie jej się przyglądając.

- Ponieważ mają mi brać miarę na nowe suknie. Nie znam się zbyt na modzie i chciałam prosić, żeby ciocia przysłała do mojego pokoju i pomogła mi w wyborze materiałów i fasonów.

Ciotka Sally potrząsnęła głową.

- Nie mogę.

- Bardzo proszę. Naprawdę potrzebuję cioci rady.

Ciotka Sally dotknęła małych czerwonych kwiatów na jednej z roślin.

- Bardzo mi przykro. Mary, ale nie mogę. Chyba że... - Jej twarz się rozjaśniła. - Przyjdźcie tutaj, mój pokój jest bardzo duży.

Mary zawahała się, rozglądając po wypełnionym kwiatami pomieszczeniu. Spojrzała na ciotkę Sally, która wpatrywała się w nią z nadzieją.

- Dobrze - powiedziała Mary i wyszła na korytarz, żeby zaprosić do środka panią French i jej szwaczki.

Nigdy jeszcze nie spędziła tylu godzin tak przyjemnie. Do tej pory nie interesowała się szczególnie modą, teraz zatem zajęła się przeglądaniem zawartości kufrów pani French. Były w nich sztuki pięknych materiałów i Mary głaskała je, rozkoszując się dotykiem egzotycznych materii: batystu, krepy, organdy i tiulu;” aksamitu, welwetu, mory i gazy.

Ciotka Sally natomiast była szalenie zainteresowana nowymi, modnymi stylami. Przeglądała żurnale i magazyny z modą bardzo dokładnie, konferując z panią French na temat zalet poszczególnych stylów i pokazując Mary rysunki sukien balowych, sukien porannych, spacerowych i wieczorowych, a także sukien do konnej jazdy, do powozu i na polowanie, płaszczy, szali, peleryn oraz kapeluszy i czepków.

- Wystarczy - zaprotestowała ze śmiechem Mary po paru godzinach. - Jak mam wybrać z takiej ilości? Kręci mi się w głowie. Niech ciocia zamówi coś dla siebie.

- Ja? Nie, nie, szkoda czasu i pieniędzy. Nie potrzebuję modnych sukien.

Mówiąc to ciotka Sally spojrzała tęsknie na kupon zielonego aksamitu wystający z kufra.

- Sprawienie cioci przyjemności jest wystarczającym powodem - powiedziała Mary, kładąc jej na kolanach zielony aksamit. - Ciocia zna się na modzie.

Głędząc materiał ciotka Sally uśmiechnęła się na wspomnienie jakichś odległych czasów.

- To prawda, nosiłam się bardzo modnie, kiedy byłam młodsza. Całymi godzinami przeglądałam żurnale. Elizabeth zawsze mówiła, że znam się na modzie.

Mary uśmiechnęła się, słysząc nutkę dumy w głosie ciotki Sally. Uklękła przy kufrze i wyciągnęła zeń

sztukę materiału w złotym kolorze.

- Kto to jest Elizabeth? - spytała od niechcienia.

Ciotka Sally zawahała się na moment.

- Była narzeczoną szóstego hrabiego - odparła.

Mary podniosła głowę znad kufra.

- Narzeczoną ducha?

Ciotka Sally rozejrzała się nerwowo wokoło, a potem kiwnęła głową.

- Nie powinnam o niej mówić. Vincent bardzo się denerwuje, kiedy słyszy jej imię. Nikt o niej nie mówi.

- Naprawdę była taka straszna?

- Ach, nie. To znaczy, ja tak nie uważałam. Poznałam ją w czasie mojego pierwszego sezonu. Była śliczna i ekscytująca. Gdy Vincent ujrzał ją po raz pierwszy, Elizabeth miała na sobie suknię koloru złota i nie mógł oderwać od niej oczu. Później, kiedy się zaręczyli, zamówił jej portret w tej samej sukni. - Wiem, że Vincent mnie wini za swoją śmierć, ponieważ to ja go przedstawiłam Elizabeth - dodała drżącym głosem.

Nic dziwnego, że ciotka boi się duchów, pomyślała ze współczuciem Mary, skoro uważa, że śmierć Vincenta była jej winą.

- Nie może mieć do cioci pretensji - powiedziała łagodnie.

Ciotka Sally przycisnęła do piersi kupon materiału.

- Nie znasz Vincenta.

Mary uśmiechnęła się lekko.

- I wcale tego nie żałuję. Wydaje mi się, że był bardzo niemiłym człowiekiem.

- Ach, nie, nie. Był... Ach, sama nie wiem, jak go opisać. Był fascynujący. Kobiety stale się w nim kochały, nawet Eugenia, która już wcześniej postanowiła, że wyjdzie za Weldona. Vincent tymczasem nie zwracał na nie żadnej uwagi. Z powodów rodzinnych, rozumiesz.

Mary spojrzała na nią z zainteresowaniem.

- Cecil wspominał coś na ten temat. Mówił, że hrabiowie Helsbury nie mieli szczęścia do kobiet.

Ciotka Sally ze smutkiem pokiwała głową.

- Żaden z nich nie miał udanego małżeństwa. Prawie żaden. Pierwszy hrabia dostał tytuł za to, że ożenił się z byłą metresą króla, po tym jak monarcha stracił dla niej zainteresowanie. Oboje pogardzali sobą i nie mieli do siebie zaufania. Drugi hrabia ożenił się z córką sąsiadów. Okazało się, że została zmuszona do małżeństwa przez rodziców wbrew swojej woli i skończyła w klasztorze. Trzeci hrabia, brat drugiego, miał udane małżeństwo, ale następny, dziadek Vincenta, ożenił się z bogatą panną, a potem wydał prawie wszystkie pieniądze, żeby się z nią rozwieść, kiedy uciekła z kochankiem.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła Mary. - Rzeczywiście wygląda na to, że mieli pecha. Chociaż...

W milczeniu pogładziła złoty materiał.

- Chociaż co?

Mary podniosła głowę.

- Och, nic - odparła, rozwijając sztukę materiału. - Ale czy... Czy któryś z nich ożenił się z miłości?

- Skądże znowu! Hrabiowie Helsbury żenią się z rozsądku, a nie z miłości.

- Z rozsądku? - powtórzyła cicho Mary.

Ciotka Sally skinęła głową, a potem spojrzała uważnie na Mary.

- Oczywiście to nie dotyczy Jasona - powiedziała. - Jestem pewna, że cię kocha.

Mary zmusiła się od uśmiechu i nic nie powiedziała.

Ciotka Sally nie zwracała uwagi na milczenie Mary.

- Vincent na pewno czuł coś do Elizabeth - mówiła dalej, marszcząc czoło. - Choć chyba była to bardziej duma niż miłość. Kiedy dostał wiadomość, że Elizabeth zamierza wyjść za innego, wpadł w szal. Miała przecież wyjść za niego. Tego wieczoru była straszna burza, ale Vincent wyjechał z domu jak szalony. Woda zerwała most na końcu podjazdu i Vincent utonął.

- Och!

Vincent z opowiadań wydawał się Mary antypatyczny, ale tragiczna śmierć wywołała jej współczucie.

- Biedny człowiek.

- Tak. Teraz straszy w domu, żeby nie dopuścić do ślubu żadnego z kolejnych spadkobierców. Musisz bardzo uważać. Mary, bo wystraszy cię stąd, tak jak inne kobiety.

- Nie boję się duchów - powtórzyła, nie wiadomo który raz od przyjazdu, Mary.

Duchy jej nie obchodziły - w przeciwieństwie do Jasona i jego uczuć. Czyżby i on żenił się z rozsądku?

Nie, to nie możliwe. Nieładna, stara panna z trzema sukniami całego majątku?

Ta myśl trochę ją pocieszyła. Mary spojrzała na krawcową i szwaczki, które słuchały z szeroko otwartymi oczami.

- Co robimy? - spytała panią French.

Pani French, wyrwana z transu, pośpiesznie otworzyła drugi kufer.

- Musi pani przymierzyć te suknie. Pewna klientka zamówiła je dla córki, ale potem nie starczyło jej pieniędzy. - Wyjęła z kufra różową suknię z podwójnymi burkami przy rękawach i z szeroką falbaną ze wstążek i koronek na dole. - Na szczęście ta córka miała podobną do pani figurę.

- Hmmm - powiedziała ciotka Sally, przyglądając się różowej sukni. - Przypuszczam, że z braku czasu musimy się tym zadowolić.

Mary odłożyła trzymany w rękach materiał i z szacunkiem dotknęła jednego z bufiastych rękawów.

- Jaka piękna - szepnęła. - Mogę ją włożyć na wieczorek muzyczny.

Pani French wyjęła drugą suknię z cienkiej, białej bawełny, ozdobioną mnóstwem fioletowych kokardek, z płaszczem z tego samego materiału, przybrany wstążkami.

Ciotka Sally z powątpiewaniem przyjrzała się sukni.

- Myślę, że Mary lepiej będzie w czymś prostszym - powiedziała.

- Ach, nie! - zawołała Mary. - Mogłabym to włożyć na śniadanie.

Pani French uśmiechnęła się szeroko.

- W powozie mam jeszcze jeden kufer z ośmioma sukniami. Czy nie zechciałaby pani ich obejrzeć?

- Nie, dziękuję - odparła Mary, przeciągając palcem wzdłuż szwu białej sukni.

Ciotka Sally ze zdumieniem podniosła wzrok znad katalogu.

- Ależ musisz je obejrzeć. Mary. Musisz je wziąć.

- Nie mogę. Jason powiedział, żebym zamówiła tylko to, co mi jest potrzebne.

- Ach, ty gąsko - rzekła z czułością ciotka Sally. - Wszystkie te suknie są ci potrzebne.

Mary stanowczo potrząsnęła głową.

- Nie. Muszę mieć trzy suknie na przyjęcia. Nie mogłabym przyjąć nic więcej. To nie byłoby w porządku.

- Za niecały tydzień wychodzisz za mąż. Co to za różnica?

Mary ponownie potrząsnęła głową. Czuła się nieswojo, zamawiając tyle sukien, zwłaszcza bez wiedzy Jasona.

- Wolę poczekać. Te dwie na razie mi wystarczą. Choć wciąż nie mam kostiumu na bal maskowy.

Mary wzięła kupon złotego materiału i zaczęła go z powrotem zwijać.

- Czy ciocia mogłaby mi coś doradzić?

- Powinnaś mieć coś prostego, czego uszycie nie zajmie dużo czasu.

Ciotka Sally zamyśliła się na chwilę, po czym się uśmiechnęła.

- Już wiem! Możesz się przebrać za cesarzową Józefinę. Suknia w stylu empire jest łatwa do uszycia. I będzie ci w niej bardzo dobrze.

- Suknia w stylu empire? - powtórzyła z powątpiewaniem Mary. - Ma za duży dekolt.

- Bzdura. Nosilaam je często, kiedy bylam młodsza. Te suknie byly duzo sensowniejsze niz to, co sie dzisiaj nosi. Przynajmniej nie musiałyśmy się obciążać potwornymi turniurami, halkami i poduszkami.

Ciotka Sally spojrzała na materiał, który Mary trzymała w ręku.

- Ten złoty materiał będzie doskonały.

- A zatem postanowione - powiedziała rzeczowo pani French. - Teraz weźmiemy z pani miarę i zmierzmy te dwie suknie. Giselle, Babette, pomóżcie panie Goodwin włożyć różową suknię.

Niestety, talia sukni była za wąska na Mary. Pani French psykała i chrząkała, kiedy Mary zdejmowała suknię.

- To wszystko przez ten gorset - orzekła wreszcie. - Jest niedobry.

Zaskoczona Mary rzuciła okiem w lustro. Osobiście uważała, że gorset, choć trochę zniszczony, jest całkiem dobry.

- Dlaczego niedobry? - spytała.

- Modne jest ciasne sznurowanie i wąska talia. Gorset musi panią wcinać w pasie i unosić biust.

- Nie chcę mieć biustu w górze - stwierdziła Mary, marszcząc brwi.

Szwaczki zachichotały.

Pani French nie zwracała na nic uwagi. Wyciągnęła z kufra nowy gorset.

- Niech pani to przymierzy.

Mary zgodziła się niechętnie. Szwaczki pomogły jej zdjąć stary gorset i zasznurowały nowy na koszuli.

- Tak jest znacznie lepiej - powiedziała pani French.

Mary przejrzała się w lustrze.

- No, nie wiem. Wyglądam dość śmiesznie.

- Taka jest teraz moda - stwierdziła pani French.

- Czy moda polega na tym, żeby - się ośmieszać? - spytała Mary.

Szwaczki znów zachichotały.

Pani French spojrzała na nie groźnie.

- Bardzo dobrze pani wygląda.

Mary znów zerknęła do lustra.

- Czy nie sądzi pani jednak, że wyglądam jak...

- Jak dziewczka? - podsunęła ciotka Sally.

- Ależ, ciociu - zaprotestowała Mary, hamując śmiech. - Nie powinna ciocia mówić takich rzeczy.

Pani French tymczasem szybko i sprawnie wzięła miarę z Mary w nowym gorsecie.

- Proszę. Czy chce pani zostać w tym gorsecie? - Nie, dziękuję. - Mary była tak ściśnięta, że z trudem oddychała. - Wolę włożyć mój stary.

Szwaczki, cały czas chichocząc i szepcząc między sobą, pomogły jej zdjąć nowy gorset i włożyć stary.

Babette zawiązała ostatnią sznurówkę, kiedy drzwi się otworzyły.

Mary odwróciła się i zobaczyła, że w drzwiach stoi Jason.

Znieruchomiała. Jason obrzucił ją spojrzeniem, wędrując od ledwo zasłoniętych piersi przez talię i biodra do nóg. Po czym wrócił wzrokiem do piersi.

- Jasonie! - wykrzyknęła ciotka Sally. - Nie powinieneś wchodzić bez pukania.

Jej głos przywołał Mary do przytomności. Zacerwieniła się gwałtownie i złapała z łóżka suknię, którą się zasłoniła.

- Jasonie - powtórzyła ciotka Sally.

Przez chwilę Mary myślała, że Jason nie zareaguje. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że są bardzo niebieskie. Kurczowo trzymała suknię przy biuście.

Przyglądał jej się przez moment, a potem odwrócił się tyłem.

- Najmocniej przepraszam - powiedział chłodnym tonem. - Pukałem. Ale panie tak chichotały, że nie słyszały. Nie wiedziałem, co się tu dzieje. Myślałem, że może przyjmuje ciocia jakiegoś przyjaciela.

Mary zachnęła się na te słowa, ale ciotka Sally tylko się roześmiała.

- Ach, ty gałganie. Mary, przejdź do ubieralni i włóż suknię.

Mary pospiesznie wyszła z pokoju razem z Babette. Kiedy szwaczka pomagała jej się ubrać. Mary usiłowała uspokoić gwałtowne bicie serca. Było jej gorąco i brakowało tchu, jakby wciąż miała na sobie nowy gorset. Jason patrzył na nią tak dziwnie...

Zaczęła głęboko oddychać. Coś jej się przywidziało. Jason na pewno zwyczajnie się zdziwił, widząc ją w gorsecie.

Wracając do pokoju ciotki Sally, Mary przystanąła na chwilę w drzwiach. Z sypialni dobiegał ją szmer głosów, ale nie słychać było słów. Mary weszła do środka.

Szwaczki pakowały materiały do kufrów, a pani French zbierała swoje katalogi i rysunki. Ciotka Sally uśmiechnęła się do Jasona.

- Zawsze lubiłam cię najbardziej z całej rodziny.

- Dziękuję cioci - powiedział sucho Jason.

Ciotka roześmiała się, po czym podniosła głowę i spostrzegła Mary.

- O, już jest, Jasonie. Musisz zabrać narzeczoną na spacer po parku. Cały dzień siedziała w czterech ścianach.

Jason obrócił się i spojrzał na Mary nieodgadnionym spojrzeniem.

- Chciałbym porozmawiać z Mary - mruknął - ale to może poczekać, aż skończę wizytę u cioci.

Ciotka Sally potrząsnęła głową.

- Pora na moją drzemkę.

Jason uniósł brwi.

- Codziennie odwiedzam ciocię o tej porze. Myślałem, że drzemka wypada później.

- Dzisiaj jestem bardzo zmęczona. Idźcie już sobie.

Jason i Mary wyszli na korytarz. Mary spojrzała spod oka na jego zaciętą twarz. Przelknęła ślinę.

- Z przyjemnością obejrzę ogród - powiedziała wesoło.

- Chciałbym o czymś z tobą porozmawiać w bibliotece, Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Jason powiedział to ponurym głosem i Mary, schodząc za nim po schodach, czuła ucisk w żołądku. Czy coś się stało? Czy Jason czymś się zdenerwował? Może był zaszokowany jej zachowaniem? Kiedy wszedł do pokoju ciotki Sally, Mary stała nieruchomo, pozwalając mu na siebie patrzeć. W każdym miejscu, w którym ją dotknął wzrokiem, czuła ciepło, jakby dotykał ją dłońmi, a nie oczyma...

Zdecydowanie zachowała się bardzo nie po hrabiowsku. Jej rola będzie dużo trudniejsza niż przypuszczała. Nie tylko będzie musiała się inaczej ubierać, lecz także inaczej się zachowywać, rozmawiać, nawet myśleć. Miała jedynie nadzieję, że Jason na tyle ją kocha, iż starczy mu do niej cierpliwości.

Hrabiowie Helsbury żenią się z rozsądku, a nie z miłości.

Mary przypomniała sobie słowa ciotki Sally i przysłała jej do głowy straszna myśl. Może Jason zmienił zdanie? Może, jak jego poprzednicy, postanowił ożenić się korzystniej? Może chce zerwać zaręczyny...

Nie, to nieprawda.

Wchodząc do biblioteki poczuła, że pieką ją oczy.

Jeśli zerwie zaręczyny, nie będzie płakała, obiecała sobie w duchu.

Podeszła do rozłożonych szachów i udawała, że się zastanawia nad rozgrywką.

Jason chrząknął.

- Chciałbym cię przeprosić za moje zachowanie wczoraj wieczorem.

Jego słowa były tak niespodziewane, że przez chwilę Mary wpatrywała się w niego bez słowa.

- Za jakie zachowanie? - wykrztusiła w końcu.

Jason przez dłuższy czas przyglądał jej się badawczym wzrokiem.

- Mary - powiedział wolno - czy coś pamiętasz?

- Niewiele - przyznała. - Byłam strasznie zmęczona, a herbatka ciotki Sally dziwnie na mnie podziałała.

- Bardzo dziwnie - mruknął.

- Pamiętam, że mi zaplotłeś włosy. Chciałam ci podziękować. To było bardzo miłe z twojej strony.

- Nie ma za co.

Mary uśmiechnęła się z ulgą.

- Czy o tym chciałeś ze mną rozmawiać?

- Tak, ale również o czymś innym.

Najgorszą wiadomość zachował na koniec, pomyślała Mary z ciężkim sercem.

Ku jej zdumieniu Jason bez słowa podszedł do obrazu wiszącego na ścianie i odsunął go na bok. Za obrazem znajdował się sejf. Jason przekręcił tarczę, otworzył drzwiczki i wyjął małe pudełko, które wręczył Mary z lekkim ukłonem.

- Co to jest?

- Otwórz i zobacz - odparł niecierpliwie.

Mary posłuchała. W środku był pierścionek. W wyszukanej złotej oprawie tkwił wielki rubin otoczony małymi szmaragdami i brylantami. Mary wpatrywała się w pierścionek w milczeniu. Wyglądał jak klejnot bizantyjskiej księżniczki.

- Co to jest? - szepnęła Mary.

Teraz Jason się uśmiechnął.

- Pierścionek zaręczynowy - powiedział, wyjmując go z etui i wkładając jej na palec.

Pierścionek lekko ją uciskał, ale Mary to nie przeszkadzało. Był to najpiękniejszy klejnot, jaki w życiu widziała. Poczowała się bardzo szczęśliwa. Łzy, których miało nie być, zawisły jej na rzesach.

- Dziękuję, Jasonie - szepnęła.

- Nie ma za co - odparł ochryplym głosem.

Spoglądał na nią takim samym wzrokiem, jak w pokoju ciotki Sally, i Mary zapragnęła, aby ją pocałował. Pocałunek to przecież nic takiego, pomyślała. Gdyby ją tylko pocałował tak, jak wtedy, kiedy się oświadczył, wiedziałaby, że wszystko jest w porządku. Że nic się nie zmieniło. Poczulaby to cudowne

uspokajające ciepło...

Jason pochylił się nad nią. Mary zaparło dech w piersiach. Twarz Jasona była coraz bliżej. Widziała czarne źrenice jego oczu, obwiedzione błękitem. Serce zabiło jej szybciej. Jason schylił się jeszcze niżej...

Kiedy ustami niemal dotykał jej ust, spojrzał na coś za jej plecami i znieruchomiał.

Mary obejrzała się przez ramię, ale niczego nie zauważyła.

- Co się stało?

- Nic.

Jason wyprostował się i odsunął.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że pierścionek jest bardzo cenny. Karol drugi podarował go żonie pierwszego hrabiego w prezencie ślubnym. Musisz bardzo uważać, żeby go nie zgubić. Po ślubie trzeba go będzie trzymać w sejfie.

Mary spojrzała na odwróconą twarz Jasona, a potem na pierścionek na palcu. Karol drugi podarował go żonie pierwszego hrabiego Helsbury? Przypomniała sobie opowieść ciotki Sally o tym, jak pierwszy hrabia poślubił kochankę króla, kobietę, którą pogardzał i której nie ufał, w zamian za tytuł i majątek. Coś podeszło jej do gardła.

- Lepiej od razu go schowaj.

Szarpnęła pierścionek, ale nie chciał zejść.

- Chcę, żebyś go nosiła w tym tygodniu - powiedział Jason, marszcząc brwi.

Nadał szarpiąc pierścionek. Mary pokręciła przecząco głową.

- Nie mogę. Boję się, że go zgubię.

Jason wziął jej dłonie w swoje ręce. Mary, zaskoczona, spojrzała mu w oczy.

- Nie zdejmuj pierścionka, proszę - powiedział.

Mary otworzyła usta, nim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, drzwi otworzyły się i wszedł lokaj.

Mary zaczerwieniła się, ale Jason nie puścił jej dłoni.

- Słucham? - powiedział zimno.

- Bardzo przepraszam, panie hrabio - rzekł Wilmott, wpatrując się w ścianę. - Lady Weldon prosiła, żebym pana poinformował, iż czekają na pana z herbatą.

- Dziękuję, Wilmott.

Wreszcie Jason puścił ręce Mary i podał jej ramię.

Zawahała się przez chwilę. Naprawdę nie chciała nosić tego pierścionka. Wolałaby zdjąć go z palca i dać Jasonowi, żeby schował do sejfu.

Jednakże pod zniewalającym spojrzeniem Jasona położyła mu posłusznie dłoń na ramieniu. Klejnoty w pierścionku rozblęły na tle ciemnego materiału rękawa.

8

Vincent jęknął, kiedy promień porannego słońca wpadł przez okno jadalni i oświetlił jego portret. Głowa bolała go tak, jak jeszcze nigdy przedtem - ani w życiu, ani po śmierci. Było to znacznie gorsze niż najcięższy kociokwik. Czuł się tak, jakby wyssano z niego całe jestestwo, mocno je pobito i wepchnięto w niego z powrotem.

A wszystko przez tę kobietę.

Otworzył jedno kaprawe oko i zobaczył całą rodzinę za stołem. Przy jednym końcu siedziała panna Mary Goodwin i spokojnie jadła śniadanie. Vincent spojrzał na nią z wściekłością i zaniknął oko.

Tak był wykończony wizytą w błękitnym apartamencie, że poprzedniego dnia nie robił żadnych starań, aby ją wystraszyć; ledwo mu starczyło energii, aby powstrzymać Jasona od pocałunku w bibliotece. Postanowił sobie jednak, że dziś ostatecznie się jej pozbędzie z Helsbury House.

Pytanie tylko - jak?

Zmrużonymi oczyma przyglądał się ludziom przy stole. Siedzieli tak samo, jak przedwczoraj przy kolacji, choć zachowywali się mniej formalnie. Cecil Parsell, wyraźnie nie zainteresowany zimną baraniną na talerzu, rozmawiał przez stół z Horace'em Quimbym, który z apetytem zjadał swoją porcję. Lady Weldon z kwaśnym wyrazem twarzy mówiła coś do swej córeczki spryciulki. A Jason...

Jason wpatrywał się w niego - a przynajmniej w jego portret.

Vincent zmarszczył czoło. Ten chłopak zawsze wiedział, kiedy Vincent wałęsał się po pokoju, nawet jeśli się nie materializował. Vincent, bez powodzenia, usiłował go kilka razy oszukać.

Oczywiście, nie miało to większego znaczenia, choć czasami bywało mocno irytujące. Wczoraj musiał podsłuchiwać przy drzwiach biblioteki przez dziurkę od klucza - co doprawdy uwłaczało jego godności...

Vincenta osłepił jasny błysk. Z chmurną miną spojrzął na pierścionek hrabiów Helsburych ozdabiający palec panny Goodwin. Żałował, iż nie miał dość siły, aby powstrzymać Jasona od podarowania jej rodzowego dziedzictwa. Może nawet by mu się udało, gdyby nie stało się to tak znienacka. Nadal nie mógł uwierzyć, że Jason dał Mary pierścionek. Zgodnie z tradycją każdy hrabia dawał go żonie po nocy poślubnej; żaden z nich nie był na tyle głupi, żeby podarować kobiecie tak cenny klejnot przed ślubem.

Vincent spojrzął ze złością na Mary, zastanawiając się, jakiego chytrego podstępu użyła, żeby przekonać Jasona, aby już teraz dał jej pierścionek. Mary spokojnie jadła śniadanie z taką miną, jakby nigdy w życiu nie przyszło jej do głowy nic podstępного ani złośliwego.

Bezczelna dziewczyna.

Lady Weldon odłożyła serwetkę.

- Jasonie - powiedziała głośno - jakie masz plany na resztę dnia? Dziś mamy wieczorek muzyczny i chciałabym omówić z tobą kilka spraw.

Jason podniósł głowę znad talerza.

- Czy możemy to zrobić później? Po śniadaniu chciałbym pokazać Mary dom.

Vincent zmarszczył brwi. Nie podobało mu się, że Jason miałby przebywać sam na sam z narzeczoną, to było zanadto niebezpieczne. Dając jej pierścionek Jason udowodnił, że nie umie jej się oprzeć. Vincent będzie musiał pilnować, aby go uchronić przed następnymi głupstwami.

Lady Weldon rzuciła okiem na córkę. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Dobrze, porozmawiamy po południu. Rzeczywiście, powinieneś pokazać narzeczonej dom. Beatrice będzie wam towarzyszyć i opowie Mary historię domu. - Beatrice doskonale zna historię domu i jego mieszkańców i odpowie na wszystkie pani pytania - dodała lady Weldon do Mary.

Vincent uśmiechnął się mimo rozpaczliwego bólu głowy. Nigdy nie lubił lady Weldon, lecz będzie mógł ją wykorzystać. Była bardzo daleką krewną Parsellów, potrafiła jednak, grając na pokrewieństwie, złapać lorda Weldon. Po śmierci męża zjawiała się w Helsbury razem z córką. W tamtych czasach hrabią Helsbury był Roger i lady Weldon usiłowała wydać się, najpierw za niego, a potem za Timothy'ego. Teraz, od pół roku, próbowała ożenić Jasona z Beatrice.

- Musisz, Jasonie, zabrać Mary do Galerii Zachodniej - mówiła dalej lady Weldon. - Jestem pewna, że zechce zobaczyć akwarele, które malowała Beatrice. - Beatrice maluje doskonale pejzaże - dodała.

Beatrice upiła łyżeczek herbaty.

- Czy ty też malujesz, Mary? - spytała.

Mary pokręciła przecząco głową.

- Nie, nigdy nie miałam okazji się nauczyć.

- Nie? Ojej, Jasonie, będziesz musiał zatrudnić zarówno nauczyciela muzyki, jak i rysunku. Są w końcu pewne umiejętności, które dama, pretendująca do pewnego stanowiska w towarzystwie, musi opanować.

Vincent spojrzął na Beatrice z pełną podziwu antypatią. Zdawała się tak przejęta, że Mary doprawdy nie mogła czuć się urażona. Jednakże z wyrazu twarzy Mary widać było, iż słowa Beatrice sprawiły jej przykrość. Vincent dobrze znał kobiety pokroju Beatrice - ładne jak obrazek, a jednocześnie chciwe i

podstępne. Najwyraźniej zastawiła sidła na Jasona i żadna narzeczona nie mogła jej przeszkodzić.

Vincent wykrzywił usta w nieprzyjemnym uśmiechu. Przy Beatrice, lady Weldon i nim samym panna Mary Goodwin nie miała szans.

Cecil odłożył widelec.

- Posłuchaj, Jasonie. Mary na pewno nie chce spędzić całego rana oglądając nudne pejzaże. Musisz jej pokazać coś ciekawszego. Na przykład lochy.

- Lochy? - spytała z zainteresowaniem Mary.

Vincent, mniej zadowolony z rozwoju sytuacji, spojrział wściekle na Cecila. Co sobie ten szczeniak wyobraża? Horace Quimby przestał na chwilę opychać się jajkami w szklance i lososiem.

- Wątpię, aby chciała pani zwiedzać najgorsze zakamarki domu - powiedział. - Jest tam ciemno i brudno.

Vincent pokiwał głową. Bardzo ciemno i brudno. Nigdy nie schodził do lochów, nawet za życia. Zszedł tam raz, już po śmierci. Wytrzymał zaledwie kilka sekund, a i tak miał dość.

- To fascynujące - stwierdziła Mary. - Trochę brudu mi nie przeszkadza. Czy możemy tam pójść? - spytała Jasona z uśmiechem.

Ten uśmiech zaskoczył Vincenta. Był niesłychanie powabny.

Jason nie potrafił się oprzeć.

- Jeśli sobie życzysz, Mary - powiedział, nie spuszczać wzroku z jej warg.

Vincent zaklął w duchu.

- Cóż to za pomysł, Jasonie! - zawołała lady Weldon. - Lochy to nie miejsce dla damy.

Jason wzruszył ramionami.

- Kiedyś musi je zobaczyć.

- Ależ, mam - powiedziała Beatrice, uśmiechając się fałszywiej niż zwykle. - Musimy się starać spełniać życzenia naszego gościa.

- Ja też się wybiorę - stwierdził Cecil. - Dawno nie widziałem tego lochu. Kiedy przyjeżdżaliśmy tu na pogrzeby kolejnych hrabiów, zawsze bawiliśmy się tam z Jasonem. Pamiętasz, Jasonie, jak się wzajemnie podbechtywaliśmy, żeby pójść do piekła?

- Do piekła? - powtórzyła Mary.

Vincent jęknął.

- Tak nazwaliśmy małą, ciemną komórkę w lochu - wyjaśnił Jason, wstając od stołu. - Idziesz z nami, Quimby?

Quimby, smarując placek dżemem i śmietaną, potrząsnął głową.

- Muszę się zająć swoimi owieczkami. Poza tym nie lubię lochów. A zwłaszcza piekła. Jest tam coś niesamowitego.

Vincent wstrząsnął się odruchowo. Kiedy był jeszcze dzieckiem, jeden z jego braci zamknął go „niechcący” w piekle. Od tego czasu znienawidził to miejsce. Nie miał zamiaru nawet się tam zbliżyć. Będzie musiał poczekać ze straszaniem Mary.

Mary także wstała.

- Może tam wreszcie spotkam ducha - zażartowała.

Vincent zeszywniał. Co za bezczelna...

- Wątpię, żeby przyzwoity duch kręcił się po takim ponurym miejscu - powiedział Jason, biorąc Mary pod imię.

Wyszli z jadalni razem z Cecilem i Beatrice, a w chwilę później podążyła za nimi lady Weldon. Quimby skończył jeść, beknął głośno i także wyszedł. Vincent zszedł z portretu i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Bardzo dobrze, pomyślał, obchodząc stół. Nie lubi lochów, lecz skoro Mary koniecznie chce tam pójść, to i on pójdzie. Będzie się tylko trzymał z daleka od piekła.

Stanął i głęboko odetchnął. Na pewno uda mu się, bez wielkiego trudu, porządnie ją nastraszyć. Najlepiej, kiedy zostanie sama. Przydałoby się zatem oddzielić ją od innych. Tak czy inaczej nie należy dłużej czekać.

Mary Goodwin wyniesie się z Helsbury House jeszcze przed południem.

Jason, spięty i przygotowany na wszystko, prowadził małą grupkę w dół, w podziemia Helsbury House, wysoko unosząc pochodnię. Wiedział, że Vincent słuchał ich rozmowy przy śniadaniu, i nie wątpił, iż duch planuje coś nikczemnego. Jason nie zdziwiłby się, gdyby lada moment ze ściany wyskoczyła ucięta głowa albo jakieś łapska złapały ich za nogi. Na razie jednak nic się nie działo i Mary, uśmiechnięta i podekscytowana, szarpała go za rękaw, żeby iść szybciej.

Jason rzucił okiem na złotobrazową głowę u swego boku. Doskonale zdawał sobie sprawę z powodów, dla których nie powinien żenić się z Mary; Beatrice i Vincent nieraz mu o nich mówili. Mary będzie miała trudności z dopasowaniem się do innego trybu życia. Jason będzie musiał zrezygnować z wolności osobistej. Mary nie posiada odpowiednich umiejętności ani właściwych strojów. Hrabiowie Helsbury nigdy nie mieli szczęścia w miłości; to uczucie miewało tragiczne wręcz konsekwencje.

Jason wszystko to wiedział. Dlaczego zatem, gdy musieli się do siebie zbliżyć na wąskich schodach, tak wyraźnie czuł jej ciepło, słodki zapach włosów, dotyk piersi na ramieniu...

Skrzypiały rozchwierutane, drewniane schody, a Jason w duchu jęczał wraz z nimi. Mary zajmowała jego myśli w znacznie większym stopniu, niż się tego spodziewał. Poprzedniego dnia, kiedy powinien był się skoncentrować na omawianiu opłat i terminów ekspedycji towaru z Blevinsem, bez przerwy widział przed oczyma jej obraz. Myślał o tym, jak wyglądała, kiedy przyszedł do jej pokoju - cała miękka i rozkosznie śpiąca; jak wyglądały jej włosy - długie, gęste i błyszczące; jak smakowały jej usta - ciepło, słodko i wilgotno...

Zacisnął palce na pochodni. Przez cały poprzedni dzień starał się przepędzić te wizje i niemal mu się udało. Dopóki nie wrócił do domu i nie wszedł do pokoju ciotki Sally.

Zamknął oczy i zatrzymał się na schodach.

- Czy coś się stało, Jasonie? - spytała Mary.

Jason otworzył oczy.

- Nie, nie, nic takiego - wyjąkał i ruszył w dół.

Ten gorset. Przeklęty gorset. Już poprzedniego wieczora, kiedy widział go na krześle w jej sypialni, zastanawiał się, jakby w nim wyglądała Mary, ale rzeczywistość przerosła wyobraźnię.

Jason był pewien, że wizerunek Mary w gorsecie i w majtkach na zawsze wrył mu się w pamięć.

Na widok jej delikatnych kostek i łydek, pod ozdobionymi koronką, długimi nogawkami majtek, krew zawrzała mu w żyłach. Na widok talii i bioder, podkreślonych krojem gorsetu, krew uderzyła mu do głowy. A jej piersi, uniesione delikatnie gorsetem, sprawiły, iż krew spłynęła mu do lędźwi. Mógłby rozsznurować gorset i własnymi dłońmi podtrzymać piersi Mary...

- Czy mógłbyś, Jasonie, podnieść trochę wyżej pochodnię? - poprosiła Beatrice. - Dym leci mi prosto w twarz.

Jason podniósł pochodnię. Będzie musiał bardziej nad sobą panować. Mało brakowało, a pocałowałby Mary w bibliotece. Po części był nawet wdzięczny Vincentowi, że go od tego powstrzymał.

Nie oznaczało to jednak, iż ustąpi duchowi. Vincent stanowczo za długo się szarogęsi. Jason postanowił sam decydować o swym ożenku. Jednocześnie zaś nie zamierzał się poddać požądaniu. Pójdzie z Mary do łóżka w odpowiednim miejscu i czasie - po ślubie.

Zeszli tymczasem na sam dół. Mary zatrzymała się i klasnęła w dłonie.

- To wspaniałe! - zawołała.

Jason rozejrzał się po długim, wąskim, pozbawionym okien pomieszczeniu z kołem tortur i dybami, z

klepiskiem, kamiennymi ścianami i niskim, drewnianym sufitem.

- Prawie jak w zamku w Windsorze, co? - stwierdził sucho Jason.

- Mówię poważnie. Ile osób może się pochwalić, że ma w domu prawdziwy loch? Masz szczęście.

Jason przez dłuższą chwilę przyglądał się błyszczącym oczom i uśmiechniętym wargom Mary, aż w końcu siłą oderwał od nich wzrok. Rzeczywiście, ma szczęście. Chyba będzie się musiał zamykać na noc w lochu, dopóki nie nadejdzie dzień ślubu.

Beatrice podeszła bliżej.

- Zwróciłaś uwagę na narzędzia tortur, Mary? Są jak najbardziej prawdziwe, choć Parsellowie nigdy ich nie używali. Wykorzystywano je jedynie do straszenia więźniów.

Mary podeszła do krzesła z dybami i usiadła. Parę razy podskoczyła na siedzeniu, wzbijając w powietrze tumany kurzu.

Beatrice kichnęła.

- Doprawdy, Mary, czy musisz zachowywać się tak... Tak entuzjastycznie?

- Przepraszam.

Mary wyciągnęła szyję, usiłując wcisnąć głowę między śruby.

- Jest pani za mała - powiedział Cecil. - Proszę podejść do koła tortur. Mogę panią przywiązać, jeśli pani chce.

- Och, tak.

Mary ze śmiechem ruszyła naprzód.

Jason złapał ją za ramię.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział przez zęby.

Mary zamrugła oczyma.

- Koło jest strasznie brudne - wyjaśnił. - Zniszczysz suknię.

- Ach, tak.

- Już i tak jesteś cała brudna z tyłu od siedzenia na tym obrzydliwym krześle - powiedziała Beatrice, odsuwając się od Mary.

- Ojej!

Mary, marszcząc brwi, starała się obejrzeć z tyłu, po czym otrzepała rękami siedzenie.

Jason powstrzymał odruch, aby przyjść jej z pomocą. Beatrice odchrząknęła.

- Dawno temu więziono tu zdraździeckich jakobinów przed wysłaniem ich do Londynu.

Jason puścił ramię Mary. Wiedział, że przesadził, ale nie mógł dopuścić do tego, żeby Cecil dotykał rąk i nóg Mary.

Światło pochodni przygasło i znów rozbłysło, a potem znów przygasło, bardziej niż za pierwszym razem.

Jason rozejrzał się wokoło. Panowała cisza i spokój, w lochu nie było śladu niczyjej innej obecności, lecz Jason wyczuwał nikły zapach jesiennych liści.

Przysunął się do Mary i zmusił do mówienia lekkim tonem:

- Jednym z tych zdrajców był mój stryjeczny prapradziadek, który, na swoje nieszczęście, popierał Jakuba drugiego.

Beatrice zmarszczyła czoło.

- Nie powinienes o nim wspominać, Jasonie. Okrył hańbą nazwisko Parsellów.

- Na pewno - mruknął Jason, cały czas rozglądając się wokoło. - Udało mu się uciec z piekła i walczył z buntownikami, a potem zbiegł do Ameryki. Osobiście uważam, że Cynric był dużo ciekawszym

człowiekiem.

- Kto to był? - zapytała Mary, podchodząc do ściany, żeby się bliżej przyjrzeć zardzewiałym kajdanom.

Jason cały czas trzymał się blisko Mary.

- Jeszcze jeden rodzinny odstępca. Sakson. Kiedy Normanowie podbili Anglię, pewien żołnierz nazwiskiem Amaux postanowił zbudować zamek. Cynricowi, który był właścicielem ziemi przed najazdem Normanów, to się nie Podobało. Utrudniał, jak mógł, życie Amaux i w końcu wylądował w piekle. Jednakże uciekł stąd i porwał córkę Amaux.

- Biedna dziewczyna! - zawołała Mary. - Co się z nią stało?

- Została skompromitowana i wyszła za mąż za swego porywacza.

Jason wpatrywał się w kąt lochu. Czy mu się zdawało, czy coś tam zaświeciło?

- Skończyło się to wszystko tak, że Cynric rządził zamkiem, a nim rządziła córka Amaux.

- Mądra kobieta - stwierdziła z uśmiechem Mary, rozglądając się wokół. - Gdzie jest to piekło? Chciałabym je zobaczyć.

Jason zawahał się na moment. Zajrzał pod koło tortur i rzucił okiem na sufit. Wszystko wyglądało normalnie. Wziął Mary za rękę i zaprowadził do kąta, gdzie otworzył małe drewniane drzwi.

Mary musiała się schylić, żeby zajrzeć do środka.

- Jakie to straszne - powiedziała, spoglądając na niego błyszczącymi oczyma. - Chciałabym tam wejść.

- Nie bądź głupia, Mary - powiedziała Beatrice. - Chyba dość już widziałaś.

Mary wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i zrobiła krok naprzód.

- Zaczekaj! - powiedział ostro Jason.

Mary zatrzymała się, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

- Pójde pierwszy - oznajmił Jason, ignorując jej pytające spojrzenie.

Pochylił się i wszedł do celi. W środku mógł się znów wyprostować. Rozejrzał się po małym pomieszczeniu. Nie był tu od wielu lat, ale nic się nie zmieniło. W jednym kącie stał połamany koń na biegunach, jakieś zakryte obrazy i krzesło bez siedzenia. Pokój był wilgotny, z czarnymi zaciekami na ścianach, choć zaskakująco ciepły.

Wyciągnął rękę, aby pomóc Mary wejść.

Weszła do środka i zmarszczyła nos.

- Coś tu brzydko pachnie.

Wyprostowała się i rozejrzała wokół siebie, jej wzrok padł na rzeczy w kącie.

- Co...

Coś głośno trzasnęło. Mary podskoczyła i obejrzała się. Jason również się odwrócił, choć z góry wiedział, co zobaczy. Drzwi były zatrzęsnięte. Podeszedł i spróbował je stworzyć, ale były zamknięte na klucz.

Przez grube drewno dobiegł ich zdumiony głos Cecila.

- Nie wiem, co się stało, Jasonie, ale nie możemy otworzyć drzwi.

Jason dokładnie wiedział, co się stało. Vincenta nie było wprawdzie w celi, lecz nie było wątpliwości, że duch sterczy gdzieś w pobliżu. Zaklął pod nosem. Ciekawe, co Vincent chciał przez to osiągnąć?

- Idź do gospodyni po klucz, Cecilu.

- Dobrze - odparł Cecil.

- Zaczekaj - powiedziała Beatrice. - Nie możesz wziąć pochodni.

- Muszę ją wziąć. Inaczej nie znajdę schodów.

- Nie przypuszczasz chyba, że zostanę tu po ciemku?

- Cecilu - powiedział Jason przez zaciśnięte zęby. - Klucz.
- Już idę, Jasonie. Lady Beatrice, może pani pójść ze mną albo tu zostać. Ja idę.
- Dobrze.

Usłyszeli oddalające się kroki dwóch osób.

W piekle zapadła cisza. Pochodnia, którą trzymał Jason, zamigotała i na kamiennych ścianach zatańczyły przeraźliwe tlenie. W ciszy słychać było różne rzeczy: skrzypienie, gwizdanie, drapanie jakiegoś stworzenia.

Jason odwrócił się do Mary, żeby ją uspokoić. Ku swemu zdumieniu przekonał się, że dziewczyna wcale się nie boi. Kiedy na niego spojrzała, jej niebieskie oczy zabłyśły w świetle pochodni.

- Czyż to nie ekscytujące, Jasonie? Prawie mogę sobie wyobrazić, że jesteśmy tu uwięzieni, czekając, aż zapłacą za nas okup.

Jason spojrzał na jej uśmiechniętą twarz. Nie miał nic przeciwko pobytowi w celi, pod warunkiem, że razem z Mary...

Dotknął ich powiew zimnego powietrza, dochodzący przez dziurkę od klucza, jakby ktoś z drugiej strony przez nią dmuchał. Pochodnia zamigotała. Znow coś dmuchnęło, tym razem mocniej. Jason starał się osłonić pochodnię, ale było za późno.

Światło zamigotało i zgasło.

9

Mary wpatrywała się w czarną ciemność, usiłując odkryć, gdzie jest Jason. Nie widziała nic, nawet zarysów postaci. Czowała jednak zapach mydła i tytoniu.

- Jasonie?

Usłyszała, że odłożył pochodnię i zrobił krok naprzód.

- Przepraszam cię. Mary - powiedział cicho. - Mam nadzieję, że się nie boisz ciemności.

- Nie - odparła, wyteżając wzrok w kierunku, skąd dobiegał jego głos. - Lubię ciemność.

- Naprawdę? - zdziwił się Jason. - Dlaczego?

- Och, nie mam pojęcia - powiedziała ze śmiechem. - Może dlatego, że wszystko wydaje się bardziej intensywne.

- Bardziej intensywne?

- Tak. Dźwięki są wyraźniejsze i czystsze. Zapachy są bogatsze i pełniejsze. A dotyk jest bardziej wrażliwy, nie sądzisz? Ciemność jest bardziej żywiołowa. I bardziej prymitywna...

Nagle zdała sobie sprawę ze swoich słów i urwała.

Jason się nie odzywał.

Głęboka, czarna ciemność jakby ich opływała. Mary zrobiło się bardzo ciepło, a w powietrzu wyczuwała jakiś bardzo nikły i niemożliwy do zidentyfikowania zapach. Serce zaczęło jej bić szybciej i nagle poczuła strach i pewnego rodzaju oczekiwanie.

- Twój głos brzmi zupełnie inaczej - powiedział Jason ochryple. - Jest ciepły, melodyjny, jakby każda sylaba była nutą pięknej pieśni. I pachniesz niewiarygodnie słodko. Jak kwiaty, miód i mięta. A dotyk...

Mary poczuła raczej niż zobaczyła, że Jason wyciąga do niej rękę. Dłonią musnął jej biodro.

Odskoczyła, ale Jason przysunął się bliżej, jedną ręką obejmując ją w talii, a drugą przesuwając wzdłuż boku aż do wymuskanego koronkowego kołnierza przy szyi. Dotknął koronek, a potem przesunął dłoń na wrażliwą skórę w zagłębieniu szyi. Pod palcami wyczuwał gwałtownie bijący puls.

- Ach - szepnął. - Jesteś taka miękka, Mary. Miękka i ciepła.

- Palce kontynuowały wędrówkę przez policzek do ucha. Obrysowały jego kształt, po czym, idąc wzdłuż linii włosów, objęły brodę i uniosły twarz Mary.

- Zapomniałaś o jednej rzeczy. Mary. Zapomniałaś o smaku...

Dotknął ustami jej ust. Delikatnie. Tak delikatnie, jak zrobił to kiedyś, w ogrodzie. Mary poczuła ulgę. Nie musiała się bać. To był Jason.

Dotknął językiem jej warg. Mary westchnęła gwałtownie, ale Jason nie zwrócił na to uwagi. Obwodził językiem kształt ust, powodując iskry, które przenikały jej wargi, szyję, ramiona, czubki piersi, aż na sam dół, do brzucha i złączenia ud.

Usiłowała się cofnąć, lecz silne ramię, otaczające kibić, zacisnęło się mocniej, przyciągając ją jeszcze bardziej. Jej piersi spłaszczyły się na jego klatce piersiowej; pod nimi wyczuwała żebra i krawędzi spiętych mięśni. Emanowało z niego gorąco, a zapach wełny i mydła przytłoczył inny zapach - piżma, który zdawał się przenikać przez całą skórę.

Nacisnął językiem na kącik ust i wsunął nogę między jej nogi. Językiem pieścił jej wargi, a udem pocierał delikatnie o najbardziej intymną część jej ciała. Wreszcie wsunął język do środka ust i wsunął rękę pod suknię, zaciskając ją na piersi...

Mary jęknęła, wyrwała się z uścisku Jasona i cofnęła o kilka kroków, ciężko dysząc.

- Mary? Wróć do mnie, Mary.

Głos Jasona był miękki, natarczywy, nagły i nieodparty. Serce Mary waliło jak oszalałe. Bała się - nie zamknięcia w ciemności, lecz dźwięku głosu Jasona. Brzmiał tak dziwnie - pożądliwie... prosząco...

Ustąpiła, że zbliżył się do niej, i cofnęła się, oddychając z trudem, urywanie, pod ścianę. Jason nadal się zbliżał.

- Mary? Nie bój się, chcę cię tylko przytulić.

Potknął się o pochodnię, zaklął i znów ruszył naprzód.

- Mary...

Głos Jasona, taki łagodny i błagalny, chwycił Mary za serce. Wiedziała, że powinna się odsunąć, ale nie mogła ruszyć się z miejsca. Wszystkie jej zmysły odpowiadały na Jego błaganie, popychając ją ku niemu, aby ukoił tęsknotę, którą czuła w sobie...

Odruchowo zrobiła krok w kierunku Jasona.

- OOOOOOOOOOoooooooooooochchchch...

W lochu rozległ się niesamowity jęk, zwielokrotniony echem. Mary znieruchomiała.

- Co to było? - spytała.

Ustąpiła, że Jason zaklął.

- Nic - odparł. - Wiatr. Chodź tutaj, Mary.

Za drzwiami zabrzmiały powolne kroki.

Mary, przestraszona, odskoczyła, wpadając na konia na biegunach.

- Kto tam jest, Jasonie?

Jason wydał z siebie coś pośredniego między śmiechem a jękiem.

- To na pewno duch. Chodź tutaj, Mary. Ja cię obronię.

Jednakże Mary odzyskała zdrowy rozsądek. Roześmiała się i powiedziała:

- Powinnam się chyba bronić przed tobą, nie przed duchem.

- Mary...

Za drzwiami rozległy się kolejne kroki, tym razem niewątpliwie ludzkie.

Mary łukiem obeszła miejsce, skąd dochodził głos Jasona, i przystanęła przy drzwiach.

- Czy to pan, Cecilu?

- Tak. Mam klucz - odpowiedział z drugiej strony Cecil.

Zazgrzytał zamek. Po chwili drzwi się otworzyły. W celi rozbłysło światło pochodni.

Cecil zajął do środka.

- Możecie wychodzić.

Mary zamruwała oczyma, przyzwyczajając się do światła, a potem zerknęła na Jasona. Miał ściągniętą twarz i pociemniałe oczy. Przełknęła ślinę i szybko wyszła z celi. Jason podniósł pochodnię i powoli wyszedł za nią.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - powiedział wesoło Cecil, zapalając pochodnię Jasona od swojej własnej. - Musiałem szukać klucza. Spadł z kółka, na którym gospodyni nosi wszystkie klucze, i porządnie się naszukaliśmy.

- Gdzie Beatrice? - spytała Mary.

Stwierdziła, że musi się przygotować na dzisiejszy wieczór muzyczny.

- Ach, tak. Chyba dość już się nazwiedzałam tych lochów. Pójdę i zobaczę, czy pani French dostarczyła moją suknię.

Udając, że nie widzi wyciągniętej ręki Jasona, Mary prędko weszła po wąskich, drewnianych schodach. Jason szedł tuż za nią. Czują na szyi jego palące spojrzenie.

U szczytu schodów Jason i Cecil przystanęli, żeby zgasić pochodnie i osadzić je z powrotem w metalowych uchwytach. Mary jednak się nie zatrzymała. Weszła do holu i miała ruszyć na górę, gdy Jason ją dogonił.

- Mary - powiedział, łapiąc ją za ramię.

Spoglądał na nią pochmurnym, badawczym wzrokiem. Mary, unikając jego spojrzenia, wyszarpnęła ramię.

- Muszę iść na górę - mruknęła i wbiegła na schody.

Kiedy doszła do swego pokoju, serce waliło jej jak młot. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, zamykając oczy. Jason się zmienił. Teraz to rozumiała. Przedtem myślała, że jest jej przyjacielem.

A teraz wydawał się zupełnie kimś innym.

10

Jason szybko ruszył naprzód, przecinając rapierem powietrze i nie przejmując się kunsztowną sztuką szermierki. Jego kroki głośno zastukały na posadzce. Zamiast wykonywać eleganckie, zdyscyplinowane pchnięcia i cięcia, wymachiwał bronią na wszystkie strony, niby jakiś zwariowany wiking. Pot lał mu się z czoła, a koszula przylepiła do pleców, lecz mimo to nie zwalniał tempa. Walka pozwalała mu zapomnieć o palącym go požądaniu.

- Jesteś w żalnej formie, bratanku - powiedział za nim ironiczny głos. - Brak ci praktyki.

Jason obrócił się na pięcie, opuszczając rapier. Vincent, z aureolą przyćmioną światłem słońca, opierał się o drzwi. Miał na sobie zielonobrazowy strój do polowania.

- Czy to zaproszenie, stryju? - spytał Jason, spoglądając na niego z wściekłością.

Vincent uniósł w górę jedną czarną brew.

- Och, nie to miałem na myśli, lecz, oczywiście, jestem zawsze do usług.

W jego dłoni pojawiła się błyszcząca szpada.

- Wydaje mi się, że jesteś trochę... spięty, bratanku.

Jason ni to jęknął, ni się zaśmiał. Słowo „spięty” w żaden sposób nie oddawało tego, co czuł. Bolało go całe ciało. I była to, przynajmniej po części, wina Vincenta.

- To dlatego, że byłem zamknięty w lochu.

- Doprawdy? Być może, powinieneś na przyszłość unikać takich miejsc.

Vincent uniósł szpadę.

- *En garde!*

- Zapewne masz rację.

Jason zsalutował duchowi bronią. Kiedy dotknął szpadą błyszczącej broni Vincenta, usłyszał brzęczący dźwięk. Jason zignorował znany mu hałas i uniósł szpadę, okrążając jej czubkiem rapier Vincenta.

- Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać, stryju.

- Ach, tak? Czyżbyś wreszcie zmadrzał i postanowił skorzystać z mojej pomocy w pozbyciu się narzeczonej?

Vincent szybkim ruchem pchnął broń do przodu.

Jason uskoczył na lewo i sparował na prawo. Szpady się zetknęły, brzęczący hałas wzrósł.

- Nie całkiem - odparł Jason z zimnym uśmiechem. - Umówiliśmy się, że sam zajmę się Mary.

Teraz on zadał pchnięcie.

Vincent gładko sparował cios.

- Zgadza się, chłopcze.

Jason zaatakował od zewnątrz.

- Zatem dziwię się, że zjawiłeś się wczoraj po południu w bibliotece.

Vincent znów sparował.

- Och, źle to sobie wyliczyłem. Zapewniam cię jednak, że zrobiłem to niechcący. Chciałem cię tylko zapytać, czy będziemy kontynuować partię szachów. Kiedy zobaczyłem tam twoją narzeczoną, natychmiast wyszedłem.

Jason zrobił krok do tyłu, żeby wytrzeć pot z oczu.

- To bardzo dyskretnie z twojej strony. Doprawdy zdumiewa mnie twoja wrażliwość.

Jason wykonał zwód.

- Mary mówiła mi, że miała dziwne sny pierwszej nocy.

Vincent zignorował mylące uderzenie.

- Zupełnie mnie to nie dziwi. W błękitnym apartamencie każdego mogą prześladować złe sny. Powinieneś ją przenieść do innego pokoju.

- Powiedziała, że ty jej się śniłeś.

- Naprawdę?

Vincent trzymał szpadę w obojętnej pozycji, po czym zrobił szybki ruch ręką.

- Nie bądź zazdrosny, chłopcze. Nic na to nie poradzę, że jestem mężczyzną jej marzeń.

Broń Vincenta prześlizgnęła się przez gardę Jasona i dotknęła jego lewej ręki. Prąd elektryczny przeszył ramię Jasona i czerwona plama, jak oparzenie, pojawiła się na jego dłoni. Jason znał to uczucie z poprzednich potyczek z Vincentem i nawet nie mrugnął okiem.

- Bardzo śmieszne - powiedział, czekając na okazję, żeby uderzyć. - I to pewno nie ty jęczałeś i hałasowałeś w lochu?

- Musiał to być jakiś inny duch, któremu też nie podoba się twoja narzeczonej - powiedział Vincent, okrążając Jasona z lewej strony.

Jason zmrużył oczy i pilnował ruchów Vincenta.

- Mary w każdym razie zdała egzamin. Wcale się nie bała tych teatralnych jęków.

- Teatralnych?! - wykrzyknął Vincent i opuścił szpadę.

Jason z uśmiechem nie skorzystał z szansy.

Vincent zmarszczył brwi. Bez ostrzeżenia pchnął szpadą w górę.

Jason odbił uderzenie, przekręcił rękę i ciął w twarz ducha.

Vincent podniósł dłoń do policzka, zasłaniając ciemną kreskę, która wykwitła w jego aurze. Cofnął się, a

światłość wokół niego lekko zamigotała.

- Zatem panna Goodwin nie jest taka bojaźliwa, jak się wydaje - stwierdził chłodnym tonem. - Co nadal nie oznacza, że zasługuje na tytuł. Nie mam wątpliwości, że jest chciwa i pazerna, tak jak wszystkie kobiety...

W tym momencie otworzyły się drzwi. Jason, z uniesionym rapierem, obrócił się i zobaczył Beatrice.

- A, tu jesteś - powiedziała, obracając na palcu czerwone kółeczko. - Mama prosiła, żeby ci powiedzieć, iż czas na obiad.

- Dziękuję, Beatrice - odparł grzecznie Jason, opuszczając szpadę. - Zaraz przyjdę.

Beatrice jednak nie ruszyła się z miejsca. Spojrzała na pierś Jasona, okrytą tylko płócienną koszulą.

- Mam nadzieję, że doszedłeś do siebie po przygodach w lochu.

- Tak, dziękuję za troskę.

Beatrice roześmiała się perliście.

- Och, oczywiście, przecież jesteś mężczyzną. Damy są bardziej wrażliwe na takie rzeczy.

- Zapewniam cię, że Mary też nie ucierpiała.

- Cóż, ona jest mniej... delikatna niż większość dam. Wydaje się taka... krzepka. Naturalnie, bardzo ją lubię. Jestem pewna, że świetnie wypadnie na dzisiejszym wieczorze. Z pewnością nikt nie odgadnie, skąd pochodzi. - Beatrice zawahała się na chwilę i dodała: - Nie chcę się wtrącać, ale pewna sprawa mnie niepokoi. Rozmawiałam dziś z panią French, kiedy przywiozła suknie Mary. Powiedziała mi, że przygotowuje dla Mary ponad dziesięć sukien. Zdaję sobie sprawę, iż Mary przypuszczalnie nie wie, że nie powinna przyjmować od ciebie ubrań przed ślubem, zwłaszcza w takich ilościach, ale postanowiłam ci o tym powiedzieć.

- Ha! - wykrzyknął Vincent. - Wiedziałem! Wydaje twoje pieniądze garściami. Dziesięć sukien! Jest jeszcze bardziej pazerna niż Elizabeth.

- Mary nic nie wie o dodatkowych sukniach - poinformował Beatrice Jason, ignorując Vincenta. - Zapewne miło ci będzie usłyszeć, że nie chciała ich przyjąć. To mój ślubny prezent dla niej. - Wziął Beatrice pod ramię i poprowadził ją do drzwi. - A teraz, jeśli pozwolisz, mam tu jeszcze coś do skończenia. Zobaczymy się przy obiedzie.

Nie przejmując się nadętym wyrazem jej twarzy Jason zdecydowanym ruchem zamknął za nią drzwi i odwrócił się do Vincenta.

- Mary nie jest bojaźliwa ani pazerna. W dwójnasób zdała twój egzamin. Zostaw ją w spokoju.

- Jak sobie życzysz - mruknął Vincent, spoglądając na ostrze szpady.

Jason odwiesił szpadę i wziął kamizelkę oraz surdut.

- Dziękuję, stryju.

Vincent nie podniósł głowy, gdy drzwi cicho zamknęły się za Jasonem. Od niechcenia przeciągnął palcem po ciemnej kresce na policzku. Chłopak dzielnie się bronił i stanął w obronie narzeczonej. Jednakże mylił się, uważając, iż Mary zdała egzamin Vincenta. Wydarzenie w lochu nie było prawdziwym egzaminem.

Vincent był tego ranka niewybaczalnie niezgrabny. Wprawdzie nie mógł się powstrzymać od zamknięcia Jasona z Mary w celi, lecz nie był to dobry pomysł. Poza tym popełnił błąd, zostawiając ich samych, kiedy popędził na górę, żeby zabrać klucz gospodyni. Nie wiedział składnie, co się zdarzyło w celi, kiedy był na górze, choć mógł się, oczywiście, domyślać, ale jedno było pewne, Jason był teraz całkiem zdecydowany ożenić się z Mary.

Mary natomiast była mądrzejsza, niż Vincent przypuszczał. Dowodził tego przykład sukien. Udając, że ich nie chce, sprawiła, iż Jason zamówił ich jeszcze więcej. Pokazała Jasonowi, że jest chodzącą świętością.

Jego, Vincenta, nie oszuka. Wiedział, iż pod anielską powłoką kryje się taka sama kobieta, jak wszystkie inne, przy odrobinie wysiłku z jego strony odkryje swą prawdziwą twarz. W końcu żadna kobieta nie jest odporna na zazdrość.

Vincent uniósł szpadę i zasalutował wyimaginowanemu przeciwnikowi. Z rozmachem wykonał pchnięcie,

pewien, że podczas wieczoru muzycznego odnajdzie słaby punkt panny Mary Goodwin i zwycięży ją raz na zawsze.

11

Mary zastukała do drzwi ciotki Sally.

- Proszę!

Ciotka Sally leżała w łóżku czytając „Przewodnik po ziołach” Culpeppera. Podniosła głowę, gdy Mary weszła, i otworzyła ze zdumienia usta.

- Wyglądasz świetnie, moja droga.

Mary, w różowej sukni, trzymała ręce lekko odchyłone na bok, żeby nie pognieść rękawów z podwójnymi bufami.

- Nie sądzi ciocia, że ta suknia jest dla mnie trochę... za elegancka?

- Skądże znowu. Jason będzie zadowolony.

Mary opuściła powieki, a serce zabiło jej mocniej w ściśniętej nowym gorsetem piersi.

- Tak ciocia myśli?

- Jestem pewna. Odwróć się, żebym zobaczyła cię z tytu.

Posłusznie obróciła się i ciotka Sally zachwyciła się raz jeszcze jej wyglądem, ale Mary była myślami gdzie indziej.

Nie bardzo wiedziała, jak ma się wieczorem zachować wobec Jasona. Po tym, co zaszło w celi, czuła się zawstydzona i skonfundowana. Takiego Jasona nie znała. Przedtem zawsze odnosił się do niej bardzo grzecznie i z szacunkiem. Jednakże tego ranka, w ciemnościach piekła, był kimś obcym. Słodkim, kuszącym obcym, który szeptał jej do ucha czułe słówka i dotykał wargami jej warg. Pociągającym, zmysłowym obcym, który wsunął jej język do ust, przycisnął nogę do wrażliwego miejsca między udami i włożył rękę pod suknię, żeby pieścić kciukiem czubek piersi...

Mary zamknęła oczy i spróbowała głęboko odetchnąć. Niestety, gorset na to nie pozwalał. Musiała oddychać płytko i powoli, aż jej puls nieco się uspokoił.

- Wydaje mi się, że pomyślnie przejdziesz inspekcję.

Mary otworzyła oczy i spojrzała na ciotkę Sally.

- Inspekcję?

- Tak. Jestem pewna, że Eugenia zaprosiła na dzisiejszy Wieczór najznamienitsze i najbardziej wpływowe rodziny w okolicy. Spodziewam się, że będzie sir Dudley, hrabia i hrabina Bosfield i oczywiście książę Stafford. Denerwujesz się, moja droga?

Mary wzruszyła ramionami.

- Odrobinę. Mój brat i bratowa często przyjmowali gości. Brałam udział w wielu przyjęciach. Nie mogę się już doczekać wieczoru - skłamała. - Niech ciocia też przyjdzie. Na pewno będzie się ciocia dobrze bawić.

- Nie, to niemożliwe - powiedziała ciotka Sally, unikając Jej wzroku.

Mary usiadła na brzegu łóżka i wzięła jej rękę w swoje dłonie.

- Ciociu Sally, wątpię, żeby ktoś tak długo miał do cioci Pretensje. Nawet Vincent.

- Nie rozumiesz! - zawołała ciotka Sally ze łzami w oczach. - Ja... Ja zaaranżowałam ich spotkanie.

- Czyje spotkanie?

- Vincenta i Elizabeth. Ona była moją najlepszą przyjaciółką, a on, moim kuzynem. Myślałam, że są dla siebie stworzeni. Udało mi się zaprosić Elizabeth na przyjęcie, na którym miał być Vincent. Byłam pewna, że się w sobie zakochają.

- Ale się nie zakochali?

- Nie. Och, oczywiście, Vincent jej asystował, lecz Elizabeth zachowywała się wobec niego bardzo

chłodno. Powiedziała mi, że uważa go za człowieka aroganckiego, któremu należy się ostra odprawa.

Mary zmarszczyła brwi.

- Czyli najpierw go zbałamuciła, a potem wyszła za innego?

- To nie całkiem tak było. Początkowo, kiedy Vincent oświadczył się Elizabeth, myślałam, że wszystko ułożyło się tak, jak zaplanowałam. Elizabeth była szczęśliwa i podekscytowana. Vincent też. Zamówił jej portret, a Elizabeth nalegała, żeby zamówił także swój portret. Vincent przywiózł jej portret ze sobą, kiedy przyjechał do Helsbury House, żeby przygotować wszystko na przybycie Elizabeth, i zawiesił go w jadalni. Powiedział, że chce na nią patrzeć, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Kazał też przygotować dla niej błękitny apartament w hebanie i niebieskim atlasie, żeby pasował do jej włosów i oczu.

- Jakie to romantyczne! - zawołała odruchowo Mary. - I co się stało?

- Dokładnie nie wiem. Chyba się pokłócili na wieczorku muzycznym, ponieważ potem Elizabeth znów była wobec Vincenta bardzo chłodna, nawet bardziej niż przed zaręczynami. Zdawała się go unikać, a Vincent był cały czas spięty i zły.

- I Elizabeth zerwała zaręczyny?

Ciotka Sally kiwnęła głową.

- W czasie balu maskowego. Nigdy nie widziałam Vincenta tak wściekłego. Myślałam, że złość z czasem mu dnie, ale tak się nie stało. Tego dnia, kiedy się dowiedział, i Elizabeth wychodzi za Havershama, kazał spalić jej portret. Zginął tego samego wieczoru.

- To bardzo smutne.

To była rzeczywiście smutna historia. Mimo stwierdzenia ciotki Sally, że hrabiowie Helsbury żenili się tylko z rozsądku, Mary uważała, że Vincent chyba kochał Elizabeth.

- Widzisz zatem - powiedziała ponuro ciotka Sally - że Vincent ma podstawy, aby być na mnie zły, i dlatego muszę zostać w swoim pokoju.

Patrząc w załzawione brązowe oczy ciotki Sally, Mary mocniej ścisnęła jej rękę.

- Nie, nie widzę - stwierdziła. - Rola cioci w całej tej sprawie była przecież minimalna. Jestem pewna, że gdyby Vincent żył, już dawno by cioci wybaczył.

Ciotka Sally potrząsnęła głową.

- Miła jesteś. Mary, nie znasz jednak Vincenta. Jesteś słodkim dzieckiem i będziesz dobra dla Jasona, prawda? O ile, oczywiście, duch cię stąd nie wystraszy. Czy już próbował?

- Nie - odparła z uśmiechem Mary.

- Hmm. To do niego niepodobne. Zanim zejdziesz na dół, chcę ci coś pożyczyć na dzisiejszy wieczór.

Ciotka Sally wzięła różowo-biały wachlarz z piór, leżący na stoliku przy łóżku, i podała go Mary.

- Ach, dziękuję! - wykrzyknęła Mary i impulsywnie uściskała starszą panią. - Obiecuję, że będę o niego dbała.

Ciotka Sally dotknęła chusteczką oczu.

- Lepiej już idź, moja droga. Nie możesz się spóźnić. Eugenia byłaby bardzo niezadowolona, a przecież nie chcesz jej denerwować, prawda?

Mary posłusznie zeszła na dół, bawiąc się po drodze wachlarzem. Była już prawie na samym dole, kiedy zobaczyła, że Jason, Beatrice i lady Weldon stoją w holu i wpatrują się w nią.

Szybko złożyła wachlarz i z bijącym sercem spojrzała na Jasona.

Wyglądał szalenie elegancko, w granatowym surducie z białą kamizelką i białym halsztukiem. Ciemnobrązowe włosy zwiły się na kołnierzu, a szaroniebieskie oczy spojrzały wprost na nią, po czym przesunęły się na suknię.

Jason lekko zmarszczył brwi.

Mary przystanąła.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Gdzie twój pierścionek? - zapytał Jason ostrym głosem.

Mary odruchowo schowała dłoń w fałdy sukni.

- W pokoju. Nie wchodził na rękawiczkę i nie mieścił się pod nią.

Beatrice, jak zwykle uśmiechnięta, wtrąciła się do rozmowy.

- Trudno nosić pierścionek w rękawicze. Lepiej go wcale nie wkładać. Bardzo ładnie wyglądasz. Mary. Suknia jest wprawdzie trochę *demodé*, ale z pewnością nikt tego nie zauważy.

Mary zacisnęła palce na wachlarzu ciotki Sally. Nim zdążyła odpowiedzieć, Jason zrobił krok naprzód.

- Ja nie zauważyłem - powiedział.

Uklonił się i ucałował dłoń Mary.

- Wyglądasz prześlicznie, Mary.

Był tak grzeczny, że to, co zdarzyło się rano w lochu, wydawało się Mary wprost niewiarygodne.

- Dziękuję, Jasonie. Ty również świetnie wyglądasz.

Jason uśmiechnął się i Mary, uspokojona, odwzajemniła uśmiech. Gdyby tylko Jason częściej się uśmiechał... uśmiechnięty Jason przypominał dawnego Jasona, takiego, którego znała i kochała, któremu ufała i przy którym czuła się swobodnie...

Niespodziewanie Jason spojrzał na nią bez uśmiechu, wpatrując się w nią pochmurnym, intensywnym spojrzeniem.

Mary przypomniała sobie jego namiętny, natarczywy głos, który szeptał: - Chodź tutaj, Mary...

Mary odwróciła wzrok, czując nagle ucisk gorsetu. Ktoś zapukał do drzwi.

Lady Weldon pomaszerowała do wejścia.

- Chodźcie - rozkazała. - Są już pierwsi goście.

- Na pewno wszystko będzie dobrze - powiedziała miło Beatrice. - Nie przejmuj się.

Mary odetchnęła głęboko.

Jason rzucił na nią okiem.

- Jeśli nie wiesz, co zrobić, naśladowuj Beatrice - poradził. - Ona zna wszystkie subtelności życia towarzyskiego.

Rada Jasona nie poprawiła nastroju Mary. Stała przy drzwiach, razem z innymi, modląc się, żeby nie popełnić jakiegoś *faux pas*.

„Proszę, cię, Boże, spraw, żebym nie zrobiła czegoś głupiego”.

Bóg najwyraźniej jej wysłuchał, ponieważ w ciągu następnej godziny, kiedy Mary witała gości, nie zemdląca, nie straciła głosu ani się nie przewróciła. Jednakże jej nastrój pogarszał się z każdym kolejnym gościem. Duży hol pełen był ludzi dobrze ubranych i dobrze urodzonych. Nigdy w życiu nie spotkała tylu hrabiów i hrabinek. W przeszłości arystokracja nie napawała jej lękiem, teraz jednak widziała w ich wzroku nieme taksowanie. Uśmiechała się wprawdzie i wysoko trzymała głowę, ale czuła się jak oszustka i bała się, że każdy, kto na nią spojrzy, natychmiast ją rozszyfruje.

Poczuła ulgę, gdy jakiś czas później mogła już odejść od drzwi. Sama nie wiedziała, co ją bardziej bolało: twarz od uśmiechania się, kolana - od dygania, czy głowa - od zapamiętywania każdego nowego nazwiska.

Zamierzała odpocząć kilka minut w garderobie dla pań, nim jednak zdążyła odejść, Jason wziął ją pod rękę i zaprowadził do grupki osób, gdzie znajdowali się hrabia i hrabina Bosfield, Cecil, Beatrice i książę Stafford. Książę, tęgi i łysy, z odstającymi uszami, kiwnął im głową i nadal wygłaszał swoje uwagi na temat ustawy o reformie systemu wyborczego.

Mary słuchała z zainteresowaniem. Poprzedniego roku, kiedy po raz pierwszy zaproponowano tę ustawę, często o niej rozmawiała z Jasonem. Oboje zgadzali się, że jest konieczna.

- Ustawa jest zbyt radykalna, zbyt daleko idąca - mówił książę. - Nikt nie wie, jakie będą jej konsekwencje. Nie jestem przeciwny reformom, lecz musimy stosować je ostrożnie, rozważając każde za i przeciw. Ludzie muszą być cierpliwi.

Hrabiosstwo Bosfield, którzy słuchali wywodów księcia z niespecjalnie mądrym wyrazem twarzy, pokiwali głowami.

- Ludzie muszą być cierpliwi - powtórzył hrabia Bosfield.

Cecil, którego srebrnoblond włosy doskonale podkreślał granatowy surdut, potrząsnął głową.

- Ludzie stracili cierpliwość, kiedy Izba Gmin odmówiła działania w sprawie East Retford.

Hrabia i hrabina Bosfield nie mieli pojęcia, o czym mowa, lecz Mary skinęła głową. Korupcja w East Retford była doprawdy haniebna. Gdyby Izba Gmin zgodziła się na przeniesienie władzy z East Retford do Birmingham, wszystko miałyby się inaczej.

- Prawa nas wszystkich zostaną zagrożone - mówił dalej Cecil - jeśli skorumpowane okręgi wyborcze będą nadal istniały i można będzie kupić miejsce w parlamencie.

- Nie przeczę, iż należy coś zrobić ze skorumpowanymi okręgami wyborczymi - stwierdził książę. - Jeśli jednak przestudiuje pan cały system, przekona się pan, że działa on całkiem dobrze i że wszystkie dziedziny zainteresowania publicznego są reprezentowane w parlamencie: prawo, handel, bankowość, przemysł okrętowy i...

- Wszystko i wszyscy oprócz pracowników rolnych - przerwał mu Cecil. - A wielu z nich nie ma co do garnka włożyć.

- To prawda, zdarzają się przypadki krańcowego ubóstwa - włączył się do dyskusji Jason. - Jednakże są one częściej spowodowane nieurodzajem i problemami z handlem niż prawodawstwem. Nie można winić rządu za sprawy, które pozostają poza jego kontrolą.

Mary spojrzała na Jasona ze zdumieniem, nie wierząc własnym uszom.

- Chcesz powiedzieć, że powinniśmy stać z boku i patrzeć, jak ludzie umierają z głodu? - zawołała. - Nie uważasz, że mamy moralny obowiązek pomagać tym, co są w potrzebie?

- Tak, mamy moralny obowiązek. Dlatego uczestniczymy w działaniach charytatywnych i staramy się pomagać najbiedniejszym.

- Ale ludzie nadal głodują - powiedziała Mary. - I nikt się za nimi nie ujmie.

- Oprócz ciebie - stwierdziła Beatrice i roześmiała się perliście.

Mary zaczerwieniła się lekko.

- Przepraszam, jeśli powiedziałam coś niewłaściwego. Chciałam tylko wyrazić troskę o tych, o których się często zapomina.

- Ojej, tak się przejmować! - zawołała Beatrice, trzepocząc rękami i zalotnie spoglądając na Jasona i księcia. - Ja to całkiem nie mam głowy do polityki.

- I dlatego jest pani taka czarująca, lady Beatrice - stwierdził z uśmiechem książę.

Rumieniec Mary stał się wyraźniejszy.

- Pochlebia mi pan, wasza wysokość - powiedziała ze śmiechem Beatrice. - Zadedykuję panu utwór, który będę śpiewać dziś wieczorem.

- Ależ to pani mi pochlebia, lady Beatrice.

Książę zerknął na Mary i najwyraźniej jej pożałował.

- Niecierpliwie czekam również na pani występ - powiedział uprzejmie.

- Nie będę dzisiaj śpiewać, wasza wysokość - stwierdziła cicho Mary.

- Mary jest trochę... nieśmiała - wyjaśniła Beatrice. - Dlatego ja ją zastąpię.

- Lady Beatrice jest bardzo miła, ale, prawdę mówiąc, nie umiem śpiewać ani grać - powiedziała Mary z wymuszonym uśmiechem.

Hrabia i hrabina Bosfield wydali z siebie taki dźwięk, jakby Mary przyznała się, że nie nosi majtek. Krzaczaste brwi księcia podjechały na łysinę, Beatrice uśmiechnęła się, a Jason zmarszczył czoło.

Cecil odchrząknął.

- O, pani St. Paul przywołuje mnie do siebie. Czy pójdzie pani ze mną. Mary?

Jason zmarszczył brwi, gdy Mary skinęła głową. Ona jednak zbyt była zdenerwowana, aby zwrócić na to uwagę. ulgą odeszła razem z Cecilem.

- Czy przekroczyłam wszelkie granice? - spytała Mary, kiedy odeszli kilka kroków.

Cecil roześmiał się.

- Wcale nie. Wiele dam nie umie śpiewać ani grać. Szkoda tylko, że nie chcą się do tego przyznać i torturują nas swoimi występami.

Mary uśmiechnęła się blado, lecz wciąż była przejęta.

- Dlaczego wszyscy się we mnie wpatrywali, kiedy mówiłam o ustawie parlamentarnej?

Cecil poklepał ją po ręce.

- Po prostu zaskoczyła ich pani.

- Ale dlaczego? Przecież nie powiedziałam niczego okropnego, prawda?

- Nie. Nie są jednak przyzwyczajeni, żeby młoda piękna kobieta mówiła o czymś innym niż jej własna osoba. Debiutantki mają przeważnie pusto w głowie.

- A Jason? Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy się wypowiadał przeciwko ustawie.

- Jason nie jest przeciwko ustawie. Jednakże jest człowiekiem bardzo logicznym i chce zawsze znać obie strony medalu.

- Rozumiem - powiedziała Mary ze zmęczonym uśmiechem. - Dziękuję za zabranie mnie stamtąd, zanim zdążyłam pograć się zupełnie.

Cecil spojrział na nią łagodnymi, orzechowymi oczyma.

- Nic podobnego pani nie groziło.

- Bardzo pan uprzejmy - mruknęła. Mimo uprzejmości Cecila najchętniej umknęłaby z zatłoczonego holu. - Przepraszam pana, muszę pójść do pokoju dla pań.

- Oczywiście.

Cecil odprowadził Mary do drzwi małego pomieszczenia przeznaczonego dla dam, uklonił się i odszedł. Mary weszła do środka i rozejrzała się wokół.

Odetchnęła z ulgą, kiedy się okazało, że pokój jest pusty. Usiadła na stołku i przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. Policzki miała lekko zaróżowione, ale była to jedyna oznaka wewnętrznego wzburzenia.

Mary westchnęła i pogłaskała miękkie pióra wachlarza. Czuła się szalenie skonfundowana. Nie rozumiała tego nowego świata, w jakim się zniecka znalazła. Nie rozumiała ludzi ani praw, jakimi się rządzą. Nie rozumiała także Jasona. Nie wiedziała, co myśli i co czuje. A co najgorsze, nie rozumiała już sama siebie. Opadły ją niepewność i dziwne odczucia, jakich nigdy do tej pory nie doświadczała. Wszystko stało się okropnie skomplikowane. Chciałaby, aby życie znów było tak proste, jak kiedyś.

Z tyłu za nią otworzyły się drzwi. Mary pochyliła się do przodu udając, iż poprawia fryzurę. W lustrze zobaczyła młodą dziewczynę, siedemnastoletnią, może osiemnastoletnią, o gęstych ciemnych włosach i niebieskich oczach.

- O, panna Goodwin - zawołała dziewczyna miłym, niskim głosem.

Mary odwróciła się, wyteżając pamięć. Ach, tak, Adams. Panna Cynthia Adams. Jason przedstawił ją jako daleką krewną.

- Panna Adams. Czy dobrze się pani bawi?

- Ach, tak!

Panna Adams usiadła obok Mary, wyciągnęła z torebki kilka szpilek i zaczęła przypinać do sukni oderwany kawałek koronki.

- Chociaż nie jestem przyzwyczajona do przebywania w towarzystwie tylu znamienitych osób. Kolana mi się trzęsły, kiedy mnie przedstawiano księciu - mruknęła z ustami pełnymi szpilek. - Żałuję, że nie umiem się tak zachowywać jak pani.

- Jak ja? - powtórzyła zaskoczona Mary.

- Tak, widziałam, jak rozmawiała pani z księciem, zupełnie się nie przejmując. Ale ja i tak się dobrze bawię. I Peregrine też, choć się tego nie spodziewałam, bo on nie lubi przyjeść.

- Kto to jest Peregrine? - spytała z uśmiechem Mary.

- Peregrine Benedict jest moim narzeczonym. Prawie.

- Prawie?

Cynthia westchnęła i wpięła następną szpilkę.

- Rodzice nie pozwolą nam się zaręczyć, dopóki Peregrine nie będzie miał środków na nasze utrzymanie. Stara się o posadę w firmie okrętowej, ale na razie mu się nie udaje. Tak naprawdę to chciałby wstąpić do wojska i zostać kapitanem.

Mary przyjrzała jej się z zainteresowaniem.

- Chciałaby pani być żoną żołnierza?

- Och, tak. To byłoby szalenie ekscytujące. Nawet mama i papa mówią, że zgodziliby się na nasze małżeństwo, gdyby Peregrine mógł mieć patent oficerski. Niestety, nie stać go na to.

- Co zrobicie?

Cynthia wpięła ostatnią szpilkę.

- Mam nadzieję, że dostanie posadę w firmie okrętowej - odparła, wstając. - Muszę wracać. Jestem pewna, że Peregrine źle się beze mnie czuje. Cieszę się, że miałam okazję z panią porozmawiać.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i wyszła.

Mary odczekała chwilę i wyszła za nią. Taka miła dziewczyna, pomyślała. Szkoda, że nie mogę jej pomóc.

Weszła do holu i zobaczyła, że jest niemal pusty.

Zaskoczona rozejrzała się wokół, zastanawiając się, co się stało z gośćmi.

- Tu jesteś!

Mary odwróciła się na dźwięk głosu Beatrice.

- Gdzie się podziewałaś? Zabawa z rękawiczką właśnie się zaczyna.

- Przepraszam - powiedziała Mary. - Rozmawiałam z Cynthią Adams.

- Cynthią Adams? Ach, tak, już wiem. Jej matka twierdzi, iż jej dziadek był kuzynem żony czwartego hrabiego. Osobiście w to nie wierzę. Pani Adams jest zwykłą sprzedawczynią... - Beatrice urwała, wpatrując się w Mary szeroko otwartymi oczyma. - Ojej, nie chciałam... To znaczy, nie chcę, abyś mnie źle zrozumiała...

- Dobrze cię zrozumiałam - powiedziała sztywno Mary. - Ja uważam, że panna Adams jest czarująca. Jest zaręczona z panem Benedictem.

- Poznałam go. Jest dość dobrze urodzony, choć biedny jak mysz kościelna.

- Gdyby miał patent oficerski, mógłby się ożenić z panną Adams.

- Doprawdy? - powiedziała Beatrice znudzonym głosem.

- Pomyślałam, że poproszę Jasona, żeby im pomógł - stwierdziła impulsywnie Mary.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Czemu nie?

- Jason jest zasypywany prośbami o pomoc od najrozmaitszych osób. Jeśli stworzy precedens, tym trudniej będzie mu odmówić kolejnej prośbie - wyjaśniła Beatrice, zatrzymując się przy drzwiach do pokoju muzycznego. - Jesteśmy. Świetnie, mama jeszcze nie zaczęła.

Pokój muzyczny był zatłoczony. Mary usiadła w ostatnim rzędzie, Beatrice obok niej. W chwilę później Cynthia przycupnęła na krzesło z drugiej strony Beatrice.

- Halo! - szepnęła dziewczyna do Mary.

Po czym dodała z wątłym uśmiechem:

- Dobry wieczór, lady Beatrice.

Beatrice chłodno skinęła głową.

Lady Weldon chrząknęła.

- Jak zapewne większość państwa wie, na wieczorkach muzycznych w Helsbury tradycyjnie gramy w specjalną grę. Ostatnio graliśmy w tę grę ponad dwadzieścia pięć lat temu, ale jestem pewna, że niektórzy z państwa ją pamiętają. Zasady są bardzo proste. Najpierw służący przejdzie z tacą i wszystkie damy położą na niej jedną rękawiczkę. Potem służący przywoła panów z biblioteki i zaprezentuje im tacę. Każdy dzentelmen musi położyć kartę wizytową na jednej z rękawiczek. Następnie wysłuchamy popisów naszych utalentowanych młodych panien. Po zakończeniu występów każda dama weźmie swoją rękawiczkę z kartą wizytową i może wówczas wprosić o przysługę pana, którego kartę otrzyma.

Panie, pośród chichotów i śmiechów, ściągały rękawiczki kładły je na tacy.

- Jeśli mój mąż wybierze moją rękawiczkę, co mu resztą doradzam, zażądam, aby mi rozmasował stopy oznajmiła pani St. Paul.

- A ja będę się domagać nowego kapelusza - powiedziała lady Bosfield.

Kiedy służący doszedł do ostatniego rzędu, Cynthia położyła rękawiczkę na tacy.

- Każę Peregrine'owi zabrać się do teatru. On nie znosi teatru.

- A jeśli nie wybierze pani rękawiczki? - zażartowała Mary.

- Na pewno wybierze - stwierdziła Cynthia. - Bardzo mnie kocha.

Mary pomyślała, że chciałaby być tak pewna miłości Jasona. I nie czuć się tak zakłopotana w jego obecności.

Beatrice zdjęła rękawiczkę i położyła ją przy rękawiczkę Cynthia.

- O co ty poprosisz, Mary? - spytała.

- Może o taniec na balu maskowym? - odparła Mary.

Weszli panowie i stanęli z tyłu pod ścianą. Mary pospiesznie ściągnęła długą rękawiczkę i położyła ją na brzegu tacy.

- Cóż za brak wyobraźni - szepnęła Beatrice, kiedy lady Barbara i panna Bruce zajmowały miejsca, jedna przy fortepianie, druga na środku sali. - Żał mi biednego człowieka, który spotka się z tak nudną prośbą. Ja zażądam od dzentelmena, który wybierze moją rękawiczkę, aby został na jeden dzień moim niewolnikiem. Każę mu się zabrać na piknik w pewne odosobnione miejsce, gdzie będzie musiał robić to, co zechcę. Wiem też, kto miałby to być.

Mary odwróciła się i spojrzała tam, gdzie patrzyła Beatrice. Wprost na Jasona.

Zesztywniała. Z pewnością Beatrice nie miała na myśli...

Lady Barbara uderzyła w klawisze. Panna Bruce otworzyła usta i zaśpiewała.

Muzyka była piękna. Wszystkie damy wzdychały. Nawet panowie przestali się kręcić i słuchali.

Mary, z uśmiechem przyklejonym do ust, starała się słuchać, usiłując odrzucić od siebie straszne

podejrzenie.

Vincent, chowając się w cieniu, z tyłu pokoju muzycznego, wpatrywał się w służącego z tacą, choć myślał zupełnie o czymś innym. Walczył ze wspomnieniami, które nie sprawiały mu najmniejszej przyjemności.

Nie powinien był tu przychodzić. Mógł się domyślić, jak przykry będzie to wieczór. Dwadzieścia pięć lat minęło od wieczoru muzycznego na cześć jego i Elizabeth, gdy jednak spoglądał na zgromadzony tłum, zdawało mu się, że nic się nie zmieniło.

Owszem, panie miały inne kreacje i inne fryzury. Panowie nosili spodnie zamiast bryczesów i zarost zamiast wygolonych kiedyś twarzy. Jednakże rozmowy i śmiechy prawie się nie zmieniły. Wszystko było takie samo: spotkanie znajomych i sąsiadów, muzyka i oczywiście gra w rękawiczkę.

Na przyjęciu sprzed dwudziestu pięciu lat uważnie obserwował, gdzie Elizabeth kładzie swoją rękawiczkę. I kiedy służący podszedł z tacą, czekał niecierpliwie, aby położyć kartę wizytową na małej rękawicze koloru kości słoniowej z perłowymi guziczkami.

Dlatego przeżył szok, gdy Haversham - Haversham! - położył kartę na rękawicze Elizabeth. Szok Vincenta zmienił się w furię. Rzucając Havershamowi wściekłe spojrzenie poradził mu, żeby zabrał swoją kartę albo przeszedł z nim do pokoju szermierczego. Haversham, wstrętny tchórz, zbladł i natychmiast go usłuchał.

Vincent wciąż jeszcze kipiał ze złości, kiedy przy końcu gry Elizabeth wyszeptala mu do ucha swoją prośbę: o pocałunek.

Szybko zapomniał o gniewie. Wielokrotnie próbował zaszyć się z nią w jakimś odludnym miejscu, ale stale przeszkadzali mu w tym niewiarygodnie głupi goście. Tej nocy wrócił do swego pokoju wściekły i sfrustrowany, obiecując sobie, że skończy z tradycją gry w rękawiczkę.

Kiedy znalazł się już w pokoju, usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Kiedy je otworzył, zobaczył Elizabeth, uśmiechniętą, lekko zaróżowioną, spoglądającą na niego niebieskimi oczyma.

- A co z naszym pocałunkiem? - spytała.

Wciągnął ją do pokoju i pocałował. Pocałunek trwał bardzo, bardzo długo. Bez końca...

Nagły aplauz przerwał rozmyślenia Vincenta. Panna Bruce skończyła śpiewać. Z uśmiechem i z rumieńcami wróciła na miejsce, przed publiczność zaś wyszła panna Adams, która zaczęła śpiewać jeszcze bardziej wzruszającą pieśń.

Vincent zaklął. Nie mógł pozwolić, aby głupie wspomnienia przeszkodziły mu w działaniu. Musi się zająć wyrzuceniem panny Mary Goodwin z Helsbury House. W przeciwnym razie Jason stanie się kolejną ofiarą wstrętnej kobiety.

Odwrócił się od gości i skoncentrował na swych planach.

Już poprzedniego wieczoru doszedł do wniosku, że gra w rękawiczkę dostarczy mu doskonałej okazji, żeby wzbudzić zazdrość w Mary. Teraz, gdy podsłuchiwał rozmowę między Mary a Beatrice, był pewien, że jego plan się powiedzie.

Rezygnując ze słuchania muzyki uśmiechnął się nieprzyjemnie i wypłynął do holu.

12

W holu Vincent odnalazł tacę na stoliku między dwiema marmurowymi kolumnami. Służący, młody człowiek w purpurowo-złotej liberii i w upudrowanej peruce, stał sztywno pod jedną z kolumn. Vincent zmarszczył brwi na jego widok, a potem wzruszył ramionami. Obecność służącego była jedynie drobną przeszkodą. Vincent stanął pod drugą kolumną i skierował wzrok na tacę.

Leżące na niej rękawiczki miały najróżniejsze rozmiary i kolory. Jedne były z czarnej koronki, inne - haftowane złotem, jeszcze inne - ozdobione falbankami. Jednakże większość młodych panien nosiła zwykłe białe rękawiczki, które niczym się od siebie nie różniły. Na szczęście zauważył, że Mary położyła rękawiczkę na brzegu tacy, tuż obok rękawiczki Beatrice.

Karty leżały czystą stroną do góry. Vincent zrobił jeden ruch dłonią i karta na rękawicze Mary odwróciła

się. Nie zdziwił się, kiedy zobaczył nazwisko Jasona.

Służący rzucił okiem na tacę i ze zdumieniem spojrzął na odwróconą kartę. Marszcząc brwi podszedł bliżej i odwrócił kartę, a potem wrócił na swoje miejsce.

Vincent przyjrzał się uważnie służącemu, po czym znów skupił się na tacy. Karta na rękawiczce Mary uniosła się i zamieniła miejscami z kartą na sąsiedniej rękawiczce. Vincent uśmiechnął się z zadowoleniem.

Służący odwrócił głowę w peruce i wbił wzrok w nieruchome karty wizytowe. Potrząsnął głową i znów spojrzął przed siebie.

Drzwi do pokoju muzycznego otworzyły się i do holu wpadły dźwięczne tony granego na harfie utworu. Beatrice wyszła do holu, wachlując się od niechcenia. Rozejrzała się wokół i podeszła do służącego.

- Halo, Kendall - powiedziała z miłym uśmiechem.

Kendall wytrzeszczył oczy i gwałtownie poczerwieniał.

- D-d-dobry wieczór pani - wydukał.

Przypuszczalnie Beatrice pierwszy raz w życiu zwróciła się do służącego po imieniu, pomyślał sarkastycznie Vincent.

- Cieszę się, że cię tu widzę - stwierdziła Beatrice, zamykając wachlarz i uderzając nim Kendall'a po ramieniu. - Hrabia Helsbury martwi się, że wybrał niewłaściwą rękawiczkę. Byłoby to doprawdy okropne.

- Proszę się nie martwić - odparł Kendall, któremu grdyka latała w górę i w dół nad ciasnym kołnierzykiem. - Hrabia Helsbury położył kartę na rękawiczce panny Goodwin. Sam widziałem.

- Ach, to świetnie, Kendall. Chyba wrócę wobec tego do pokoju muzycznego... Och!

Wachlarz wypadł Beatrice z dłoni.

- Ja, ja podniosę! - zawołał Kendall, klękając.

Beatrice w mgnieniu oka zamieniła dwie karty, które leżały na rękawiczkach z brzegu tacy.

Kendall podniósł się z wachlarzem w ręce.

- Dziękuję, Kendall - powiedziała z uśmiechem Beatrice i wróciła do pokoju muzycznego.

Vincent roześmiał się w duchu. Co za szczywana sztuka! Mógł być sobie oszczędzić wysiłków. Powinien był wiedzieć, że Beatrice zrobi coś takiego.

Szybko, korzystając z faktu, iż służący gapił się za róg Beatrice z wyrazem rozmarzenia w oczach, znów zamienił karty.

Drzwi do pokoju muzycznego ponownie się otworzyły do holu wyszedł Cecil. Marszcząc brwi zatrzymał się przy stoliku.

- Słuchaj, Kendall, czy to nie lady Beatrice wychodziła przed chwilą?

- Tak, proszę pana. Chciała się upewnić, że hrabia Helsbury wybrał rękawiczkę panny Goodwin.

- Doprawdy?

Cecil obrócił się lekko.

- Akurat - mruknął pod nosem.

Kendall wskazał małą rękawiczkę na brzegu tacy.

- Powiedziałem lady Beatrice, że sam widziałem, jak hrabia Helsbury położył tam swoją kartę.

- Rozumiem. Bardzo się cieszę.

Cecil zerknął na służącego.

- Wiesz, Kendall, popraw sobie perukę. Trochę się przekrzywiła.

Kendall zbladł i dotknął rękami peruki.

- Bardzo panu dziękuję. Lady Weldon chyba by mnie obdarła ze skóry, gdyby mnie zobaczyła w

przekrzywionej peruce.

Z tymi słowami służący pospiesznie podeszedł do lustra na przeciwległej ścianie.

Cecil szybko sprawdził nazwiska na kartach.

- Wiedziałem - mruknął i zamienił karty.

Służący wrócił i Cecil spojrzął na perukę.

- Teraz jest dużo lepiej, Kendall. Chyba wrócę do pokoju muzycznego, nim lady Weldon mnie tutaj przyłapie.

Vincent skrzywił się i obrócił w stronę tacy. Czuł, że jego energia trochę się wyczerpuje, choć nie na tyle, żeby nie mógł na nowo zamienić kart. Skupił się i czekał. Tym razem było to trochę trudniejsze, ale karty przeleciały w powietrzu.

Kendall odwrócił głowę.

Nadal wpatrywał się w karty, kiedy drzwi otworzyły się po raz trzeci i do holu wyszła lady Weldon, która podeszła wprost do służącego.

- A, Kendall, jesteś. Wszystko w porządku?

Służący odwrócił głowę od stolika.

- Tak, proszę łaskawej pani.

- Świetnie, świetnie - powiedziała lady Weldon, rzucając okiem na tacę. - Powiedz mi, czy wiesz, którą rękawiczkę wybrał mój siostrzeniec? Byłabym zażenowana, gdyby wybrał kogoś innego, a nie pannę Goodwin.

- Nie musi się pani kłopotać. Wybrał właściwą rękawiczkę.

- Naprawdę? - powiedziała lady Weldon z wymuszonym uśmiechem. - Całe szczęście.

Przyjrzała się uważnie służącemu, który drżał niemal pod jej spojrzeniem.

- Zanieś lemoniadę do pokoju muzycznego i dla pani St. Paul. Wypiła trochę za dużo wina.

- Tak, proszę pani.

Kendall, wyraźnie odprężony, uklonił się i odszedł pospiesznie. Lady Weldon natychmiast podeszła do tacy i zaczęła przeglądać karty.

Vincent przyglądał się jej z obawą.

Lady Weldon zaczęła od drugiego końca tacy i metodycznie sprawdzała każdą kartę, odkładając je, dopóki nie wzięła karty ze środka tacy. Z pomrukiem zadowolenia zamieniła szybko kartę z inną, leżącą na dużej, szarej rękawiczce.

Vincent odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu, nie...

Z tyłu otworzyły się drzwi do pokoju muzycznego. Ze środka słychać było brawa. Lady Weldon zesztywniała prędko zamieniła dwie karty na brzegu tacy.

Vincent zaklął gwałtownie, słysząc głos Quimby'ego.

- A, tu pani jest, lady Weldon.

Lady Weldon odwróciła się i uśmiechnęła chłodno.

- Dobry wieczór. Czy coś się stało?

- Nie, nie. Chciałem pani tylko pogratulować wspaniałego przyjęcia. Jestem pod wielkim wrażeniem.

Pastor uśmiechnął się; z okrągłymi policzkami, kępkami piątych włosów i z nieodłączną Biblią pod pachą wyglądał jak podstarzały cherubinek.

- Szalenie mi się podobała gra na harfie panny Sanders - mówił dalej Quimby. - Precyzja i doskonałość. Prawie się nie zauważało błędów. A panna Adams! Co za finezja! Śpiewała doprawdy uroczo. Aż trudno uwierzyć, że to dopiero jej drugi publiczny występ, prawda?

Wikary nie przestawał się zachwycać i Vincent zazgrzytał zębami. Jeśli Quimby'emu tak bardzo podobała się muzyka, dlaczego nie wracał do pokoju muzycznego, żeby nadal słuchać?

- Panna Bruce jest także nadzwyczajna...

Vincent zaczął się martwić, że koncert skończy się, zanim pastor umilknie. Spojrzał na Quimby'ego i na lady Weldon. Stała przy stoliku, zasłaniając mu widok na tace.

Vincent wyprostował się, jeszcze raz rzucił okiem na dwoje ludzi i skupił się na tacy, starając się, aby karty zamieniły się miejscami nie fruując zbyt wysoko w powietrzu. Tym razem musiał się dość wysilić, ale mu się udało.

- A lady Barbara! Wielokrotnie słyszałem jej grę. Co za repertuar! Prawdziwa wirtuozka! Muszę jednak przyznać, że z niecierpliwością oczekuję występu lady Beatrice.

- Beatrice bardzo się ucieszy, gdy jej o tym powiem - stwierdziła lady Weldon lodowatym tonem. - A teraz muszę wracać do gości.

Quimby spoglądał za nią, trochę zaskoczony. Zmarszczył brwi, rzucił okiem na tace i znów podążył wzrokiem za lady Weldon. Podeszedł do tacy, szybko rozejrzał się wokół i podniósł kartę z rękawiczki Beatrice.

- Niepodobna! - wykrzyknął.

Podejrzał karty po lewej i po prawej stronie.

- Aha!

Prędko zamienił karty.

Vincent zacisnął pięści.

Quimby odsunął się, zawahał, obrócił i wziął do ręki rękawiczkę Beatrice. Przycisnął ją do twarzy i westchnął rozmarzony. Odłożył rękawiczkę i szybko wrócił do pokoju muzycznego.

Vincent popatrzył za nim z wściekłością. Stary, zakochany głupiec! Podeszedł do tacy i wbił wzrok w kartę na rękawiczce Mary.

Karta nawet nie drgnęła.

Piekło i szatani!

Vincent wciągnął głęboko powietrze, wyciągnął ręce i z całej siły się skoncentrował. Wyobraził sobie promienie światła przechodzące z jego dłoni do rękawiczek. Bardzo powoli dwie karty uniosły się w górę. Ostrożnie, z wielkim wysiłkiem, zmusił je, aby zamieniły się miejscami, i westchnął z ulgą.

Kiedy karta Jasona opadała na rękawiczkę Beatrice, drzwi od pokoju muzycznego znów się otworzyły. Vincent puścił ręce, spojrzał przez ramię i zobaczył Jasona, który przyglądał się opadającej karcie.

Spojrzał groźnie na Vincenta.

Vincent prędko przybrał niewinny wyraz twarzy.

Jason cicho zamknął drzwi i skrzyżował ręce na piersiach.

- Widzę, że stryj postanowił wziąć udział w wieczorku muzycznym?

Vincent wyciągnął tabakierkę.

- Życie ducha jest nudne.

- Mógłby się stryj zająć modlitwą i prosić Boga o przebaczenie za grzechy.

- Musiałbym się modlić dziesiątki lat. Co ty tu robisz, mój drogi? Czy nie podoba ci się muzyka?

- Bardzo mi się podoba.

Jason podeszedł do stolika i od niechcienia oparł na nim rękę, tuż przy tacy.

- Dlaczego nie wejdiesz do środka?

- Może i wejdę. Czy będziesz mi towarzyszył?

- Wolę tu zostać przez chwilę. Wysokie trele lady Beatrice brzmią czasem zbyt piskliwie.

- Zrezygnuję zatem z wysłuchania jej popisu. Moje uszy są bardzo wrażliwe.

Obaj spojrzeli na siebie bez słowa.

Drzwi na końcu holu otworzyły się i wszedł Kendall z lemoniadą. Przystanął, gdy zobaczył Jasona.

- Czy coś stało? - zapytał.

- Nie, Kendall - odparł Jason. - Chciałem odpocząć na moment od muzyki.

Służący kiwnął głową i ruszył dalej, przechodząc obok Jasona. Jason odwrócił się tak nieszczęśliwie, że go potrafił. Taca wypadła mu z rąk i szklanki z lemoniadą wylądowały na podłodze.

- Och, proszę pana, najmocniej przepraszam! - wykrzyknął Kendall. - Nie wiem, dlaczego jestem taki niezgrabny.

Vincent z uśmiechem na ustach podniósł głowę i spostrzegł, że Jason opuszcza rękę. Vincent zmrużył oczy.

Jason strzepnął kroplę lemoniady ze spodni.

- To nie była twoja wina, Kendall.

W pokoju muzycznym rozległy się oklaski.

- Zdaje się, że koncert się skończył - powiedział Jason. - Zadzwoń po pokojówkę, żeby tu posprzątała, a ty tymczasem będziesz mógł zanieść do pokoju tacę z rękawiczkami.

- Dobrze, proszę pana.

Kendall wziął tacę.

Jason kiwnął głową i podszedł do dzwonka.

Vincent spojrział na niego, a potem poszedł za Kendalllem do pokoju muzycznego. Patrząc nad ramieniem służącego obserwował rękawiczki.

Karta wizytowa na rękawiczce Beatrice leżała na jej skraju. Przedtem znajdowała się bliżej środka.

Vincent zaklął. Kendall nie spuszczał oka z rękawiczek. Vincent znów zaklął, wiedząc, że musi jeszcze raz spróbować. Ze wszystkich sił skoncentrował się na swym zadaniu. Zebrał resztki energii i natychmiast ją z siebie wypuścił. Karty zamieniły się miejscami.

Kendall zatrzymał się w drzwiach i zamarł ze zgrozy, wpatrując się w tacę z rękawiczkami.

Lady Weldon z uśmiechem stanęła przed gośćmi.

- Nadszedł czas, aby damy odzyskały swe rękawiczki - oznajmiła. - Kendall, przynieś tu tacę. Kendall? Kendall!

Kendall, blady i drżący, zrobił krok do przodu, postawił tacę na stoliku przy drzwiach i uciekł z pokoju.

Vincent oparł się o ścianę i z uśmiechem obserwował, idy Weldon nadymającą się jak ropucha.

- Coś takiego! - prychnęła.

W pokoju rozległ się szmer głosów.

Mary wstała i podeszła do drzwi, spoglądając za służącym e zmartwionym wyrazem twarzy. Zamknęła drzwi i odwróciła się do stolika z tacą.

Vincent przyglądał się jej z uśmiechem satysfakcji, zastanawiając się, czy teraz, kiedy Jason tak otwarcie wybrał Beatrice, Mary zerwie zaręczyny. Rzucił okiem la Beatrice. Spoglądała na Jasona, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona.

Vincent roześmiał się cicho. To oczywiste, że Mary zerwie zaręczyny. Żadna kobieta nie będzie tolerowała ego, że jej narzeczony wybrał inną, zwłaszcza gdy ta druga jest tak ładna jak Beatrice.

Mary wzięła tacę i zaniósła ją lady Weldon, po czym wróciła na swoje miejsce. Kiedy tak siedziała, niczego złego się nie spodziewając, nie podejrzewając niczego nieprzyjemnego, Vincentowi zrobiło jej się

zał. Jednakże wiedział, że to, co robi, jest ważniejsze. Mary nie pasuje do tej warstwy społecznej. Kiedy zerwie zaręczyny z Jasonem, będzie mogła znaleźć sobie jakiegoś miłego, solidnego bankiera, wyjść za niego i mieć z nim tuzin dzieci. Doprawdy, Vincent robi jej tylko przysługę.

Z czystym sumieniem oczekiwał zwycięstwa.

W pokoju coraz to rozlegały się wybuchy śmiechu, gdy Panie brały swe rękawiczki i karty wizytowe. Pani St. Paul, która istotnie wypila za dużo wina, zrzuciła z nóg duże pantofle i kazała mężowi masować sobie stopy.

Lady Weldon uśmiechnęła się skromnie, podnosząc dużą, szarą rękawiczkę.

- Ciekawe, który z panów będzie musiał zrobić coś dla mnie? No, proszę, książę Stafford!

Wreszcie służący doszedł do końcowego rzędu. Na tacy leżały jeszcze tylko cztery rękawiczki. Vincent spojrzął na stojącego z boku Jasona. Jason, jakby wyczuwając jego spojrzenie, odwrócił się i popatrzył mu prosto w oczy.

Vincent się uśmiechnął.

Jason lekko skrzywił usta w uśmiechu i w oczach zabłysł mu prześmiewczy ognik.

Vincent zaśmiał się w duchu. Chłopak nie miał pojęcia, że Vincent odgadł jego plany.

Panna Bruce wzięła swoją rękawiczkę razem z kartą.

- Pan Cecil Parsell! - przeczytała. - Jakże się cieszę! Chciałabym, żeby mnie pan nauczył powozić kariolką.

Cecil jęknął i wszyscy się roześmieli.

Vincent uśmiechnął się od niechcenia. Jason popełnił fatalny błąd, odwracając się tyłem, aby zadzwonić po pokojówkę. Gdyby Vincent był na jego miejscu, sam zaniósłby tacę do pokoju muzycznego. Głupi chłopiec. Aż dziwne.

W sercu Vincenta zaległo się nagłe podejrzenie. Z uwagą obserwował, jak ostatnie trzy damy biorą swe rękawiczki.

- Poproszę o bardzo specjalną i bardzo osobistą przysługę pana... - zaczęła z uśmiechem Beatrice, po czym spojrzała na kartę i zeszywniała.

Quimby zajrzał jej przez ramię.

- Ach, to ja jestem tym szczęśliwcem, lady Beatrice. Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć tę specjalną prośbę. Oczywiście, z prawdziwą przyjemnością zrobię dla pani wszystko, czego pani zażąda.

Vincent spoglądał z niedowierzaniem na Quimby'ego, a potem przeniósł wzrok na Jasona. Jason się roześmiał.

Pozostali goście także się roześmieli, rozbawieni nieprawdopodobnym związkiem Quimby'ego i pięknej Beatrice.

Vincent wpatrywał się w Jasona. A jednak smarkacz go przechytrył.

Cynthia Adams uśmiechnęła się do Peregrine'a Benedicta i spojrzała na kartę. Z wrażenia aż ją zatkało.

- Lord Helsbury!

Tym razem Jason nie posiadał się ze zdumienia.

Goście zaszeptali zdziwieni.

Jason spojrzął na Cynthię, a potem na Mary.

Peregrine zrobił krok naprzód.

- To nie może być! Jestem pewien, że...

Mary położyła mu rękę na ramieniu.

- To mnie przypadła pańska karta. Chciałabym, aby zatańczył pan ze mną na balu maskowym.

- O co poprosi pani hrabiego Helsbury? - spytała Mary Cynthię.

- Nie wiem - mruknęła zdenerwowana Cynthia Adams.

- Myślę, że powinna go pani poprosić o patent oficerski dla pana Benedicta.

Cynthia otworzyła szeroko oczy.

- Ach, nie! Nie mogę!

Spojrzała na Jasona i w jej oczach roz błysła nadzieja.

- Mogę?

- Oczywiście że tak - powiedziała Mary.

Jason, który obserwował Mary z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, odwrócił się do Cynthii i nisko uklonił.

- Z przyjemnością kupię patent oficerski dla pana Benedicta.

Goście z powrotem zasiedli na swoich miejscach, aby wysłuchać kolejnego utworu w wykonaniu lady Barbary. Muzyka wypełniła cały pokój i powoli zapadła cisza, lecz Vincent nie zwracał na nic uwagi.

Nie wierzył własnym oczom ani uszom. Ostateczny wynik różnił się od tego, co zaplanował. Ale różnił się także od planów Jasona.

Nagle Vincent się roześmiał.

- Remis - mruknął. - Z pewnością remis.

Wciąż się uśmiechając, zażył szczyptę tabaki. Panna Mary Goodwin mocno go zaskoczyła. A nieczęsto zdarzało mu się być zaskoczonym przez kobietę.

Prawie pożałował, że musi ją wyrzucić z Helsbury House.

Spojrzał teraz na nią, spodziewając się, iż ujrzy ją zadowoloną, uśmiechniętą i zwycięską, tymczasem Mary ze zmarszczonymi brwiami spoglądała na Beatrice, która stała obok Jasona i trzymała rękę na jego ramieniu. Posiał w jej duszy ziarenko wątpliwości. Jutro, przy lekkiej zachęcie, powinien sprawić, że ziarenko wykiełkuje.

13

Tej nocy Mary długo przewracała się na łóżku i jedno pytanie nie pozwalało jej zasnąć. Następnego dnia wstała z podpuchniętymi oczyma i ze ściskającym bólem w żołądku, nadal nie znalazłszy odpowiedzi na nurtujące ją pytanie. Starła się o nim nie myśleć, lecz nie bardzo jej się to udawało.

Co łączy Beatrice i Jasona?

Przypuszczalnie powinna była wcześniej się nad tym zastanowić. Beatrice była bardzo ładna i mieszkała pod jednym dachem z Jasonem od niemal roku. Z drugiej strony Mary wierzyła w miłość Jasona. Nie mógłby się przecież zakochać w kimś innym.

Przynajmniej nie ten Jason, którego znała.

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Był jasny, słoneczny dzień i Mary, wyglądając przez okno, zobaczyła, że służba szykuje śniadanie. Czterech służących walczyło ze szkarłatno-złotym baldachimem, który wyglądał tak, jakby za chwilę miał się zawalić. Pod innym baldachimem, bliżej kuchni, służba ustawiała na stołach przykryte naczynia. Na płaskim, trawiastym terenie blisko lasu Quimby dyrygował służącym, który wyznaczał miejsce do szermierczych pojedynków.

Mary odwróciła się od okna. To dziwne, że Jason wydawał tak wystawne przyjęcia. Z drugiej strony przez długi czas nie mogła się przyzwyczaić, że jest hrabią. Teraz, kiedy poznała wszystkich jego dostojnych przyjaciół, nie wydawało jej się to już takie dziwne.

Przycisnęła dłonie do skroni. Musi się jakoś oderwać od niepokojących myśli.

Ciotka Sally. Mary wzięła wachlarz. Wizyta może ją rozerwać...

W chwilę później Mary, w sukni ozdobionej liliowymi wypustkami i w nicianych mitenkach, weszła do pokoju ciotki Sally. Starsza pani wyglądała przez okno.

- Dzień dobry, moja droga - powiedziała ciotka Sally. - Czy jesteś gotowa na... Wielki Boże! Co się stało z twoją suknią?

- Odprułam większość wstążek i kokard - odparła Mary, spoglądając na огоłoconą suknię. - Czy wyglądam strasznie?

- Nie, wcale nie. W gruncie rzeczy uważam, że teraz wyglądasz dużo lepiej. Mądrze zrobiłaś, moja droga. Jestem pewna, że panom się spodobaś. Będziesz się świetnie bawić przy śniadaniu - dodała, wędrując wzrokiem do okna.

Słyszając w jej głosie tęskną nutę, Mary zapomniała o własnych zmartwieniach.

- Mogłaby ciocia zejść na śniadanie - powiedziała miękko.

- Ach, nie. Nie mogę. Śniadanie przypomniał Vincentowi o tym, że jest na mnie wściekły. Na ostatnim śniadaniu, w którym brałam udział, wpatrywał się we mnie ze złością.

- To bardzo brzydko z jego strony.

Mary, widząc strach w oczach ciotki Sally, poczuła przypływ gniewu. Jak on śmiał tak straszyć tę biedną kobietę? Szkoda, że już nie żyje, mogłaby mu powiedzieć, co o nim myśli.

- Chyba chciał być z Elizabeth sam na sam, ale ona nalegała, żebym jej tego dnia wszędzie towarzyszyła.

- To nie była cioci wina. Vincent nie miał żadnego powodu, żeby się na ciocię gniewać. żadnej!

Cynthia Adams podeszli, w drodze do bufetu, aby jeszcze raz podziękować Jasonowi i Mary za pomoc w karierze Peregrine'a. Państwo St. Paul przeszli obok spierając się o to, czy pani St. Paul oszukiwała w grze w wolanta. Dzierżawcy i mieszkańcy wioski czekali, aby być przedstawionymi Mary, a niejaki Blevins poprosił Jasona o chwilę rozmowy na osobności. Jason nie zgodził się i Blevins odszedł, wreszcie zostawiając Jasona i Mary samych.

Mary miała się właśnie odezwać, gdy krępy, czerwonolicy mężczyzna podbiegł do Jasona.

- Dzień dobry, wasza wysokość. Chciałem tylko podziękować za wspaniałe przyjęcie. I za zaproszenie dla mnie i dla mojej pani. Jesteśmy doprawdy zaszczytzeni i chciałem osobiście podziękować. Pańska łaskawość jest głęboka jak ocean. Pańska uprzejmość jest podniosła jak niebo. Pańska szczodroblewość jest rozległa jak pustynia...

Mary, oderwana od ponurych myśli, wpatrywała się w mężczyznę ze zdumieniem.

- Dziękuję, Trumball - mruknął Jason. - Gdzie pana żona? Jeszcze jej nie widziałem.

Trumball podciągnął spodnie na wystającym brzuchu.

- Niestety, jest trochę nieśmiała. Mówiłem jej, że należy osobiście podziękować, ale mnie nie posłuchała.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że przekaże jej pan wyrazy szacunku.

- Oczywiście, oczywiście! Będzie zaszczycona i podekscytowana. Zaraz do niej pójde.

Trumball odszedł, ukłoniwszy się uprzednio bardzo nisko.

- Łaskawość głęboka jak ocean? - powtórzyła Mary.

Jason przestąpił z nogi na nogę.

- Trumball czasami trochę przesadza.

- Trochę? Nie znam nikogo, czyja uprzejmość jest podniosła jak niebo.

Jason spojrzał na nią podejrzliwie.

- Mary...

- A szczodroblewość rozległa jak pustynia.

- Mary, ostrzegam cię...

- Nie miałam pojęcia, że tak bardzo jesteś podziwiany - stwierdziła Mary, starając się nie roześmiać.

- A, Jason, tu jesteś! - rozległ się znajomy głos.

Żartobliwy nastrój Mary znikł. Jak mogła, nawet na chwilę, zapomnieć o jego zachowaniu? Odwróciła się powoli do Beatrice, która podeszła i wzięła Jasona pod ramię.

- Kiedy jest twoja kolej na walkę w turnieju? - zagruchała Beatrice. - Umieram z niecierpliwości.

- Dopiero za jakieś pół godziny.

- Musisz mi wobec tego towarzyszyć do bufetu - powiedziała Beatrice z czarującym uśmiechem. - Chciałabym spróbować jajek siewek. Pan Quimby mi mówił, iż są przepyszne.

- Mary? - Jason zwrócił się do narzeczonej.

- Dziękuję, nie jestem głodna.

Prawdę mówiąc, Mary na widok rozszczebiotanej Beatrice zrobiło się niedobrze. Odwracając wzrok spostrzegła nadchodzącego Cecila.

- Dzień dobry - powiedział, wymachując raketką. - Czy jest ktoś chętny do gry w wolanta?

- Cecil! - zawołała z radością Mary, która tak się ucieszyła na jego widok, że niemal go nie uściskała. - Zagram z prawdziwą przyjemnością.

- Wolant to gra dla dzieci i prostaków - prychnęła Beatrice. - Poza tym Jason i ja idziemy właśnie coś zjeść.

- Ach, tak? Zatem Mary i ja zagramy sami. I bardzo dobrze, bo Jason jest lepszy ode mnie - oznajmił Cecil, uderzając raketką o dłoń.

Jason spojrział na Cecila zmrużonymi oczyma, strząsnął dłoń Beatrice i przysunął się bliżej Mary.

- Właściwie chętnie z wami zagram.

- Jeśli Jason będzie grał, to ja też - powiedziała Beatrice. - Zagramy parami?

- Doskonały pomysł - powiedział Jason, spoglądając na Mary.

- Najlepszy musi grać z najgorszym, żeby wszyscy mieli równe szansę - stwierdziła Beatrice, biorąc z kosza na brzegu pola raketkę. - Mary, jesteś taka wyrosnięta, na pewno grasz lepiej ode mnie. Skoro Jason jest najlepszy, musi grać ze mną.

Entuzjazm Mary gdzieś się ulotnił.

- To znaczy, że jesteś moją partnerką. Mary - powiedział Cecil, wręczając jej raketkę. - Jeszcze im pokażemy, gdzie raki zimują.

Dobry humor Cecila poprawił jej trochę nastrój. Mary oparła parasolkę o pień drzewa i zajęła miejsce na placu. Stała przed Cecilem, postanawiając dobrze się bawić.

Jason uderzył w lotkę, która przeleciała z prawej strony Mary. Mary nie udało się odbić lotki.

- Nie przejmuj się! - zawołał Cecil.

Mary podniosła lotkę i rzuciła do Jasona. Odbił ją bez trudu i skierował z powrotem do Mary, tym razem z jej lewej strony. Mary rzuciła się naprzód, ale znów nie trafiła.

Trzeci rzut był taki sam.

Ciężko oddychając Mary stanęła na środku pola i postanowiła, iż teraz już nie chybi.

Lotka przeleciała z jej prawej strony. Mary pobiegła i zamachnęła się z całej siły.

Lotka z powrotem poszybowała w powietrze.

- Trafiłam! - krzyknęła Mary.

Niestety, w tym samym czasie Jason mocnym uderzeniem skierował lotkę w lewo. Mary pobiegła w tę stronę i wpadła i Cecila.

Poczuła, że leci do tyłu, gdy w pasie objęło ją silne męskie ramię i pomogło odzyskać równowagę.

Mary, śmiejąc się, spojrzała na Cecila.

- Dziękuję! Uratował pan moją godność, choć straciłam punkt.

Cecil z uśmiechem puścił ją i elegancko się uklonił.

- Kiedy służę mojej damie, żadne poświęcenie nie jest zbyt duże.

- Czy gramy dalej? - spytał Jason ostrym głosem.

Mary, zaskoczona jego tonem, kiwnęła głową i zajęła pozycję. Jason zaserwował i lotka poleciała w jej stronę. Podbiegła, ale nie trafiła. Spocona i zasapana spojrzała na lotkę ze złością.

Beatrice - spokojna, chłodna i elegancka - rzuciła jej niechętne spojrzenie.

- Musisz stać w miejscu i czekać, aż twój partner uderzy w lotkę.

Mary, ściśnięta nowym gorsetem, postanowiła pójść za jej radą. Gdy nadleciała następna lotka, nie ruszyła się z miejsca. Cecil podbiegł i odbił do Jasona.

Jason odrzucił lotkę z nieoczekiwaną siłą.

Gra stawała się coraz intensywniejsza. Lotka przelatywała coraz szybciej, a obaj mężczyźni biegali tam i z powrotem, aby zarobić kolejne punkty. Wreszcie, po pełnej minucie gry, Cecil chybił.

- Widzisz - uśmiechnęła się Beatrice. - Tak jest znacznie łatwiej.

Zaczęła się kolejna potyczka. Lotka przelatywała jej nad głową i Mary tylko śledziła ją wzrokiem. Może tak było łatwiej, ale na pewno - znacznie nudniej.

- Mary - powiedziała cicho Beatrice w trakcie następnej zagrywki. - Mam nadzieję, iż nie sądzisz, że

między Jasonem a mną coś zaszło. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Beatrice powiedziała to tak szczerze i serdecznie, iż trudno było jej nie wierzyć.

- Dziękuję, Beatrice. Cieszę się, że mi to mówisz.

Beatrice przymknęła oczy i westchnęła z ulgą.

- Ja też się cieszę. Obawiałam się, że przy twoim pochodzeniu nie potrafisz zrozumieć, iż hrabiemu należą się pewne... przyjemności. I że twoim obowiązkiem, jako żony, jest przymknąć na nie oczy. Nie, żeby Jason... Och, plotę bez sensu. Wybacz mi, proszę.

Mary wlepiała w nią oczy, nie wierząc już, iż jej złośliwość jest przypadkowa. Powoli poczuła ogarniający ją gniew. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, cokolwiek, gdy zobaczyła, że lotka leci wprost na nią.

Odruchowo zasłoniła twarz rakiетką. Lotka odbiła się, poszybowała w powietrze i uderzyła Beatrice prosto w nos.

Beatrice z wrzaskiem zasłoniła twarz rękami.

Mary, przerażona, pospiesznie do niej podbiegła. Z nosa Beatrice leciała cienka strużka krwi.

- Bardzo przepraszam, lady Beatrice.

- Odejdź ode mnie, ty... ty prostaczko! - krzyknęła Beatrice.

Z jej zaczerwienionych oczu płynęły łzy.

Mary cofnęła się, omal nie wpadając na Cecila, który podszedł z tyłu.

- Uwważaj na to, co mówisz, Beatrice - poradził. - Ludzie słuchają.

Beatrice natychmiast przestała płakać i spojrzała najpierw na zebranych gości, a potem na Jasona. Jej dolna warga zdrząła.

- Przepraszam cię, Jasonie. Nie chciałam obrazić twojej narzeczonej. Straszliwy ból spowodowany złośliwym działaniem Mary sprawił, że nie wiedziałam, co mówię.

- Jestem pewien, że Mary nie chciała cię uderzyć - powiedział Jason z twarzą bez wyrazu.

Nim Beatrice zdążyła odpowiedzieć, pospieszyła ku nim lady Weldon.

- Moje drogie dziecko, co się stało?

- Mary uderzyła mnie w nos lotką - odparła Beatrice, przyciskając chusteczkę do nosa. - Ach, mam, będę oszpecona do końca życia.

- Nic, nic, dziecino, chodź ze mną. Jestem pewna, że gospodyni ma coś na zatamowanie krwi.

Lady Weldon objęła córkę ramieniem i obie skierowały się w stronę domu.

Mary dotknęła rękawa lady Weldon.

- Czy mogłabym w czymś pomóc? - spytała z wahaniem.

Lady Weldon zmroziła ją spojrzeniem.

- Dziękuję, już dość zrobiła pani zamieszania.

Mary bezradnie przyglądała się odchodzącym postaciom, czując się jak morderczyni. Nie przyszłoby jej do głowy, że niewinna, mała lotka może kogoś zranić.

- Niezłe trafienie - szepnął jej do ucha Cecil.

Mary, usiłując zachować powagę, otworzyła usta, żeby go zganić, kiedy zbliżył się do nich Jason.

- Cecilu - odezwał się zimnym tonem. - Chyba już pora na twój udział w turnieju.

Cecil uniósł brwi.

- Ach, tak, masz rację.

Odrzucając rakiетkę do kosza, zwrócił się do Mary:

- Dziękuję za doskonałe partnerstwo - powiedział i odszedł pogwizdując.

Mary rzuciła okiem na Jasona, trzymając kurczowo raketkę.

Wściekłym wzrokiem spoglądał za Cecilem.

- Czy musiałeś być aż tak niegrzeczny? - spytała ostro Mary.

- Owszem, musiałem. Bronię tego, co jest moje.

Mary otworzyła usta ze zdumienia.

- Niegrzeczne zachowanie nazywasz moją obroną?

Jason wzruszył ramionami.

- Czasami jest to skuteczne.

- Skuteczne? - powtórzyła z oburzeniem. - Przed czym właściwie mnie bronisz?

Jason rzucił jej sarkastyczne spojrzenie.

- Nie udawaj, iż nie zauważyłaś, że Cecil jest zanadto przyjacielski.

- Zanadto przyjacielski?

Nim Mary znalazła dalsze słowa, aby wyrazić swe burzenie, odezwał się nieśmiały głos.

- Wasza wysokość?

Mary obejrzała się i zobaczyła mężczyznę, stojącego nieopodal, z kapeluszem w ręce. Miał pociągłą, smutną twarz i przygarbione ramiona. Był to Blevins, który już wcześniej zagadywał Jasona.

- O co chodzi, Blevins? - zapytał niecierpliwie Jason.

Mężczyzna niezdarnie się uklonił.

- Bardzo przepraszam, jaśnie panie, ale chciałbym coś powiedzieć na osobności.

- Nie mamy o czym mówić.

Blevins wyprostował się nieco.

- Mam, proszę pana. Chcę pana prosić po raz ostatni o tę posesję w młynie. Przysięgam, że pana nie zawiodę.

- Przykro mi, Blevins, ale twoja historia mówi sama za siebie. - Jason wyciągnął zegarek i sprawdził godzinę. - Muszę iść. Już parę minut temu miałem się zgłosić do turnieju.

- Niech pan poczeka, jaśnie panie - prosił Blevins. - Zmieniłem się, przysięgam. Nie dotknę więcej diabelskiego napoju. Nie piję już od ponad pół roku, moja żona może zaświadczyć. Błagam pana. Mam dwie córki, co się z nimi stanie, jeśli nie znajdę pracy?

- Możesz poprosić o pracę dla nich moją ciotkę, lady Weldon. Oczekuję jednak, że wyprowadzisz się z mojego Majątku do końca przyszłego tygodnia.

Jason zamknął wieczko zegarka i schował go do kieszeni.

- Odebrały mi pan córki?

- Tak byłoby dla nich najlepiej - stwierdził bezlitośnie i Jason.

Blevins zbladł. Po twarzy przemknął mu wyraz rozpacz. Zgarbił się i odszedł powoli, powłócząc nogami.

Mary patrzyła za nim, a potem zwróciła wzrok na Jasona, nie wierząc temu, co przed chwilą usłyszała. Jak Jason mógł być taki zimny i pozbawiony serca w obliczu ludzkiej rozpacz?

W tym momencie podbiegł do nich mały chłopak.

- Wasza miłość! Wasza miłość! Wszyscy już czekają! Musi pan zaraz przyjść.

- Jasonie - powiedziała cicho Mary. - Chciałabym z tobą porozmawiać.

Jason skłonił się lekko.

- Będę do twojej dyspozycji po pojedynku - powiedział Jason, jeszcze raz się uklonił i odszedł.

Mary wzięła parasolkę i podążyła za nim, znacznie wolniej. Po paru minutach znalazła się na miejscu. Licznie zebrani goście zasłaniali walczących; słyszała jedynie głośny dźwięk stali uderzającej o stal. Widzowie śmiali się, robili zakłady i zagrzewali do walki uczestników.

Mary przecisnęła się przez zebrany tłum i doszła do liny, która ograniczała pole walczących mężczyzn. Zauważyła Quimby'ego, który obserwował pojedynek, obgryzając barani udziec. Co jakiś czas notował coś w małym, oprawnym w skórę notesie.

Mary spojrzała na ring. Jason i Cecil, w białych watowanych bluzach i ochronnych maskach, okrążali się wzajemnie, trzymając w dłoniach długie, niebezpiecznie wyglądające szpady. Jason pchnął. Cecil uskoczył, unikając klingi, lecz Jason natychmiast znów natarł. Cecil z trudem odparł uderzenie. Pchnięcie Jasona było tak mocne, że Cecil ledwo utrzymał szpadę w dłoni.

Teraz Jason mógł uderzyć, zdobyć punkt i zakończyć pojedynek, tymczasem zatoczył szpadą łuk w powietrzu, pozwalając Cecilowi na mocniejsze uchwycenie broni. Po chwili jednak bił z całej siły i choć Cecil dzielnie to odparował. Mary widziała, jak drżą mu mięśnie.

Pojedynek toczył się dalej. Jason bezlitośnie postępował naprzód, Cecil parował pchnięcia i cofał się przed atakiem. Nie był w stanie dorównać Jasonowi umiejętnościami ani elegancją szermierki.

Mary zaciskała w dłoni rączkę parasolki. Mimo ochronnych ubrań i specjalnych kulek na czubkach szpad, pojedynek wydawał się bardzo niebezpieczny. W pobliżu spostrzegła dwóch mężczyzn z zakrwawionymi bandażami na ramionach. Byli to najwyraźniej uczestnicy wcześniejszych pojedynków. Szpady migwały w powietrzu z przeraźliwą prędkością.

Nagle Cecil zaatakował Jasona. Stalowe ostrze załśniło przy jego piersi.

Tłum westchnął. Mary miała wrażenie, iż jej serce przestało bić i całe ciało zdętwiało.

Szybkim ruchem Jason postąpił krok naprzód, zablokował szpadę przeciwnika i sam zaatakował. Lekko uderzył szpadą w pierś Cecila i wycofał się.

- Poddam się! - zawołał Cecil, opuszczając szpadę i zdejmując maskę. - Przekonałeś mnie, żebym już nigdy więcej nie wyzywał cię na pojedynek - dodał ze śmiechem.

Jason zdjął maskę i spojrzał na Cecila bez uśmiechu.

- To bardzo mądrze z twojej strony, kuzynie - powiedział.

Cecil rzucił mu zdumione spojrzenie, ale Mary nie bekała na koniec rozmowy. Odwróciła się i przepchnęła przez tłum.

Pospiesznie przebiegła przez trawnik do pierwszych drzew. Zbiegła w dół ścieżką, która wchodziła w głąb lasu, i po chwili odgłosy przyjęcia wyraźnie przycichły. Zatrzymała się, z trudem łapiąc powietrze; nowy gorset wrzynał jej się w ciało. Wzrokiem poszukała jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby przy sięść.

Usłyszawszy szmer wody przecisnęła się przez krzaki i doszła do malej, trawiastej polanki przy płytkim strumyku. Usiadła obok wody i położyła sobie parasolkę na kolanach. Czuła się niedobrze. Najchętniej oparłaby głowę na kolanach, ale gorset nie pozwalał na to ani nawet na porządne, głębokie zaczerpnięcie powietrza. Mary marzyła o tym, aby go zdjąć. Gorset był szalenie niewygodny, brzydki i barbarzyński. Nienawidziła go bardziej niż czegokolwiek w życiu do tej pory...

Za plecami usłyszała jakiś hałas.

Przestraszona obejrzała się za siebie.

Przez krzaki przedzierał się Cecil. Doszedł do polanki i wyprostował się.

- Mary! Jak się pani czuje?

- Dziękuję, dobrze - odparła, z odwróconą głową.

Z boku usłyszała kroki. Kątem oka spostrzegła, że Cecil ukląkł tuż przy niej.

- Jesteś pani pewna? Widziałem, jak odeszła pani od ringu. Wyglądała pani na zdenerwowaną. Czy coś się stało?

Mary, nadal na niego nie patrząc, potrząsnęła głową.

- Mary, jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda? Proszę mi powiedzieć, co się stało.

- Nic się nie stało. Tylko... Jak mogliście się tak niebezpiecznie zabawiać? - wybuchnęła, spoglądając na Cecila ze złością. - Mógł pan zabić Jasona.

Cecil wpatrywał się w nią zdumiony.

- I tym się pani tak przejęła? - spytał z figlarnym błyskiem w oczach. - Zapewniam, że nie miałem szans. Znacznie prędzej Jason mógł zabić mnie.

Słowa Cecila nie przyniosły Mary wielkiej pociechy. Nadal źle się czuła, jak tylko wspomniała tę chwilę, kiedy myślała, że Jason zginie. Co by było, gdyby nie udało mu się w porę zasłonić? Czy kulka na czubku szpady zapobiegłaby nieszczęściu?

- Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni muszą się zajmować takimi głupimi sportami - mruknęła.

- Dlatego, żeby śliczne kobiety się o nas martwiły.

Mary uśmiechnęła się z przymusem.

- Zapewne uważa mnie pan za niemądrą?

Cecil usiadł na trawie, opierając się łokciem na kolanie, drugą nogę wyciągając przed siebie.

- Wcale nie.

- Głupio się czuję.

To był okropny dzień. Mary spojrzała na pająka wędrującego po trawie.

- Cecilu...

- Słucham?

Mary żdźbłem trawy poszturczała pająka, nie podnosząc głowy.

- Czy sądzi pan, że między Jasonem i Beatrice coś jest?

- Między Jasonem i Beatrice? - powtórzył z niedowierzaniem. - Ależ skąd!

Mary podniosła głowę.

- Nie sądzi pan, że ona się Jasonowi podoba?

- Nie - odparł wprost. - Beatrice mogłaby się spodobać wyłącznie jakiemuś idiocie. Jest to najbardziej podstępna, chciwa i chytra intrygantka, jaką znam.

- Nie jest chyba aż tak źle?

- To znaczy, że pani jej wcale nie zna - prychnął Cecil. - Zasłużyła sobie na rozbity nos, proszę mi wierzyć.

- Niech pan tak nie mówi. Bardzo mi przykro, że ją uderzyłam.

Cecil mruknął coś pod nosem.

Mary spojrzała na niego, ale tylko wzruszył ramionami.

- Dlaczego Jason miałby się interesować Beatrice? - zapytał Cecil.

- Wydaje mi się, że ją podziwia. Na wieczorku muzycznym powiedział, że powinnam brać z niej przykład, jeśli bym nie wiedziała, jak się zachować...

- Co powiedział?!

Cecil był tak osłupiały, że Mary uśmiechnęła się mimo woli.

- Jest pan dobrym przyjacielem, Cecilu. Cieszę się, że pan tu jest. Kiedyś myślałam, że Jason jest moim przyjacielem, ale teraz nie jestem już taka pewna. Coraz mniej go rozumiem. Bardzo się zmienił.

- Nie, nie zmienił się - odparł Cecil, nachylając się nad nią, jakby chciał jeszcze bardziej podkreślić wagę swych słów. - To tylko ten tytuł zmusza go do różnych dziwnych rzeczy. Jason nadal jest pani przyjacielem.

Jest mu pani potrzebna. Mary.

Mimo wszystko, co zdarzyło się tego dnia. Mary poczuła cień nadziei.

- Naprawdę tak pan uważa?

Cecil wziął jej rękę i kiwnął głową.

- Jest pani miła i wielkoduszna, piękna i współczująca. Każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, gdyby...

- Gdyby co? - spytał zimny głos za ich plecami.

14

Mary, zaskoczona, podniosła głowę.

- Ach, to ty, Jasonie.

Zdjęła rękę z dłoni Cecila i wstała.

- Tak, to ja. Czy nie przeszkadzam?

- Nie - powiedział Cecil, również wstając. - W gruncie rzeczy cieszę się, że tu jesteś. Wydaje mi się, że Mary chciałaby z tobą porozmawiać.

- Czyżby? - zapytał Jason zimnym, ironicznym tonem.

Mary spoglądała na niego, zdziwiona słowami Cecila, a jeszcze bardziej - reakcją Jasona. Z jego nieprzyjemnego tonu można by przypuszczać, że to ona zrobiła coś złego. Lekko uniosła brodę.

- To prawda.

- Świetnie. Ja też chcę z tobą porozmawiać.

- Mhm - chrząknął Cecil, strzepując źdźbła trawy ze spodni. - Widzę, że moja obecność jest zbyteczna. Wrócę zatem do gości.

Jason spoglądał za nim, a potem odwrócił się do Mary.

- I co?

Mary jeszcze wyżej podniosła brodę.

- I co?

Jason przysunął się bliżej.

- Nie wydaje mi się, żeby oddalanie się we dwójkę do lasu było właściwym zachowaniem.

- Twoim zdaniem byłoby lepiej, gdybyśmy trzymali się w objęciach u wejścia do jadalni?

Jason poczerwieniał, ale nie spuścił oczu.

- Lepsze są drzwi do jadalni niż pole do gry w wolanta, na oczach całego tłumu.

- Oszalałeś? Wpadłam na Cecila w trakcie gry. To było zupełnie niewinne.

- Niemniej jednak uważam, że powinnaś go na przyszłość unikać.

- Co mam robić? - spytała gniewnie Mary. - Siedzieć w moim pokoju i nigdy nie wychodzić, tak jak ciotka Sally?

- Nie bądź śmieszna.

- Nie jestem śmieszna. To ty jesteś śmieszny ze swoją nieuzasadnioną zazdrością o Cecila.

- Nie jestem zazdrosny o Cecila! - warknął Jason.

- Nie? To jak to nazwiesz?

Jason milczał przez chwilę, szukając odpowiednich słów.

- To jest rozsądna troska.

- Byłoby lepiej, gdybyś zatroszczył się o kogoś, kto tego bardziej potrzebuje. Na przykład o ciotkę Sally.
 - O ciotkę Sally? - powtórzył zaskoczony Jason. - Dlaczego miałbym się troszczyć o ciotkę Sally?
 - Ponieważ jest smutna, samotna i ignorowana przez rodzinę.
 - Ona lubi samotność.
 - Sam w to nie wierzysz.
 - Co mam zrobić? Zmusić ją do wyjścia z pokoju?
 - Nie, ale mógłbyś postarać się jej pomóc. Mógłbyś wytłumaczyć, że nie ma żadnego ducha. Może ci uwierzy.
 - Nie do mnie należy kwestionowanie tego, w co wierzy.
- Mary, widząc, że Jason niemal się uśmiechnął, spojrzała na niego ze złością.
- Jak możesz tak sobie żartować? Dlaczego nie chcesz jej pomóc?
 - W tej chwili nie jestem w stanie niczego zrobić...
 - Jesteś okropny! Jesteś zimnym, nieczułym człowiekiem!
 - Dlatego, że nie każę ciotce Sally wyjść z pokoju?
 - Dlatego i z powodu tego człowieka, Blevinsa.
 - Blevinsa? - wykrzyknął Jason, zaskoczony. - A co on ma z tym wszystkim wspólnego?
 - Był zrozpaczony. - Mary zadrżała, kiedy przypomniała sobie rozpacz Blevinsa. - Prosił cię tylko o pracę. Nie możesz spełnić jego prośby?
 - Nie rozumiesz, Mary. Ten człowiek jest pijakiem. Z powodu picia nie jest w stanie utrzymać się w żadnej pracy.
 - Nie możesz dać mu jeszcze jednej szansy? Musi być coś, co mógłby robić. Może pan Quimby by go przypilnował? Jestem pewna, że pastor potrafi go utrzymać w trzeźwości.
 - Myślę, że przeceniasz Quimby'ego - stwierdził sucho Jason.
- Mary niecierpliwie machnęła ręką.
- Blevins potrzebuje pracy. Co zrobi, jeśli mu jej nie dasz?
 - Nie mam pojęcia.
 - Jak możesz być tak obojętny?
 - Co chcesz, żebym zrobił. Mary? Jemu też mam kupić Patent oficerski? Muszę robić to, co uważam za słuszne.
 - Czy słuszne jest pozbawianie człowieka środków do życia?
 - Sam się ich pozbawił własnym postępowaniem. Jeśli mi udowodni, że potrafi być człowiekiem odpowiedzialnym, jeszcze się zastanowię.
 - Tego mu nie powiedziałaś. Kazałeś wynieść mu się z majątku do końca przyszłego tygodnia. I nic cię nie obchodzi ani on, ani jego rodzina.
 - Być może bardziej mnie obchodzi bezpieczeństwo innych pracowników i ich rodzin - powiedział gniewnie Jason.
 - Obchodzi cię tylko twoja własna osoba - stwierdziła ostro Mary. - Zaczynam myśleć, że jesteś taki sam, jak inni.
 - Jacy inni? - spytał Jason, unosząc brwi.
 - Książę i jego świta. Wyniosły, samolubny arystokrata. Z przesadną opinią o sobie.
- Mary odwróciła się od Jasona.

Złapał ją i odwrócił do siebie, spoglądając na nią wściekłym wzrokiem.

- Zabieraj...

Nim Mary skończyła, Jason nagle poleciał do przodu, przewracając ją do tyłu, po czym oboje wpadli do płytkiej wody strumyka.

Mary upadła z hukiem, aż ją zatkało.

Poleciała na nią woda.

Mocno zamknęła oczy, leżąc bez ruchu.

Jason odgarnął jej włosy z twarzy.

- Mary! O mój Boże, Mary! Nic ci nie jest?

Mary nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Ciasny gorset nie pozwalał jej głębiej odetchnąć.

- Mary! Słyszysz mnie. Mary? Otwórz oczy. Mary!

Mary udało się nabrać nieco więcej powietrza w płuca. Bolało ją biodro w miejscu, gdzie uciskał ją jakiś kamień, a zimna woda kapała jej na włosy.

Otworzyła oczy i spojrzała na pochylonego nad nią Jasona.

- Mary! Dzięki Bogu! Czy nic ci się nie stało?

Spoglądał na nią już nie z gniewem, lecz z troską. Policzek i nos miał ubrudzony błotem, włosy sklezione jakąś brudną substancją. Koszulę pokrywały brązowe plamy. Z brody spływała mu grudka błota.

Mary nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

- Z czego się śmiejesz?

- Prze... przepraszam. Teraz wcale nie wyglądasz na... na zarozumiałego arystokratę.

- Naprawdę?

Jason mocniej objął ją ramionami, ale Mary tak się śmiała, że tego nie zauważyła.

- Przepraszam - powtórzyła, wycierając łzy z oczu i starając się opanować. - Nie chciałam się z ciebie śmiać.

- Wcale mi to nie przeszkadza - powiedział Jason, dziwnie ochrypłym głosem.

Mary spojrzała na niego, już się nie śmiejąc.

- Lubię, gdy się śmiejesz - powiedział Jason, patrząc na jej usta.

Mary poczerwieniała. Zdała sobie sprawę, że ich ciała są bardzo blisko siebie. Spróbowała wstać, ale jej się nie udało.

- Mary...

Dotknął ustami jej ust, przyciskając ją do błotnistego brzegu strumyka. Zimna woda nadal opryskiwała jej gorące nagie ciało.

Chciała zaprotestować, ale kiedy rozchyliła wargi, Jason wsunął jej do środka język i zaczął pieścić wnętrze ust. Mary poczuła, iż porażają ją nieznane dotąd wrażenia.

Jason wziął ją za brodę, przechylając jej twarz tak, aby mógł jeszcze pogłębić swój pocałunek. Mary wbiła palce w błotnisty brzeg strumyka.

Poczuła, że Jason rozpiną kilka górnych guzików sukni, odsłaniając jej szyję. Nie przestając całować położył dwa zabłocone palce na jej odkrytych ramionach. Powolne, zmysłowe ruchy palców powodowały dziwną reakcję jej skóry. Wydała z siebie jęk protestu, który był jednocześnie jękiem przyjemności...

Jason znów przesunął palce na guziki sukni. Wyciągnęła rękę i mocno chwyciła jego dłoń.

- Mary - szepnęła jej do ucha - pozwól mi rozpiąć suknię.

- Nie, nie wolno ci - odparła. Głos, nawet w jej własnych uszach, brzmiał inaczej niż zwykle. - Nie możesz,

Jasonie.

- Muszę, Mary. Muszę.

Jason pocałował kącik jej ust, brodę i szyję.

Skóra piekła ją w każdym miejscu, którego dotknęły jego wargi. W uszach słyszała dziwny szum. Nie mogła oddychać ani myśleć. Jej ciało przenikała jakaś słabość.

- Proszę cię, Mary. - Jason znów całował jej usta, powoli, uwodzicielsko, perswazyjnie. - Pozwól mi dotknąć twoich piersi.

Zacisnęła dłoń na jego ręce. Wiedziała, że powinna zaprotestować. Jednakże nie pamiętała dlaczego. Serce jej waliło i drżała cała na myśl o dotyku jego palców na piersiach. Chciała mu na to pozwolić. Chciała, żeby robił, co chce.

Rozluźniła dłoń...

BUM!

Palce Jasona na guzikach sukni znieruchomiały, gdy w powietrzu rozległ się huk pioruna.

I kolejny. Niebo gwałtownie pociemniało i zimny wiatr zatrzęsł gałęziami drzew.

Jason podniósł głowę. Rozległ się trzeci grzmot. Jason spojrzał w niebo, gdzie kotłowały się czarne chmury.

Mocno chwycił Mary za ramiona.

Moment później spadła na nich ulewa.

Jason, z przekleństwem na ustach, zerwał się na nogi, podnosząc jednocześnie Mary.

Stała przez chwilę, kołysząc się i patrząc na niego przez strugi deszczu. Potem dotknęła ręką szyi.

Co się z nią działo? W jednej chwili stała na brzegu strumyka, wściekła, klóćąc się z Jasonem. W następnej - leżała w wodzie, sparaliżowana namiętnością, całując go i pozwalając, żeby smarował ją błotem po całym ciele.

Błoto!

Dotknęła dłońmi rozpalonych policzków i wyrwała się z objęć Jasona.

- Mary - powiedział, wyciągając do niej ręce.

Nie słuchała. Odwróciła się na pięcie i ruszyła przez krzaki, jakby goniła ją sfora psów.

Jason, w ulewnym deszczu, spoglądał za nią, a potem przeniósł wzrok w niebo.

Jeszcze przed paroma minutami na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Teraz widniała tam gruba warstwa czarnych chmur. Jason potrząsnął pięścią w stronę nieba.

- Niech cię diabli wezmą, Vincencie! - zawołał.

BUM! - odpowiedziało niebo.

Jason znów zaklął i ruszył za Mary.

Kilka minut później był już w domu. Przeciskając się wiedzy grupkami zmokniętych gości wszedł do jadalni zatrzasnął za sobą drzwi. Zatrzymał się przed portretem Vincenta i spojrzał na niego z wściekłością.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, stryju! - warknął.

Namalowane oczy spojrzały na niego szyderczo.

Mijały minuty. Woda kapała z ubrania Jasona, tworząc na podłodze kałuże, ale portret nie dawał znaków życia. Jason nadal czekał.

Z tyłu otworzyły się drzwi. Jason obrócił się i zobaczył przemokniętego Cecila.

- A, tu jesteś, Jasonie. Kilka minut temu widziałem, jak Mary pędziła po schodach na górę, bardzo

zdenerwowana. Czy coś się stało? Czy mogę w czymś pomóc?

- Owszem - odparł lodowatym tonem Jason. - Możesz się zająć własnymi sprawami i zostawić Mary mnie.

- Słucham? - powiedział sztywno Cecil.

- Słyszałeś.

Cecil roześmiał się z niedowierzaniem.

- Ach, oczywiście, słyszałem, to co powiedziałaś. Po prostu nie wierzę własnym uszom. Nie bądź głupcem, Jasonie.

Jason obrzucił go zimnym spojrzeniem.

- Nie chciałbym być niegrzeczny, ale dla wszystkich zainteresowanych byłoby lepiej, gdybyś skrócił swą wizytę i wrócił do domu.

- Wyjadę po twoim ślubie. Do tego czasu nigdzie się stąd nie ruszę. Mary może potrzebować jakiejś przyjaznej duszy. Kogoś, kto nie będzie się starał zmienić jej w osobę, jaką nie jest i nie będzie.

- Opowiadasz bzdury. Nie usiłuję jej zmieniać.

- Naprawdę? Jesteś głupcem, kuzynie. Ślepym głupcem, zbyt ograniczonym, żeby zdać sobie sprawę z tego, co posiadasz.

Cecil wyszedł z jadalni, zatrząskując za sobą drzwi.

Jason nie próbował go zatrzymać. Wciąż w złym humorze rzucił okiem na portret.

Szyderczy wyraz oczu Vincenta jeszcze się pogłębił.

Jason podszedł bliżej z zaciśniętymi pięściami.

- Nie myśl, że skryjesz się przede mną na zawsze; jeszcze z tobą porozmawiam - powiedział niskim, groźnym głosem i wyszedł z pokoju.

Namalowane oczy, pozbawione szyderczego wyrazu, obserwowały jego wyjście.

Marszcząc brwi Vincent zszedł z obrazu i oparł się o ścianę, bardziej zdenerwowany gniewem Jasona, niż chciałby to przed sobą przyznać.

Być może, powinien się tego spodziewać, w końcu gniew Jasona był tylko kolejnym niepowodzeniem w dniu, w którym wszystkie jego plany spaliły na panewce. Wszystko zaczęło się nie najgorzej: wepchnięcie Jasona w ramiona Beatrice akurat w chwili, gdy Mary schodziła po schodach, było mistrzowskim posunięciem, ale później nic się już nie układało.

Vincent zabębnił palcami w tabakierkę. Mary nie zareagowała tak, jak oczekiwał. Owszem, złościła się, lecz z powodu śmiesznych, nieważnych spraw. Co gorsza wyładowała w końcu w takim miejscu, które najmniej mu odpowiadało. Na tej samej polance nad strumykiem, gdzie udało mu się przed dwudziestu pięciu laty zaprowadzić Elizabeth, odciągając ją od tłumu gości przybyłych na śniadanie.

Vincent zażył szczyptę tabaki i głęboko odetchnął.

Był wówczas niemal nieprzytomny z powściąganej pożądliwości. Elizabeth, po wieczorku muzycznym, kiedy dała mu zakosztować niewiarygodnych przyjemności, zmieniła się, bez żadnej przyczyny, w lodowatą dziewczę, która przez cały czas go unikała. Vincent na zmianę błagał ją i żądał wyjaśnień, ale ona tylko się śmiała, zimnym, sztucznym śmiechem i odchodziła.

Gdy nadszedł dzień uroczystego śniadania Vincent był całkowicie zdesperowany i - jednocześnie - pełen nadziei. Planował, że doprowadzi do intymnego spotkania w jakimś odosobnionym miejscu i tam odkryje, dlaczego stała się dla niego taka zimna.

Tylko nie całkiem mu się powiodło.

Gdy wreszcie zostali sami, nie mógł się powstrzymać od całowania Elizabeth. A kiedy już ją pocałował, nie mógł się powstrzymać od dotykania jej, pieszczenia, kochania się z nią...

Mimo początkowego oporu Elizabeth wkrótce odpowiedziała mu z prawdziwą namiętnością. Większą, niż mógłby oczekiwać. Później, myśląc, że wszystko między nimi jest w porządku, Vincent poinformował

Elizabeth, iż dostanie specjalne pozwolenie i poślubi ją następnego dnia.

Elizabeth odmówiła. Stała się jeszcze zimniejsza niż przedtem i nie odezwała się do niego przez cały miesiąc.

Zamknął tabakierkę i ze złością spojrzął na wazon z różami, który ktoś postawił na stole. Kwiaty natychmiast zwiędły. Nienawidził róż. I nienawidził tych cholernych, smutnych wspomnień, które mu przypominały, jak bardzo był kiedyś słaby i niezaradny.

Dzięki wspomnieniom zdał sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy.

Pomylił się co do Mary. Nie była chciwą, samolubną kobietą, za jaką ją uważał. Wstawiła się za Sally i za Blevinsem. A potem, kiedy wepchnął ją do strumyka, roześmiała się. Inna na jej miejscu byłaby po prostu wściekła. Kiedy natomiast Jason ją całował, prosiła go, żeby przestał.

Mary była zupełnie inna niż Elizabeth. Nie miał żadnego doświadczenia w postępowaniu z kobietami takimi jak ona, znacznie niebezpieczniejszy mi, niż mógł się tego spodziewać.

Mary była dobrą kobietą.

Tym bardziej trzeba opracować jakiś plan działania, który zmusiłby ją do odejścia.

Nie będzie to łatwe. Tyle już wiedział. O wiele trudniej pozbyć się dobrej kobiety niż samolubnej, próżnej czy chciwej.

Niełatwe, ale przecież nie niemożliwe. Zwłaszcza jeśli wykorzysta przeciwko Mary jej własną dobroć.

Z nieprzyjemnym uśmiechem przystanął przy delikatnym porcelanowym imbryczku, stojącym na kredensie.

Jeśli nasza pierwsza naiwna Mary Goodwin dowie się, jacy naprawdę są mężczyźni, jaki jest Jason, przeżyje szok.

15

Następnego dnia była niedziela, z czego Jason był bardzo zadowolony. Cieszył się z pójścia do kościoła. Potrzebował choćby jednego dnia spokoju, zwłaszcza po dotychczasowych wydarzeniach.

Przyjęcie śniadaniowe okazało się prawdziwą kłęską. Dzień zaczął się źle już w chwili, gdy Vincent pchnął go w objęcia Beatrice. Na szczęście Jason zapanował nad sobą i zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Trudniej przyszło mu zapanować nad sobą, kiedy Cecil objął Mary. Miał ochotę zbić go na kwaśne jabłko. Albo udusić.

Teraz, skręcając w korytarz, gdzie znajdował się błękitny apartament, zobaczył, że drzwi od pokoju ciotki Sally są otwarte. Kiedy podszedł bliżej, usłyszał głosy.

- Ciociu Sally, jak mam cię przekonać, że ten głupi duch nie istnieje?

- Ciii!

Jason, który był tuż przy drzwiach, spostrzegł, że ciotka Sally rozejrzała się nerwowo.

- Jeszcze cię usłyszy!

Jason zmarszczył brwi. Przypomniały mu się słowa Mary. Dlaczego nie chcesz jej pomóc?

Stanowczo odrzucił zarzut. Nic więcej nie mógł zrobić. Mary nie zdawała sobie sprawy ze wszystkich aspektów problemu. Powinna bardziej mu ufać.

- Przecież duch nie może zrobić nic złego w kościele w dodatku w niedzielę - przekonywała Mary ciotkę Sally. - Nie odważyłby się.

Jason wszedł do pokoju. Mary siedziała na krześle plecami do drzwi. Kiedy ją zobaczył, serce zabiło mu szybciej.

- Vincent jest zdolny do wszystkiego - stwierdziła ponuro ciotka Sally. Podniosła głowę i spostrzegła Jasona.

- Dzień dobry, Jasonie.

Plecy Mary wyraźnie zeszywniały.

- Dzień dobry, ciociu Sally. Dzień dobry. Mary. Czy jesteś gotowa?

Mary wstała.

- Tak, naturalnie. Usiłowałam tylko przekonać ciocię Sally, żeby z nami pojechała.

Jason spojrzął na ciotkę.

- Z przyjemnością ciocię zabierzemy.

Ciotka Sally uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Wolę zostać tutaj. Pozdrówcie kuzyna Horace'a.

Jason wyszedł razem z Mary na korytarz, po czym się zatrzymał.

- Mary... - zaczął i chrząknął. - Mary, przykro mi z powodu wczorajszego dnia.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Dziękuję, Jasonie.

- To się więcej nie powtórzy.

- Cieszę się, że to słyszę. Przyjmuję twoje przeprosiny. Idziemy?

Jason przyglądał się jej przez chwilę, żałując, że nie wie, o czym Mary myśli. Wyglądała tego ranka bardzo blado, jakby całą noc nie spała. On też spał nie najlepiej. Przewracał się przez całą noc, z bólem w łądźwiach, wspominając jej pocałunek, dotyk...

Tłumiąc jęk podał Mary ramię.

Jakiś czas później zasiedli wszyscy w powozie: Jason, Mary, lady Weldon i Beatrice. Na szczęście lady Weldon i Beatrice były bardzo ciche i spokojne. Poprzedniego dnia Jason przez całe popołudnie musiał wysłuchiwać lamentów Beatrice na temat zranionego nosa i wymówek ciotki Weldon na temat zrujnowanego przyjęcia śniadaniowego oraz jej obaw co do tego, czy deszcz nie przeszkodzi w balu maskowym i w weselu.

Jej obawy były chyba przedwczesne, dzień bowiem był ciepły, tak ciepły, że Jason czuł, jak mu się koszula przykleja do ciała pod surdudem. Spojrzął przez okno na Cecila, który wcześniej, patrząc zimno na Jasona, oznajmił, iż woli jechać konno. Jason żałował trochę wczorajszej kłótni, nie na tyle jednak, aby przeprosić Cecila. Nie podobała mu się rosnąca zażyłość między Cecilem i Mary. Lepiej było ją przeciąć w zarodku. Po ślubie nie będzie się martwił przyjaźnią między żoną i kuzynem, ale do tej pory lepiej, aby Cecil trzymał się z daleka.

Jason spojrzął na odwrócony profil narzeczonej. Miała na sobie swoją starą, niebieską suknię. Widocznie biała jeszcze nie wyszła. Niebieska suknia właściwie całkiem mu się podobała, lubił Mary w niebieskim kolorze. Prostota jej stroju sprawiała, że bufki, falbanki i kokardki Beatrice wyglądały dość idiotycznie.

Ciekaw był, o czym myśli Mary. Przyjęła wprawdzie jego przeprosiny, jednakże Jason wiedział, iż stosunki między nimi zostały zachwiane. Wczoraj była zła, bardziej niż kiedykolwiek do tej pory podczas ich znajomości. A wszystko z powodu tego, jak potraktował ciotkę Sally, Cecila i Blevinsa.

Nie rozumiała po prostu pewnych spraw. Nie miała pojęcia, co to znaczy być hrabią. Czasami musiał podejmować niepopularne decyzje; decyzje, które z pozoru mogły się wydawać zimne i okrutne, ale miał swoje powody, a Mary ich nie znała. Nie wiedziała, że pijaństwo Blevinsa mogło stanowić zagrożenie dla wszystkich pracowników młyna, że jego kiepska praca budziła niechęć innych robotników. Jason musiał myśleć o dobru wszystkich, a nie tylko pojedynczych ludzi.

Mógłby jej to wyjaśnić i Mary na pewno by zrozumiała, gdyby tylko Vincent przestał się wreszcie wtrącać i mieszać. I gdyby on sam potrafił nad sobą zapanować. Wiedział, że może to zrobić, o ile nie będzie zanadto przyglądał się Mary. I nie będzie jej dotykał. I nie będzie czuł jej słodkiego zapachu...

Mary poruszyła się, jej noga otarła się o nogę Jasona. Krew natychmiast zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Przelknął ślinę i wyrzwał przez okno. To wszystko stawało się coraz niebezpieczniejsze. Jeśli Vincent odkryje jego słabość, na pewno znajdzie sposób, aby to wykorzystać.

Musi być ostrożniejszy. Udział w nabożeństwie z pewnością mu pomoże. Czyż jest lepsza droga, aby skierować swe myśli ku bardziej wzniosłym sprawom niż wysłuchanie słowa bożego?

Powóz zajechał przed kościół i Jason spędził następne kilkanaście minut witając się ze znajomymi i rozmawiając o wczorajszej nagłej ulewie. Mary stała cicho u jego boku. Zaprowadził ją do pierwszej ławki i posadził przy sobie. Obok zasiedli lady Weldon, Beatrice i Cecil. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Quimby stanął przy ołtarzu. Odczytał kilka ogłoszeń, między innymi ostatnie zapowiedzi Mary i Jasona. Gdy skończył, odchrząknął, szykując się do rozpoczęcia nabożeństwa.

- Strzeżmy się szatana pożądliwości - zaintonował.

Jason natychmiast odczuł fizycznie bliską obecność Mary.

- To pułapka dla nieroztropnych - ostrzegł Quimby.

Jason przypomniał sobie Mary w pułapce jego ramion na brzegu strumyka. Jej ciało było miękkie...

- Strzeżcie się grzesznych, pożądliwych pocałunków.

Chciałby ją całować przez cały czas. Jej usta były niewiarygodnie słodkie, a jej zapach doprowadzał go do szaleństwa...

- Strzeżcie się zgubnego wpływu pożądania.

Guziki sukni przeszkadzały, kiedy jednak je rozpiął, z rozkoszą wysłuchiwał odgłosów pożądania, jakie wydawała z siebie Mary, kiedy głaskał jej miękką, gładką skórę...

- Pożądanie bowiem zgubi najbardziej cnotliwych!

A tu jeszcze trzy dni do ślubu. Trzy dni wydawały się

Jasonowi wiecznością. Nie może czekać tak długo. Nie chce czekać tak długo.

- Pożądanie sprowadzi czystych i świętych z drogi cnoty.

Chciałby scałować z jej czoła te drobne zmarszczki, które się czasem pojawiały, gdy na niego patrzyła. Wiedział, że pewne rzeczy, które się wydarzyły, martwią Mary, ale wiedział, iż będzie szczęśliwa, kiedy się wreszcie pobiorą i wyruszą do Paryża, gdzie nie będzie Vincenta i jego głupich żartów.

W kościele zapachniało jesiennymi liśćmi.

Jason się zaniepokoił. Rozejrzał się wokół, szukając źródła zapachu. Wszystko wydawało się takie samo jak zwykle. Panie siedziały na swych miejscach, wachlując się i rozglądając dookoła. Mężczyźni kręcili się i ziewali. Kilku już drzemało. Dzieci nudziły się i bawiły książeczkami do nabożeństwa.

- Pożądanie nie da wam niczego! Niczego!

Jason, uspokojony, rozsiadł się wygodniej w ławce. Musiało mu się coś przywidzieć.

- Niczego oprócz niewiarygodnej przyjemności.

Jason gwałtownie się obejrzał. W kościele zapanowała cisza. Wierni z osłupieniem wpatrywali się w pastora. Quimby zakaszłał.

- To znaczy niczego oprócz okropnego cierpienia.

Przez kościół przebiegło głośnie westchnienie i wachlarze znów poszły w ruch.

- Oczywiście - mówił dalej Quimby - nie można zaprzeczyć, że istnieje także przyjemność.

W kościele rozległ się oburzony szmer. Jason kurczowo złapał poręcz ławki.

Quimby był bardzo zakłopotany.

- Nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć, że grzech może być uwodzicielski. Mówię to z własnego doświadczenia.

Beatrice zachichotała. W ślad za nią poszli inni, ale śmiechy i szepty szybko umilkły.

- Oczywiście, niczego takiego nie pochwalam - powiedział pospiesznie Quimby. - Wszystko to się wydarzyło, nim zostałem tu pastorem. Przedtem mieszkałem w Londynie. Można się tam nieźle zabawić, prawda, Jasonie? Szalone przyjęcia, hazard i, oczywiście. Dom Niebiańskich Rozkoszy pani Fleur.

Jason zacisnął wargi. Rzucił okiem na Mary i zobaczył, że siedzi bardzo sztywno, z pobladłą twarzą.

Pastor jeszcze raz usiłował się poprawić.

- Jason, to znaczy jego hrabiowska mość, nigdy nie uczestniczył w takich rozrywkach. Nigdy świadomie nie popełniłby grzechu. Jestem pewien, że w tamtych czasach nie uważał picia, gry w karty i związków z rozpustnymi kobietami za coś nagannego.

Mary głośno wciągnęła powietrze. Jason wstał i powiedział głośno:

- Obawiam się, że nie czuje się pan najlepiej.

Quimby, wpatrując się nieobecny wzrokiem w jedno z okien, chyba go nie słyszał.

- Gdyby Jason nie nalegał, abym przyjął tu posadę pastora, nadal byłbym w Londynie, ciesząc się wdziękami pańien z uroczego zakładu pani Fleur. Teraz jedyną moją przyjemnością jest jedzenie...

Jason podszedł do pastora i wziął go za ramię.

- Musi się pan natychmiast położyć.

Quimby zamrugał oczyma, rozglądając się wokół z zakłopotaniem. Na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

- Wielki Boże! Co ja powiedziałem?...

- Doktorze Scott, czy może pan pójść z nami do zakrystii? - spytał Jason, spoglądając na szczupłego, ciemnowłosego mężczyznę, siedzącego za Mary.

Doktor kiwnął głową i wstał.

Quimby, blady i drżący, otarł czoło.

- Tak, tak, ma pan rację. Nie czuję się najlepiej. Zupełnie niedobrze. Nie wiem, co mi się stało. Mówiłem tylko to, co myślałem...

Jason odciągnął go od ołtarza i wyprowadził przez frontowe drzwi, nim Quimby zdążył coś jeszcze powiedzieć. Dołączył do nich doktor, a po chwili Cecil.

W kościele panowała cisza.

- Coś takiego! - powiedziała wreszcie lady Weldon przyciszonym głosem.

- Niesamowite!

- Nigdy czegoś podobnego nie słyszałam - rozległy się głosy. Beatrice ze złośliwym uśmiechem zwróciła się do Mary.

- Nie bierz sobie do serca tego, co mówi pan Quimby. Jestem pewna, że się myli. Jason z pewnością nie robił tych okropnych rzeczy.

Mary, unikając jej wzroku, milczała.

Kilka minut później Jason wrócił do kościoła. Podszedł do ołtarza i stanął przodem do wiernych. Wszyscy wpatrywali się w niego wyczekująco.

- Pan Quimby ucierpiał trochę z powodu upału - oznajmił Jason. - Doktor mówi, że wkrótce wyzdrowieje, ale uważa, iż pastor powinien odpocząć. Dlatego przerywamy nabożeństwo.

Ludzie wstali i kościół wypełnił się wrzawą.

- Gdzie jest Cecil? - spytała lady Weldon.

- Zaofiarował się, że zostanie z Quimbym - odparł krótko Jason. - Doktor uważa, że pastor na razie nie powinien się nigdzie ruszać. Wracajmy do domu.

Nie odzywając się do nikogo, Jason wyprowadził panie z kościoła między podekscytowanymi ludźmi i wsadził je do powozu. Miał już sam wsiadać, kiedy rozległ się jakiś głos:

- Wasza miłość! Wasza miłość!

Jason odwrócił się i zobaczył Trumballa, który dysząc biegł do powozu.

- Cieszę się, że pana tu zastałem - wysapał, podciągając szelki na wydatnym brzuchu. - Przepraszam, że pana zatrzymuję, ale chciałbym pana o coś zapytać.

Trumball rozejrzał się wokół, po czym powiedział halnym szeptem, który można było usłyszeć z daleka.

- Czy mógłby mi pan podać adres zakładu pani Fleur?

- Nie znam go, proszę pana - odparł Jason lodowatym tonem.

Ignorując sceptyczny wyraz twarzy Trumballa, odwrócił się i rozkazał woźnicy:

- Zawieź nas do domu. Szybko!

Ledwo zdążył usiąść, gdy powóz ruszył.

Jason spojrzął na Mary. Siedziała ze spuszczonej oczyma, z rękami złożonymi na podolku. Jason w duchu przeklął Vincenta za jego podłe sztuczki.

- Jestem zaszokowana - powiedziała lady Weldon, zaciskając dłonie na purpurowym szalu na piersiach. - Całkowicie zaszokowana. Nie wierzyłam własnym uszom. Do głowy by mi nie przyszło, że Quimby, osoba duchowna, może być tak wulgarny, tak obrzydliwy, tak odrażający. Chociaż - dodała po chwili - właściwie nie powinnam być zaskoczona. Nic, co jest w stanie zrobić człowiek, nie może mnie zdziwić. To wszystko są zwierzęta. Ty także, Jasonie.

- Słucham? - powiedział sztywno Jason.

- Słuchaj, słuchaj. Zarządzanie Helsbury House nie przyszło mi łatwo, zwłaszcza podporządkowywanie się twoim wymaganiom. Timothy i Roger też byli straszni. Wszyscy jesteście gburami. To u was rodzinne.

- Dobrze się czujesz, mamó? - spytała Beatrice, z oczyma okrągłymi ze zdziwienia.

- Czuję się bardzo dobrze. Odkąd umarł twój ojciec czuję się znakomicie. - Lady Weldon spojrzała na Jasona z wściekłością. - Był takim samym brutalem, jak wszyscy mężczyźni. Dzień, w którym umarł, był najpiękniejszym dniem mojego życia.

Jason zmrużył oczy i rozejrzał się ze złością po powozie bezskutecznie. Słowa wypływały z ust lady Weldon nie kontrolowanym, obelżywym strumieniem.

- Przychodził do mojego łóżka co tydzień, nawet po urodzinach Beatrice. Usiłowałam skierować jego myśli we właściwszą stronę, czytając mu na głos religijne traktaty, ale kiedy kończyłam czytać, on nadal chciał się zabawić seksualnie. Jednego razu pomyślałam, że czyni postępy, ponieważ wpatrywał się w przestrzeń z intensywnym wyrazem twarzy, okazało się jednak, że zasnął. Potrafił spać z otwartymi oczami. Było to dość niesamowite. - Lady Weldon zadrżała. - Odczułam wielką ulgę, kiedy znalazł sobie kochankę, ale nawet wtedy udało mu się mnie poniżyć. Wykryłam, że dał jej naszyjnik z brylantów droższy od tego, który dał mnie! Oczywiście, zachowałam się jak dama. Nigdy nie powiedziałam, że wiem o tym, nawet gdy spotkałam tę kobietę na przyjęciu, a ona miała czelność ostentacyjnie dotykać swego naszyjnika.

- Ciociu Weldon - powiedział Jason. - Może lepiej byłoby nie omawiać tak intymnych spraw w obecności panien...

- Dlaczego nie? Czyż nie powinny dowiedzieć się prawdy, zanim będzie za późno? Nie powinny być tak naiwne, jak ja byłam w ich wieku. Wyszłam za męża, oczekując, że będę traktowana z pewną dozą szacunku. Tymczasem byłam stale obrażana. Powetowałam to sobie kupując jeszcze większy brylant.

- Ciociu Weldon - powiedział Jason, żalując, że nie może udusić Vincenta. - Jest ciocia jakaś nieswoja. Jestem pewien, że niebawem pożałuje ciocia swych słów.

- Żałuję jedynie tego, że w ogóle wyszłam za męża. Musiałam znosić jego grubiańskie zachowanie w łóżku, Jego prostacką naturę. Ciekawa jestem, jak inne kobiety to wytrzymują. Gdybym nie była tak cierpliwa, na pewno długo bym tego nie zniosła. Ale wytrzymałam wszystko. Poświęciłam się na ołtarzu obowiązków małżeńskich...

- Ciociu, jeśli ciocia natychmiast nie przestanie, będę musiał zakneblować ciocię moim halsztukiem - powiedział Jason. - Jestem pewien, że żadna z obecnych tu osób nie życzy sobie być świadkiem takiego wydarzenia.

Lady Weldon spojrzała na niego z góry.

- Nie będę się słuchała żadnego mężczyzny. Jeśli się odważysz podnieść na mnie rękę, ja... - Lady Weldon urwała nagle, a na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz. - Ja... bardzo cię przepraszam, Jasonie. Nie wiem, co mi się stało.

Jason odetchnął z ulgą.

- Nic nie szkodzi, ciociu. To na pewno przez ten upał. Tak dziwnie działa na ludzi.

- Tak... Chyba tak.

Zmieszana lady Weldon zamilkła.

Jason spojrzął na Mary, która nadal patrzyła w podłogę.

Niech cię diabli, Vincencie, pomyślał Jason. Czy opowieść ciotki Weldon o życiu małżeńskim obrzydziła małżeństwo Mary? Prawdę mówiąc, jej opowieść mogłaby zniechęcić każdego. Sam nie był pewien, czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć o poświęceniu się lady Weldon na ołtarzu małżeńskiego obowiązku. Tym razem posunął się za daleko, stryju...

Powóz zatrzymał się przed domem. Lady Weldon, wsparta na ramieniu Beatrice, pospiesznie udała się na górę.

Jason spodziewał się, że Mary pójdzie ich śladem, ale ona przystanęła pośrodku holu, wpatrując się w niego wielkimi oczami.

Odwrócił wzrok. Wiedział, że Mary czeka na wyjaśnienie, na jakieś zapewnienie, ale nie potrafił w tej chwili niczego powiedzieć. Najpierw musiał się zająć czymś innym.

- Na pewno jesteś zmęczona. Mary. Idź na górę i odpocznij przed obiadem. Porozmawiamy później.

Cienie w jej oczach pogłębiły się, napełniając go poczuciem winy, ale zdusił je w sobie. Nie miał powodu czuć się winny; znał kogoś, kto rzeczywiście zawinił.

Poczekał, aż Mary pójdzie na górę i wszedł do jadalni.

Przy wygaszonym kominku stała rozświetlona postać.

Jason zacisnął pięści.

Co masz na swoje usprawiedliwienie, stryju?

16

Vincent zażył szczyptę tabaki.

- Mam wiele zdolności, o których, być może, nie wiesz. Jedną z nich jest zdolność sprawiania, aby ludzie mówili to, co naprawdę myślą. To o wiele łatwiejsze niż przenikanie w ich ciała. Choć muszę przyznać, że z kobietami jest znacznie trudniej. Mózg kobiety jest całkowicie irracjonalny i nielogiczny. Energia, jakiej wymaga pokonanie zahamowań kobiety, jest znacznie większa niż...

- Nie interesują mnie wyjaśnienia na temat twoich zdolności - przerwał mu Jason. - Chcę wiedzieć, dlaczego wciąż się wtrącasz, mimo że umówiliśmy się, iż sam zajmę się Mary.

Vincent uniósł brwi.

- Staram się, jak mogę, ponieważ nie zdajesz sobie sprawy, jaki błąd popełniasz.

- Jedyne błęd, jak popełniłem to to, że pozwoliłem ci rządzić moim życiem. Posunął się za daleko, stryju.

Vincent z trzaskiem zamknął tabakierkę.

- Jeszcze za mało zrobiłem. Nie widzisz, co się dzieje? Nie rozumiesz, co cię czeka? Wierz mi, pamiętam, jak to jest. Zaczyna się dość niewinnie: pociąga cię ładna buzia, zgrabna nóżka. Powoli dajesz się wciągnąć, myślisz, że jesteś bezpieczny. I nagle zwykła atrakcja zmienia się w gwałtowną potrzebę i marzysz o zycielwym spojrzeniu, o uśmiechu, o dotknięciu...

Vincent urwał, drżały mu dłonie. Głęboko odetchnął i powiedział spokojniej:

- Ona zrujnuje ci życie. Dlaczego tego nie widzisz?

- A dlaczego ty nie widzisz, że przegrałeś? Nie udało ci się jej wystraszyć mimo wszystkich sztuczek.

Przegrałeś, stryju. Przyznaj to i zostaw Mary w spokoju.

Vincent zmarszczył brwi.

- Nie bądź głupi. Nie zauważyłeś, jak ucieka przed tobą przy najmniejszym okazaniu namiętności? Tak jak wszystkie kobiety jest zimna i samolubna. Dlaczego ci zależy na takiej okropnej świętoszce?

- To nie twoja sprawa.

- Rzuciła na ciebie urok. Nie wiem jak, ale to prawda. Tak jak kiedyś opętała mnie Elizabeth.

- Mary wcale nie jest taka jak Elizabeth.

Vincent roześmiał się sarkastycznie.

- Wszystkie kobiety są takie same, głupcze. Och, naturalnie, Mary nie pokazała jeszcze swojego prawdziwego oblicza, lecz niebawem to zrobi. Kiedy zaczniesz się na co dzień zadawać z kobietami z naszego towarzystwa, jej słodka natura zniknie i Mary stanie się taka jak inne: chciwa, skąpa, fałszywa. I wtedy uderzy. Zniszczy cię, mój drogi.

Spojrzeli sobie w oczy i w milczeniu walczyli spojrzeniami.

Jason pierwszy przerwał ciszę.

- Mówię po raz ostatni. Zostaw Mary w spokoju - powiedział cicho. - Albo tego pożałujesz.

Vincent roześmiał się ze śmiesznej groźby.

- Chyba żartujesz. Powinieneś mnie posłuchać i zaoszczędzić sobie kłopotów.

Vincent uśmiechnął się, ale Jason nie odwzajemnił uśmiechu.

- Mówiłeś poważnie? - zawołał Vincent z niedowierzaniem.

- Śmiertelnie poważnie. Nie wtrącaj się do mojego życia.

Vincent nigdy nie słyszał, aby Jason mówił takim tonem. Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy wyjął tabakierkę i udał, że znów zażywa tabaki.

- A jeśli odmówię?

Jason nie spuścił oczu.

- W ciągu ostatniego pół roku wiele mi o sobie opowiedziałeś, stryju. Znam twe słabości.

- Nie mam żadnych słabości - obruszył się Vincent.

- Nie? - spytał z ponurym uśmiechem Jason. - Zauważyłem twoją awersję do lochu.

Vincent zaniepokoił się na serio. Jak Jason to odkrył? Nie dając nic po sobie poznać, wzruszył ramionami.

- Och, być może, coś w tym jest, ale to jeszcze nie słabość.

- Nie? Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego twoja niechęć jest tak mocna?

- Wiem dlaczego. To skutek chłopięcej przygody.

- I to wszystko? Jesteś pewien, iż to jedyna przyczyna?

Vincentowi nie podobał się lekko kpiący ton Jasona.

- O ci właściwie chodzi, Jasonie?

- O nic - odparł Jason, spuszczać głowę, aby stryj nie mógł odczytać jego myśli. - Zauważyłem także, że po pierwszej nocy nie niepokoiłeś więcej Mary w błękitnym apartamencie.

Vincent szeroko otworzył oczy.

- I dlatego tam ją umieściłeś? Myślisz, że nie wejdę do błękitnego apartamentu? Bardzo się mylisz.

- Czyżby? - spytał ironicznie Jason. - Ostrzegam cię, stryju, nie wtrącaj się do moich spraw.

Jason wyszedł z pokoju.

Zaskoczony Vincent przez chwilę nie był w stanie się poruszyć. Potem, z grymasem, poszedł za Jasonem.

Jason rozmawiał w holu z Kendallem.

- ...w lochu. Masz to wyczyścić i przynieść do jadalni przed obiadem. Wściekły Vincent podszedł do Jasona.

- Ty bezczelny szczeniaku! Myślisz, że możesz mnie nastraszyć?

Jason, nie zwracając na niego uwagi, nadal po cichu rozmawiał ze służącym.

- Słyszałeś? - wykrzyknął ze złością Vincent.

Jason spokojnie poczekał, aż służący się oddali, po czym zwrócił się do Vincenta.

- Tak, słyszałem.

- To posłuchaj i tego. Mylisz się co do lochu i błękitnego apartamentu. Zaraz pójde tam i nastraszę tę twoją świętoszkowatą narzeczoną, która czmychnie, gdzie pieprz rośnie.

- Blefujesz.

Vincent uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Tak uważasz? - zapytał tylko i znikł.

Jason stał przez chwilę bez ruchu, po czym z przekleństwem na ustach pobiegł na górę i otworzył drzwi do pokoju Mary.

Drzwi walnęły o ścianę i Mary, która siedziała przy toalecie czesząc włosy, podskoczyła. Jason zignorował ją i zaczął rozglądać się po pokoju. Z bijącym sercem zaglądał w kąty, oglądał sufit i podłogę. Przykucnął i zajrzał pod łóżko, a potem się wyprostował i zajrzał za drzwi. Wciągnął nosem powietrze.

Nic. Nie było śladu ducha.

Powoli się uspokajał. Vincent jednak blefował.

- Jasonie! Cóż ty robisz?

Odwrócił się do Mary, chcąc ją przeprosić, ale słowa zamarły mu na wargach, gdy zauważył jej rozpuszczone włosy, opadające błyszczącą, złotobrazową kaskadą na plecy.

Zaschło mu w gardle.

Patrzył na Mary, nie mogąc oderwać wzroku od tych włosów. Przypomnił mu się pierwszy wieczór w tym pokoju, gdy zaplótł jej warkocze. Jedwabiste, gładkie sploty, zadziwiająco miękkie i delikatne, przepływały mu wówczas między palcami, aż chciał zanurzyć twarz w gęstwinie. Na szczęście oparł się pokusie. Nie mógł wszakże powstrzymać się od dotknięcia jej aksamitnej skóry. Bardzo dokładnie pamiętał wrażenia, jakie odczuwał, gdy dotykał jej brody i warg, pamiętał ciepłą, nęcącą wilgoć ust...

Jason jęknął w duchu, mruknął jakieś przeprosiny i odwrócił się, żeby odejść. Podszedł do drzwi, zamknął je i przekręcił klucz.

Ze zdumieniem spojrzął na własne dłonie. Co się stało? Jego ręce działały niezależnie od mózgu, jakby należały do kogoś innego. Jakby należały do...

Vincenta?

W chwili gdy to do niego dotarło, został odwrócony i pchnięty do przodu. Usiłował pokonać niewidzialną siłę, starając się odzyskać kontrolę nad członkami, jednakże nie miał szans wobec nadprzyrodzonej mocy. Jego nogi zostały zmuszone do przejścia po dywanie do Mary.

Kiedy Jason zbliżył się do niej, Mary położyła szczotkę do włosów na kolanach i znieruchomiała, spoglądając na niego poważnymi oczyma.

Zatrzymał się tuż przed nią, jego ręce chwyciły Mary za ramiona i podniosły na nogi. Jason walczył z całą siłą. Czuł, co zamierza Vincent - chciał go zmusić do utraty panowania nad sobą i przestraszenia Mary pożądliwym zachowaniem.

Jason, zdawając sobie sprawę, przyrzekł sobie w duchu, iż do tego nie dopuści.

Siła się wzmogła.

Jason walczył. Wiedział, że błękitny apartament szybko wysysa siły z Vincenta. Jeśli uda mu się wytrwać jeszcze kilka chwil, duch będzie musiał się poddać.

- Jasonie...

Spojrzał na Mary. Wpatrywała się w niego wielkimi, niebieskimi oczyma. Włosy opadały jej prowokacyjnie na piersi.

Jason przełknął ślinę i odwrócił wzrok, choć nadal czuł rozkoszny zapach jej włosów. Odruchowo wciągnął głęboko powietrze, wdychając słodki aromat.

Naciskająca go siła zelżała.

Jason prawie tego nie zauważył. Przypomnił mu się widok Mary w pokoju ciotki Sally, kiedy miała na sobie tylko bieliznę. Przypomnił sobie, jak całował Mary w zmysłowej, intymnej ciemności lochu, jak pieścił jej ciało w strumyku...

Obca siła znacznie się zmniejszyła.

Jason mocniej chwycił Mary za ramiona.

- Mary - szepnęła ochryple.

Miała lekko rozchylone wargi i oddychała nieco szybciej, Jej włosy oplątywały mu dłonie.

Obca siła znikła.

Jasona wzięła jednak w swe panowanie o wiele większa siła, z którą walczył od tak dawna.

Pochylił głowę i pocałował Mary.

Jej usta były słodsze niż pamiętał, smakowały miętą i miodem. Po kolei badał każdy rozkoszny zakątek, gładząc i pieszcząc ją językiem.

Po chwili Mary wyrwała się z jego objęć.

- Nie! - zawołała i drżącymi rękami odgarnęła włosy z twarzy. - Nie pozwalam. Po tym, co powiedział pan Quimby...

Chciała się cofnąć, ale Jason złapał ją za rękę i mocno przytrzymał.

- Proszę cię, Mary! Quimby się myli. Nie prowadziłem rozwiązłego życia w Londynie. Brałem udział w kilku karcianych przyjęciach i to wszystko. Przysięgam, że nigdy cię nie zdradziłem.

Podniósł jej dłoń i złożył na niej namiętny pocałunek.

- Uwierz mi, proszę cię. Mary.

Odwróciła głowę.

- Nie wiem, czy mogę.

- Dlaczego? Nigdy cię nie okłamałem. I ty dobrze o tym wiesz, prawda? Prawda?

- Ja...

Mary przez dłuższą chwilę patrzyła mu prosto w oczy. Zdenerwowany Jason czekał na jej odpowiedź.

- Ja... wiem, że byś mnie nie oszukał. Ale...

- Ale co?

- Jasonie...

Mary poruszyła palcami i Jason zdał sobie sprawę, że ściska jej rękę z całej siły.

- Ale co? - powtórzył łagodniej, zwalniając uścisk.

Mary znów poruszyła palcami, jednakże Jason nie puścił jej ręki.

- Ale co? - powtórzył raz jeszcze.

- Och, Jasonie - powiedziała Mary z rozpaczą. - Wszystko tu jest takie dziwne. Zawsze myślałam, że ludzie pobierają się z miłości. Tutaj wydaje mi się, że wszyscy żenią się czy wychodzą za mąż dla wygody, dla

pieniędzy, dla kariery. Nie chcę takiego małżeństwa. Nie chcę małżeństwa takiego jak lady Weldon...

- Nasze małżeństwo na pewno takie nie będzie - przerwał Jason.

Jak jej mogło to w ogóle przyjść do głowy?

- Przecież sama wiesz, że bardzo mi na tobie zależy.

- Naprawdę? - Mary spojrzała na niego ciepło i objęła jego dłoń palcami. - Naprawdę?

- Masz wątpliwości?

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dobrze.

Jason, patrząc Mary w oczy, rozpiął guziczki jej mankietu. Były bardzo małe, niemal za małe dla jego palców.

- Nigdy nie powinnaś we mnie wątpić, Mary. Czyż nie wiesz, że pragnąłem ciebie od naszego pierwszego spotkania u Cooperów? Często przyglądałem się, jak szylaś. Twoje ręce doprowadzały mnie do szaleństwa.

- Moje ręce? - powtórzyła Mary zaskoczona, z niedowierzaniem.

- Tak, twoje ręce - powiedział Jason, biorąc jej rękę i całując po kolei każdy palec. - Kiedy ci się przyglądałem, wyobrażałem sobie, że pieścisz mnie swymi dłońmi...

Mary szarpnęła rękę. Jason puścił tylko po to, żeby podnieść drugą do ust. Na palcu miała rodowy pierścień, który niezbyt podobał się Jasonowi, jednakże nie miał nic przeciwko niemu na ręce Mary. Zaczął całować jej delikatny nadgarstek, pieszcząc językiem skórę.

- Tak bardzo chciałbym cię dotykać i pieścić...

- Nie wydaje mi się to słuszne...

- Dlaczego? Za parę dni będziemy mężem i żoną.

- Nie wiem...

- Proszę cię, Mary. Pozwól mi się całować - mówił Jason, całując jej szyję, ucho i brodę. - Pozwól mi się całować, a wszystko będzie dobrze.

- Jasonie...

- Mary, proszę. Niech wszystko będzie tak, jak kiedyś.

- Och, Jasonie! - zawołała z radością Mary, obejmując go za szyję. - Ja też tego chcę. Bardziej niż cokolwiek.

Jason zaczął ją namiętnie całować, pragnąc zdobyć całą. Niecierpliwie pieścił jej talię i dotykał przez suknię piersi.

Mary przylgnęła do niego mocniej.

Miękkie kształty rozpały w nim płomień. Naciskał i głaskał jej piersi, aż nabrzmiały pod materiałem, ale to mu nie wystarczało. Odsunął rękę i Mary mruknęła coś niezrozumiale.

- Ciii... - szepnął Jason, przesuwając rękę do guzików przy dekolcie. - Chcę cię tylko wyzwolić z tej sukni.

Rozpinał po kolei każdy guzik, całując powiększający się dekolt. Starał się być cierpliwy. Chciał działać powoli i sprawić, aby i Mary odczuła przyjemność. Kiedy jednak rozpiął suknię do pasa, namiętność wzięła górę nad cierpliwością. Zsunął na dół suknię, obrywając przy okazji kilka guzików.

- Moja suknia! - zawołała Mary.

- Kupię ci drugą. Kupię ci sto nowych sukien.

Mary zeszywniała lekko i spojrzała na Jasona.

- Nie chcę stu nowych sukien.

- Nie musisz ich nosić. W gruncie rzeczy wolałbym nawet, gdybyś chodziła bez sukni.

- Nie o to mi chodzi...

- Mary... - Niech przestanie mówić. Nic go nie obchodzi głupia suknia. Chce ją tylko całować. - Zrobię wszystko, co zechcesz, Mary.

- Nie chcę żadnych sukien. Chcę ciebie, Jasonie. Tylko ciebie.

- A ja ciebie. Bardzo.

Przyciągnął ją do siebie, znów chętną i miękką w jego ramionach, całując do utraty tchu, ale i tego było mu mało. Ubranie stanowiło irytującą barierę, uniemożliwiającą mu dotknięcie jej nagiej skóry.

Starając się nie przerwać fizycznego kontaktu, Jason ściągnął z Mary halkę. Odrzucił ją na bok, spojrzał na dziewczynę i aż mu dech w piersiach zaparło.

- Mary - powiedział ochryplym głosem. - Czy wiesz, jak często myślałem tak o tobie? Od tego dnia, gdy cię zobaczyłem w pokoju ciotki Sally w samej bieliźnie. Gdyby nie było tam wtedy ciotki Sally i tych głupich szwaczek, całowałbym cię tu, i tu, i tu...

Jason całował brzegi piersi Mary i pieścił je rękami. Potem zaczął obrysowywać ich kontury językiem, doprowadzając siebie i Mary do szaleństwa. Wreszcie nie wytrzymał i wziął do ust brodawkę.

Mary jęknęła i wygięła ciało w łuk. Wsunęła mu palce we włosy i mocniej przycisnęła do piersi jego głowę. Jason, nadal pieszcząc językiem czubek piersi, złapał ją za biodra i przyciągnął do własnych bioder. Kiedy ich ciała się zetknęły, jęknął z rozkoszy i z oczekiwania.

Nagle puścił Mary i cofnął się o krok, zrywając z siebie halsztuk i surdut. Mary spoglądała rozszerzonymi oczyma, gdy rozpinął kamizelkę, rzucił ją na ziemię i jednym mchem ściągnął z siebie koszulę.

- Dotknij mnie. Mary - szepnął jej do ucha. - Dotknij mnie, proszę.

Początkowo dotykała go nieśmiało, lecz po chwili ośmieliła się i wędrowała dłońmi po owłosionej klatce piersiowej i po umięśnionych ramionach.

- Czujesz...

Urwała, jakby nie znajdując słów.

- Czy co czuję, Mary?

- Nie wiem. Twarde i gładkie.

Jason jęknął, myśląc o innej części swego ciała, która odpowiadała temu opisowi.

Mary odważnie znów dotknęła jego piersi, a potem przesunęła palcami niżej, po żebrach i brzuchu aż do paska spodni.

- Mary...

Mary zaczerwieniła się i cofnęła rękę.

- Mary - jęknął Jason.

Znieruchomiał na chwilę i policzył do dziesięciu, starając się uspokoić wzburzony puls. Marzył o tym, żeby Mary rozpięła mu spodnie, ale nie chciał jej popędzać ani przestraszyć.

Usiadł na krześle i ściągnął buty. Posadził sobie Mary na kolanach, żeby rozwiązać wstążki tiurniury. Kiedy już zrzucił tiurniurę, zabrał się do tasemek gorsetu. Sztywna część garderoby upadła na ziemię i ukazała się koszula.

- Mary, dlaczego nosisz na sobie tyle rzeczy? - jęknął Jason.

Nie odpowiedziała, ale też nie oczekiwał odpowiedzi.

Kiedy Jason ściągnął jej przez głowę koszulę, została tylko w majtkach, pończochach i w pantoflach.

Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Zdjął pantofle i rozwiązał tasemki majtek przy kolanach, a później wiązadła w pasie.

- Unieś biodra, Mary.

Posłusznie wykonała jego polecenie, a Jason powoli ściągał z niej majtki, rozkoszując się widokiem

gładkiego brzucha i krągłych bioder. Przełknął ślinę, gdy zobaczył ciemny trójkąt między udami, z ciasno zwiniętymi włosami zasłaniającymi jej sekret. Po chwili odsłonił białe uda i frywolne różowe podwiązki okalające nogi tuż nad kolanami.

Nie przejmując się wstążeczkami przy podwiazkach zsunął je w dół i ściągnął jednym ruchem, po czym odsunął się i przyjrzał całkowicie nagiej Mary.

Była piękna, od złotobrazowych włosów do różowych paznokci u nóg.

- Mary - szepnął. - Chcę cię całą całować.

Pochylił się i pocałował wgłębienie na szyi i miejsce pod piersiami. Językiem pieścił czerwony ślad po gorsecie, pępek i krągłe biodro. Zmarszczył brwi na widok niebieskiego siniaka z tyłu, brzydkiego i ciemnego na tle białej skóry. Delikatnie obrysował go palcem.

- Co to jest. Mary?

- Co? - spytała nieprzytomnym głosem. - Ach, to... Chyba uderzyłam się o kamień, wczoraj, w strumyku.

- Musiało cię zabołec - powiedział, całując siniak. - Przepraszam, że popchnąłem cię do strumyka. Wynagrodzę ci to, obiecuję.

Przesunął usta na biodro, a potem na wewnętrzną i stronę uda.

- Jasonie, ja... Nie, proszę...

Odepchnęła go od siebie.

Jason odsunął się niechętnie.

- Mary - powiedział ochryple - Muszę... Czy pomożesz mi zdjąć spodnie?

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

- Ja... Tak.

Wstał, zachwycony jej odpowiedzią.

Jego zachwyt wkrótce znikł, gdy Mary uklękła na łóżku i zaczęła nieudolnie rozpinać guziki. Dotyk jej palców doprowadzał go do szaleństwa.

Chciał zapomnieć o wszystkim, przewrócić ją na łóżko i wziąć jednym, silnym pchnięciem. Chciał się w nią wbijać i wbijać, dopóki męczący go ból nie zmieni się w słodką ekstazę orgazmu.

Wreszcie udało jej się rozpiąć spodnie. Ale potem zawahała się, spoglądając nań, jakby niepewna, co robić dalej.

Jason zamknął oczy i głęboko odetchnął, starając się panować nad sobą. Po chwili otworzył oczy i zmusił się do zachęcającego uśmiechu.

Mary odpowiedziała mu uśmiechem, po czym wróciła do spodni i zaczęła je powoli ściągać.

Jego członek, ledwo krępowany płótnem kalesonów, podskoczył do góry. Mary spojrzała na niego rozszerzonymi oczami i delikatnie go dotknęła.

Jason jęknął. Nie mógł tego dłużej wytrzymać. Pochylił się i pocałował Mary, popychając ją na poduszki. Rozwiązał kalesony, ściągnął jedną ręką w dół i kopnięciem zrzucił je z nóg. Zsunął z nóg Mary długie pończochy i położył się obok niej. Przesunął dłońmi po jej piersiach, talii, brzuchu, pieszcząc i ściskając miękkie ciało.

Na moment uniósł usta znad jej ust, a wtedy Mary mocniej przyciągnęła go do siebie, całując z niewinną zachłannością.

Wsunął palce między jej uda, gładząc wrażliwą skórę. Krzyknęła cicho, a potem uniosła biodra, poruszając się instynktownie, rytmicznie pod jego dłoń.

Poczuł wzbierającą w niej wilgoć i wiedział, że Mary jest prawie gotowa na jego przyjęcie.

- Jasonie! Chcę... Chcę...

- Tak, wiem. Mary - szepnął jej do ucha. - Ja też tego chcę.

Położył się na niej, rozsuwając kolanami jej nogi i spojrzał na twarz.

Oczy miała na wpół zamknięte, policzki zaczerwienione. Jej włosy rozsypały się na poduszce. Wsuwając palce w złotobrazowe sploty, unieruchomił jej głowę, po czym zbliżył usta do jej ust i jednym płynnym ruchem wszedł w gorącą, ciasną wilgoć.

Mary zeszywniała i Jason znieruchomiał.

- Mary - szepnął. - Czy cię boli?

Potrząsnęła głową i napięcie w niej trochę zelżało. Jason pchnął, aż do samego środka. Zatrzymał się, wiedząc, że Mary poczuje ból. Mocno ją całując, pieścił jej piersi, doprowadzając ją do szczytu pożądania. Kiedy jęczała i kręciła się gwałtownie, pchnął dalej, przerywając niewielką przeszkodę.

Mary odetchnęła raptownie i znieruchomiała. Jason zatrzymał się i czekał bez ruchu, obawiając się, iż boleśnie ją zranił.

- Mary - szepnął. - Czy wszystko w porządku?

Kiwnęła głową i Jason odczuł wielką ulgę. Całował jej usta, policzki i oczy, nie poruszając się, czekając aż się do niego przyzwyczai.

Zaczął całować jej piersi, pieszcząc językiem brodawki. Poczuł, iż serce znów bije jej mocniej, coraz mocniej, gdy on nadał głaskał jej piersi. Mary ponownie zaczęła przeżywać się pod jego ciałem.

Cofnął się lekko i znów pchnął do przodu.

- Och! - zawołała Mary.

Złapał rękami jej biodra i poruszał się coraz szybciej.

Mary objęła go za szyję i przyciskała do siebie coraz mocniej. Wreszcie krzyknęła...

Jason poczuł przeszywającą go ekstazę i głośno krzyknął, wypełniając ją swym nasieniem i całując z namiętnością, która przepełniała go całego.

Wreszcie orgazm się dopełnił, przycichł i skończył. Napięcie, które zbierało się w nim przez cały rok znalazło ujście i odleciało, pozostawiając go zaspokojonym i ukontentowanym.

Kiedy spojrzał w dół, zobaczył na wargach Mary i w jej oczach rozmarzony uśmiech. Poczuł głęboką satysfakcję. Pochylił się i pocałował ją.

Należała do niego.

Położył się na boku i przyciągnął ją do siebie, opierając jej głowę na swym ramieniu. Mary przytuliła się do Jasona.

Zasnął z Mary przytuloną do serca, wiedząc, że Vincentowi już nigdy nie uda się jej wypędzić.

Gdy Jason się obudził, cienie późnego popołudnia padały na pokój. Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Potem usłyszał lekkie westchnienie i poczuł przy sobie ciepłe kobiece ciało.

Mary.

Odwrócił głowę i spojrzał na jej twarz. Mocniej przytulił ją do siebie. Teraz już go nie zostawi. Są złączeni na zawsze. Vincent nic więcej nie zdołał...

Pokój wypełnił się lekkim zapachem jesiennych liści.

Jason szybko podniósł głowę i zobaczył niewyraźną, migoczącą postać przy drzwiach.

- Dobrze się bawisz, młodzieńcze?

Jason zeszywniał. Opiekuńczo nasunął na Mary przykrycie i spojrzał ze złością na Vincenta.

Vincent uśmiechnął się sarkastycznie.

- Teraz dopiero się zaplątałeś. Miałeś się jej pozbyć, a nie iść z nią do łóżka. Trudno będzie ją wystraszyć.

Jason zacisnął dłoń na przykryciu.

- Przegrałeś, stryju. Mary nigdy stąd nie odejdzie. Dość już namieszałeś, dlaczego się nie wyniesiesz?

Vincent otworzył usta. W oczach zamigotały mu iskry wściekłości. Nim jednak zdążył coś powiedzieć, odezwał się zaspany głos:

- Jasonie - mruknęła Mary, nie otwierając oczu. - Z kim ty rozmawiasz?

17

Mary, pogrążona w błogosławionym stanie omdlałego znużenia, odezwała się leniwie, nie całkiem przebudzona. Usiłowała śnić dalej cudowny sen, w którym nosiła złotą obrączkę i szła z Jasonem, trzymając go za rękę, brzegiem morza.

Miała znów pogrążyć się we śnie, gdy zdała sobie sprawę, iż Jason nie odpowiedział.

- Jasonie? - mruknęła.

Cisza. Mary otworzyła oczy i zobaczyła twardą, męską pierś, lekko zarośniętą. Czerwieniąc się, spojrzała w górę, na twarz Jasona.

Z zaciśniętymi ustami wpatrywał się ostrymi, szarymi, zimnymi oczyma w jakiś punkt przy kominku.

- Jasonie...

Jason, słysząc w głosie Mary niepewność, oderwał wzrok od drwiancej z niego postaci przy kominku. Zaklął pod nosem. Właśnie kiedy osiągnął z Mary wszystko, musiał się zjawić Vincent. Dobrze znając ducha, Jason nie wątpił, iż zamierza nadal wprowadzać zamieszanie.

Niewątpliwie, najlepiej byłoby go stąd wyrzucić.

- Mary, muszę iść - powiedział, obserwując Vincenta kątem oka.

Poczuł, że Mary zeszywniała.

- Nie uważasz, że powinniśmy porozmawiać o tym, co zaszło? - spytała.

- O czym tu rozmawiać? - Ponownie rzucając okiem w stronę kominka, Jason podniósł głos, aby Vincent na pewno go usłyszał. - W środę, tak jak to jest zaplanowane, bierzemy ślub.

- Ależ, Jasonie, czy kochanie się ze mną nic dla ciebie nie znaczy?

- Oczywiście, że znaczy. Pozbawiłem cię dziewictwa. Muszę się z tobą ożenić.

Vincent dotknął jego rękawa.

- Jesteś doprawdy naiwny, mój chłopcze.

Jason, gryząc się w język, aby nie dać się sprowokować Vincentowi, spojrzał na Mary.

- Czy to wszystko? - spytała.

- Mary...

Jason zacisnął palce na jej dłoniach, którymi kurczowo trzymała przykrycie. Kątem oka widział Vincenta, jak podchodzi do toaletki, kopiąc po drodze leżącą na podłodze koszulę. Złośliwy uśmiech wykrzywił mu usta. Obrzucając go wściekłym spojrzeniem, Jason powiedział z roztargnieniem:

- To, co się zdarzyło, zdarzyłoby się prędzej czy później. Wiem, że nie masz pojęcia o mężczyznach, lecz zawsze, gdy mężczyzna jest blisko kobiety, namiętność wygrywa ze zdrowym rozsądkiem.

- Chcesz powiedzieć, że to, co zaszło, mogło równie dobrze zajść między tobą i jakąkolwiek inną kobietą?

- Nie, nie o to mi chodziło. Chciałem powiedzieć, że nie planowałem tego z premedytacją. I nic by nie zaszło, gdyby nie...

- Gdyby nie co?

- Właśnie, gdyby nie co, bratanku?

Słyszając prześmiewczy ton Vincenta, Jason mocniej zacisnął rękę na dłoni Mary. Biorąc głęboki oddech skupił uwagę na dziewczynie.

- Gdyby nie Vincent.

- Vincent? - powtórzyła Mary ze zdumieniem.

- Powiniem być ci o nim wcześniej powiedzieć. Zrobił wszystko, co w jego mocy, aby zerwać nasze zaręczyny. Wyjaśniłem mu, że przegrał, ale wątpię, żeby zrezygnował, nawet teraz.

- Nie zrezygnuje?

- Jest zdolny do wszystkiego. Spójrz na to, co zdziałał do tej pory. Podstępnie sprowadził mnie do twojego pokoju. To był on, nie ja.

Mary wytrzeszczyła oczy.

- Vincent kochał się ze mną dziś po południu?

- Nie, nie to miałem na myśli. Zmusił mnie, żebym cię pocałował.

- Musiał cię zmuszać, abyś mnie pocałował?

- Tak. To znaczy nie. Chciałem cię pocałować, ale nie zrobiłbym tego, gdyby mnie nie zmusił. Nie mogłem go powstrzymać. A potem poszedł sobie, ale już sam nie mogłem się powstrzymać. Do diabła, Mary, przestań tak na mnie patrzeć. Chcę, żebyś zrozumiała.

- Och, rozumiem. Doskonale rozumiem. Oszalałeś.

Jason ze złością przeczesał palcami włosy. Wszystko szło jak najgorzej. A uśmiechnięty Vincent, stojący przy kominku, tylko pogarszał sytuację.

- Wcale nie oszalałem - stwierdził Jason.

- To kwestia zapatrywań - powiedział Vincent.

- Staram się robić tak, żeby było jak najlepiej dla nas obojga. Czyż tego nie widzisz? - zawołał Jason.

- Widzę jedynie, że mnie oszukujesz. Oskarżasz ducha! Dlaczego się nie przyznasz, że dzisiejsze popołudnie nic dla ciebie nie znaczyło? - zawołała Mary ze łzami w oczach.

- Właśnie, że znaczyło.

- Mam w to uwierzyć? Zauważyłam, że się zmieniłeś, gdy tylko przyjechałam. Nie chciałam po prostu w to uwierzyć.

- Wcale się nie zmieniłem.

- Zmieniłeś się. A teraz, żeby do reszty okazać się samolubnym, aroganckim arystokratą, powinieneś mnie porzucić, skoro mnie już wykorzystałeś.

- Nie mam takiego zamiaru.

Vincent zażył tabaki.

- Nie bądź głupcem, bratanku. Masz odpowiednią okazję.

Jason z przerażeniem wpatrywał się w łzę, spływającą po policzku Mary.

- Nie musisz nic więcej mówić - powiedziała. - Wszystko rozumiem. W ogóle cię nie obchodzę. Czujesz jedynie pożądanie.

Wytarła policzek brzegiem przykrycia.

- Doskonale, mój chłopcze. Udało ci się doprowadzić ją do płaczu. Czuję, że moja obecność nie jest już dłużej konieczna. Świetnie wszystko spartaczyłeś. Czy mam sobie pójść?

- Tak - warknął Jason.

- Czujesz tylko pożądanie?

Vincent wybuchnął śmiechem.

- Nie! - zawołał Jason. - Chciałem powiedzieć, że bardzo mi na tobie zależy. Mary. Już ci to mówiłem.

- Nie wiem, czy mogę ci wierzyć, Jasonie. Czuję się jakbyś mnie wykorzystał.

- Naprawdę powinieneś już sobie pójść, chłopcze. Trochę się na tobie zawiodłem. Wykorzystałeś swoją

pozycję w naszej grze.

- Będę wykorzystywał to, co zechcę! - warknął Jason.

- A więc przyznajesz? - zawołała zdumiona Mary.

Vincent śmiał się coraz głośniej.

Mary rzuciła Jasonowi lodowate spojrzenie, warte lady Weldon.

- Wyjdź! - zażądała.

- Zachowujesz się nierozsądnie. Mary - powiedział Jason z ledwo kontrolowaną złością.

- Ja się zachowuję nierozsądnie? Doprawdy, rozśmieszasz mnie, mój panie.

Odwróciła się do niego tyłem, ukazując wydłużoną, elegancką linię pleców.

- Niezły widok - skomentował Vincent.

- Wynoś się stąd! - krzyknął Jason.

- Przypominam ci, że to mój pokój - powiedziała Mary. - I będę ci bardzo wdzięczna, jeśli go opuścisz.

Vincent śmiał się tak bardzo, że łzy leciały mu po twarzy.

- Najpierw musimy wszystko sobie wyjaśnić. Mary - stwierdził Jason, starając się opanować.

- Jest późno, Jasonie. Lady Weldon bardzo się zdenerwuje, jeśli spóźnimy się na kolację. Muszę się ubrać.

Vincent uśmiechnął się, spoglądając na nagie ramiona Mary.

- To staje się coraz bardziej interesujące.

- Nie ośmielisz się - ostrzegł go Jason.

- Jak długo zatem zamierzasz trzymać mnie nagą w tym łóżku? - zawołała Mary.

- Proszę, proszę - wycodził Vincent. - Może jednak pobłogosławię to małżeństwo...

Jason wstał z łóżka i pospiesznie wciągnął kalesony i spodnie. Zbierając resztę ubrania powiedział chłodnym tonem:

- Zaczekam na ciebie w korytarzu. Jeśli nie wyjdiesz za dziesięć minut, wrócę tu.

Ignorując rozszoszczony wyraz jej twarzy, podszedł do drzwi, przekręcił klucz i otworzył je, spoglądając wyzywająco na Vincenta.

Vincent wyszedł z sarkastycznym uśmiechem.

Jason wyszedł za nim i zamknął drzwi.

- No i co, stryju?

Poza błękitnym apartamentem wizja Vincenta stała się jaśniejsza i pełniejsza. Nadal wydawał się rozba-
wiony.

- Muszę ci pogratulować, bratanku. Myślę, że odniosłeś sukces, tam gdzie mnie się nie udało.

Jason włożył koszulę.

- Ostrzegałem cię, żebyś się nie wtrącał. Przykro mi, że do tego doszło, ale nie mam wyjścia.

Podskakując, najpierw na jednej, potem na drugiej nodze, wkładał pończochy i buty.

- Żałuję teraz, iż wcześniej się na to nie zdecydowałem.

Vincent prychnął pogardliwie.

- Wracamy do gróźb bez pokrycia? Co zrobisz? Wezwiesz kuzyna Horace'a, aby odprawił egzorcyzmy?

Nim Jason zdążył odpowiedzieć, zza rogu wyłoniła się służąca z wiadrem na węgiel. Na widok Jasona zatrzymała się gwałtownie, spoglądając na niego okrągłymi oczyma.

- Chyba się przestraszyła, mój chłopcze. Pewno nie jest Przyzwyczajona do widoku na wpół rozebranych

mężczyzn na korytarzu.

- Idź sobie wreszcie! - zawołał ze złością Jason.

- Najmocniej przepraszam, jaśnie panie - wyjąkała dziewczyna, po czym odwróciła się i uciekła.

Nie zwracając uwagi na Vincenta, Jason włożył kamizelkę i surdut, zawiązał na oślepie halsztuk i zastukał do drzwi Mary.

- Masz jeszcze minutę. Mary.

Drzwi otworzyły się i Mary wyszła, z porządnie upiętymi włosami i nienagannie ubrana - tyle że w miejsce oderwanych guzików miała wpięte w suknię dwie szpilki. Jason podał jej ramię, ale go zignorowała. Z chłodnym i godnym wyrazem twarzy ruszyła korytarzem.

Jason z wściekłą miną poszedł za nią.

- Musisz mi uwierzyć. Mary...

Vincent płynął obok nich w powietrzu, naśmiewając się z daremnych wysiłków Jasona. Wydarzenia przybrały lepszy obrót, niż mógł się spodziewać. A w dodatku wszystko razem było niesłychanie śmieszne. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie ubawił.

Mary i Jason weszli do jadalni, Vincent tuż za nimi, gdzie reszta rodziny siedziała już na swoich miejscach. Lady Weldon, która najwyraźniej przyszła do siebie po wynurzeniach w powozie, prychnęła najpierw z powodu ich spóźnienia, a potem wprost wytrzeszczyła oczy.

- Jasonie! Cóż to ma znaczyć?

Jason, który nadal usiłował przekonać Mary do swych wyjaśnień, spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

Quimby, który także poczuł się lepiej, odchrząknął.

- Doprawdy, nie godzi się przychodzić do stołu w takim stanie.

Jason spojrzał na swe zmięte ubranie i poniewczasie zapiął kamizelkę i guziki przy mankietach.

Cecil przesunął wzrok od Jasona do Mary i z powrotem. Twarz mu pociemniała.

Beatrice wykrzywiła różane usteczka.

- Jestem pewna, iż Jason ma coś na swoje usprawiedliwienie.

- Nie - odparł krótko Jason i znów odwrócił się do Mary. - Posłuchaj, Mary...

W tej chwili otworzyły się drzwi i dwóch służących wniosło duży obraz. Postawili go na podłodze, opierając o ścianę naprzeciwko tej, na której wisiał portret Vincenta.

Jason zawahał się, rzucił okiem na Mary, potem na stryja. Duch przyglądał mu się rozbawionym wzrokiem. Jason zeszywniał z gniewu. Vincent stanowczo za dużo sobie pozwalał. W ciągu ostatniego miesiąca stało się jasne, że trzeba coś z nim zrobić.

Nadszedł czas. Rozmowa z Mary musi poczekać. Był pewien, że - jeśli jego plan się powiedzie - uda mu się wszystko jej wytłumaczyć. Odwracając się tyłem do ducha, Jason podszedł do obrazu i położył dłoń na płótnie.

- To jest mój ślubny prezent dla Mary. Dowód mojego wielkiego dla niej szacunku. Wiem, że to trochę za wcześnie, bo do ślubu zostały jeszcze trzy dni, ale nie mogę dłużej czekać.

Mary spojrzała na niego, na obraz i znów na Jasona.

- Jasonie, musimy naprawdę porozmawiać.

Jason westchnął z irytacją. Teraz zachciało jej się rozmowy. On jednak musiał najpierw coś zrobić, coś, co powinien był zrobić dawno temu...

- Porozmawiamy później - powiedział, rozwiązując sznurek opasujący płótno.

- Nie, Jasonie. Muszę teraz z tobą porozmawiać.

- Mamy czas.

- Nie, nie mamy. Ja... - Mary odetchnęła głęboko.

- Chcę odłożyć nasz ślub.

Wszystkich przy stole aż zatkało ze zdumienia.

Sznurek opadł na podłogę. Jason odwrócił się do Mary. Stanowczo patrzyła mu w oczy, choć broda lekko jej drżała.

- Odłożyć ślub? - wykrzyknęła lady Weldon. - Teraz?! Będę musiała pisać do wszystkich...

- Nie - powiedział Jason, nie odwracając oczu od Mary. - Nie będziemy odkładać ślubu. Mary tylko żartowała.

- Nieprawda - zaprotestowała Mary. - Pewne rzeczy mnie niepokoją. Nie zawsze cię rozumiem.

- Możesz mnie zrozumieć po ślubie - stwierdził Jason przez zęby. - Nie będziemy odkładać ślubu i to moje ostatnie słowo.

W oczach Mary zamigotał gniew.

- Obawiam się, że się na to nie zgodzę.

- A mnie to nic nie obchodzi.

- Zatem nie mam wyboru - powiedziała Marty drżącym głosem. - Zrywam zaręczyny.

Jason znieruchomiał.

- Ach jej, ach jej, ach jej! - zawołał Quimby.

Cecil jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

Beatrice uśmiechnęła się.

- Gratuluję, chłopcze - powiedział Vincent.

Jason spojrział na niego i zobaczył w jej oczach wyraz triumfu. Zacisnął wargi i ściągnął przykrycie z obrazu.

Vincent z sykiem wypuścił powietrze przez zęby.

Był to portret Elizabeth.

Wszystkie kolory odpłynęły z postaci Vincenta, zostawiając go bladym i słabym. Jego aura zamigotała i przygasła.

Jason, usatysfakcjonowany, zwrócił się do Mary.

- Nie ma mowy o zerwaniu zaręczyn - powiedział zimno i nie zwracając na nią dalszej uwagi kazał służącym zawiesić obraz na ścianie.

- Posuwasz się za daleko, bratanku - wysyczał Vincent, choć jego głosowi brakowało dotychczasowej siły i dźwięczności.

Na policzkach Mary wystąpiły dwie czerwone plamy.

- Nie wierzę własnym uszom! Stałeś się potwornym arogantem! Nie będziesz mi rozkazywał!

Zaczęła szarpać pierścionek na palcu.

- Wcale ci nie rozkazuję.

Mocniej pociągnęła pierścionek.

- Właśnie, że rozkazujesz. Nie dbasz o moje uczucia czy przekonania.

- Zawsze dbam...

- Na przykład, kiedy postanowiłeś, nie pytając mnie o zdanie, że spędzimy miodowy miesiąc w Paryżu.

- Mówiłaś, że chciałybyś pojechać do Paryża.

- Mówiłam. Chcę. Ale czy nie przyszło ci do głowy, że wołałabym pojechać nad morze?

- Stać mnie na Paryż - rzucił niecierpliwie Jason. - Dlaczego chciałabyś jechać nad morze?

- Z tego samego powodu, dla którego chcę mieć zwykły pierścionek zaręczynowy, a nie to dziedziczne obrzydlistwo. Jason zmarszczył brwi.

- Mówiłem ci...

- Tak, tak, wiem. Jest bardziej odpowiedni dla hrabiny. Ale czy jest bardziej odpowiedni dla mnie?

Z całej siły szarpnęła pierścionek.

- Jest odpowiedni dla mojej żony - stwierdził zimno Jason. - Jestem hrabią Helsbury, Mary. Musisz to zaakceptować i ufać moim osądom.

Mary roześmiała się ze złością.

- Tak samo, jak muszę ufać twoim osądom co do ciotki Sally, Cecila i Blevinsa, co?

- Tak.

Mary przestała szarpać pierścionek. Przez długą chwilę wpatrywała się w Jasona, którego słowa wciąż rozbrzmiewały jej w uszach. Gniew znikł i poczuła ból w piersiach; ból, który się rozrastał i wkrótce objął całe ciało. Jeśli Jason tak uważał, dalsza rozmowa nie miała sensu.

Usiłując powstrzymać łzy, otworzyła usta, aby mu to powiedzieć, gdy poczuła w powietrzu słodki zapach, przypominający zapach wiosennych róż. Usłyszała jakiś hałas.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła za sobą portret, który służący powiesili na ścianie. Przedstawiał uśmiechniętą kobietę o wesołych oczach. Mary spostrzegła, że z portretu emanuje dziwna poświata. Światło stawało się coraz jaśniejsze, aż spłynęło z obrazu.

Na ziemi stała Elizabeth Vale w promieniującej, choć nieco przezroczystej postaci, z lekkim uśmiechem na ustach.

Mary wpatrywała się w nią ze zdumieniem. I poczuła nowy zapach - jesiennych liści. Usłyszała ciche przekleństwa, które stawały się coraz głośniejsze. Rozejrzała się i zobaczyła Vincenta Parsella, szóstego hrabiego Helsbury, stojącego przy swoim portrecie i wpatrującego się ze złością w Elizabeth.

Mary zamrugła oczyma, ale duchy nie znikły.

Pokój wokół niej zaczął nagle wirować, świat stał się czarny i Mary zemdlała.

18

Vincent jak przez mgłę zarejestrował, że Jason przeniósł Mary na sofę i że pozostałe osoby zgromadziły się wokół niej, ale nie mógł oderwać wzroku od zjawiska po drugiej stronie jadalni.

Była jeszcze wspanialsza niż w jego pamięci. Miała twarz lekko od niego odwróconą, gdyż obserwowała zamieszanie przy sofie, mógł jednak podziwiać jej białą cerę, obramowaną czarnymi lokami, równie cudowną i jedwabistą jak niegdyś. Uwodzicielska czerwień warg kusila jeszcze bardziej, podobnie jak doskonałe kształty widoczne pod obcisłą złotą suknią.

Odrzuciła się nagle, spoglądając nań wielkimi, granatowymi oczami.

Jej spojrzenie podziałało na niego jak szok elektryczny. Poczul gorko-słodki znajomy ból.

Uniosła w górę delikatne brwi.

- Widzę, iż nadal siejesz zamieszanie.

Jej bezczelna uwaga spowodowała, że znikło gdzieś sentymentalne wspomnienie, jakie wywołał jej wygląd.

- Co ty tu, do diabła, robisz? - spytał zimno.

Obrzuciła go od stóp do głów chłodnym, wyniosłym spojrzeniem.

- Nic a nic się nie zmieniłeś. Nadal jesteś tak samo arogancki, nadal niszczysz ludziom życie.

- Odpowiedz na moje pytanie.

Rozejrzała się wokół.

- Nie jestem pewna, choć podejrzewam, że jestem tu po to, aby zlikwidować bałagan, jakiego narobiłeś.
- Nie wtrącaj się, Elizabeth - powiedział niebezpiecznie cichym głosem, mrużąc oczy.
- Nie mów do mnie tym tonem. Nie boję się ciebie.

Spojrzeni sobie w oczy. Vincent ponownie odczuł wstrząs, a potem osłabienie, jeszcze większe, niż odczuwał zazwyczaj w błękitnym apartamencie. Wiedział, że nie może teraz przedłużyć konfrontacji. Skupił się wyłącznie na tym, żeby jego głos brzmiał jak najgroźniej i zbierając w sobie resztki energii, powiedział:

- Powtarzam, nie wtrącaj się w moje sprawy.

I znikł na portrecie.

Elizabeth zacisnęła pięści i ze złością spojrzała na mężczyznę na obrazie. Poczula ogarniającą ją frustrację - uczucie niemal zapomniane. Ta typowa dla niego chęć, aby ją nastraszyć i odmówić rozmowy. Nie zmienił się ani trochę. Był tym samym aroganckim typem i wcale nie żałowała, iż zerwała zaręczyny.

Cichy jęk przerwał jej rozmyślenia i Elizabeth odwróciła się w stronę sofy.

Widok zasłaniały jej postacie ludzkie, uniosła się zatem w powietrze, żeby coś zobaczyć.

Ładna dziewczyna o brązowych włosach, którą zobaczyła schodząc z portretu, leżała z zamkniętymi oczami na sofie. Przystojny ciemnowłosy mężczyzna, o szaroniebieskich oczach, klęczał przy niej, gładząc ją po ręce i podtykając jej pod nos sole trzeźwiące.

- Mary... Mary...

Elizabeth poczuła wyrzuty sumienia. Nastraszyła biedną dziewczynę. Szkoda, że nie dało się tego uniknąć. Szkoda, że nie może być niewidzialnym duchem.

W tym momencie poświata wokół jej postaci znikła. Elizabeth spojrzała zdumiona na suknię, na swoje ramiona i dłonie. Czyżby stała się niewidzialna? Postanowiła się o tym od razu przekonać i podeszła do sofy.

Dziewczyna podniosła powieki. Elizabeth wstrzymała oddech. Mary wpatrywała się prosto w nią, ale nic nie wskazywało na to, że ją widzi.

Elizabeth westchnęła z ulgą.

Mary odwróciła głowę i spojrzała na mężczyznę klęczącego tuż przy niej.

- Jasonie? - powiedziała z niedowierzaniem, po czym zacisnęła usta i odwróciła głowę.

Z westchnieniem zamknęła oczy.

- Jak się czujesz, Mary? - dopytywał się zdenerwowanym głosem Jason.

- Chcę pójść do mojego pokoju - powiedziała Mary cicho, nie patrząc na Jasona.

Mężczyzna wziął ją na ręce, ale nawet w tej intymnej pozycji Mary zachowała zimną i wyniosłą postawę. Elizabeth poszła za nimi do błękitnego apartamentu. Zatrzymała się w drzwiach, rozglądając się po znajomym wnętrzu, niebieskich aksamitnych obiciach i hebanowych meblach. Coś ścisnęło ją w gardle. Potrząsając głową wpłynęła do pokoju.

Jason delikatnie położył Mary na łóżku.

- Mary, muszę ci coś powiedzieć...

- Odejdź, proszę - powiedziała, odwracając się od niego, głosem pełnym żalu. - Nie zmienię mego postanowienia. Zrywam zaręczyny.

Jason zawahał się przez moment.

- Dobrze, odpocznij sobie. Nalegam jednak, abyśmy jutro porozmawiali - powiedział i wyszedł z pokoju.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Elizabeth znów zrobiła się widzialna.

Mary na wpół podniosła się z łóżka na jej widok i nerwowo przełknęła ślinę.

- A więc nie była pani wytworem mojej wyobraźni?

- Nie. Proszę się położyć. Obawiam się, że moje pojawienie musiało panią zszokować.

Mary położyła się na poduszce, wpatrując się w Elizabeth wielkimi oczami.

- Pani jest Elizabeth. Kobieta, która porzuciła Vincenta.

- Tak to wszystkim przedstawia? Ha! - zawołała Elizabeth, a jej poświata rozbłysła, by po chwili znów ściemnieć. - W gruncie rzeczy to prawda, porzuciłam go - przyznała. - Nie to jest jednak ważne. Ważny jest ten mężczyzna, Jason. Zerwała pani z nim, prawda? Chciałabym to naprawić, po to tu jestem.

Mary zacisnęła palce na prześcieradle.

- Już za późno. Nie chcę go więcej widzieć.

- Wielkie nieba, dziecko, co on takiego zrobił?

Mary otworzyła usta, żeby opowiedzieć Elizabeth tę idiotyczną bajkę o duchu, po czym się zawahała. W tej sprawie najwyraźniej nie kłamał. Ale w innych? A jego zadufanie, oziębłość, brak względów dla niej i dla innych?

- Odkąd tu przyjechałam, targają mną wątpliwości - powiedziała z namysłem. - Usiłowałam je ignorować, ale już dłużej nie mogę. Powinam była zaufać moim instyngtom.

- Przecież on cię kocha.

Mary patrzyła przed siebie przez dłuższą chwilę, a potem potrząsnęła głową.

- Nie, chyba nie. Może kiedyś mnie kochał, lecz teraz jest innym człowiekiem. Nie sędzę, aby wiedział, co to znaczy kochać kogoś. Nie zależy mu na niczym oprócz tytułu i bogactwa. Jest zimny i niesprawiedliwy. A ja... Sama nie wiem, czy go jeszcze kocham. Proszę, niech pani idzie. Chcę być sama - dokończyła Mary ze łzami w oczach.

Elizabeth przyglądała się smutnej postaci na łóżku. Chciała pomóc tej dziewczynie. Czuła, że musi to zrobić, że po to się tu znalazła - aby pomóc Mary i Jasonowi.

Miała tylko nadzieję, iż jej się to uda.

Potrząsnęła głową i odplynęła w stronę hebanowych drzwi. Zatrzymała się przy nich i coś sobie przypominała.

Heban dla twoich włosów i niebieski atlas dla twoich oczu - urządziłem ten pokój specjalnie dla ciebie, Beth.

Odsuwając wspomnienia Elizabeth przeplęła przez drzwi i wzdłuż korytarza.

Przedtem była zbyt zajęta Mary, żeby zwracać uwagę na otoczenie, teraz jednak rozglądała się wokół, przypatrując się domowi, którego nie widziała od dwudziestu pięciu lat.

Przenikało ją dziwne uczucie. Dom wyglądał tak, jakby się wcale nie zmienił. Ściany miały te same obicia, wisały na nich te same portrety. Zatrzymała się pośrodku korytarza i spojrzała na portret jakiejś szacownej damy. Dwadzieścia Pięć lat temu, za każdym razem, kiedy koło niego przechodziła, podnosiła dumnie głowę, nie dając się zastraszyć Jej zimnemu spojrzeniu.

Splynęła po schodach, dotykając palcami błyszczącej Poręczy z mahoniu. Żałowała, że nie czuje wypolerowanego drewna. Przypomniało jej się, jak pewnego razu Vincent Pociśnął ją do poręczy i całował wbrew jej pełnym echem protestom...

Hol był, jak zawsze, ciemny i cichy. Kiedyś zawsze szła tu na palcach, żeby jej obcasy nie stukały na marmurowej posadzce. Nienawidziła głośnego dźwięku odbijającego się echem w ponurym pomieszczeniu.

Przynajmniej teraz nie mam tego problemu, pomyślała, przepływając nad podłogą do jadalni.

W środku służba sprzątała kolację, której nikt nie jadł. Elizabeth przyglądała im się przez chwilę, ale nikt nie zauważył ani nawet nie wyczuł jej obecności. Podplynęła do portretu Vincenta.

- Jestem pewna, że to wszystko twoja sprawka - powiedziała głośno.

Namalowane zielone oczy nabrały zimnego połysku, nie było jednak żadnej odpowiedzi.

Elizabeth westchnęła i wróciła do własnego portretu, czując jak nabiera sił, wchodząc na płótno. Będzie potrzebowała dużo siły, aby zaprowadzić porządek i pokonać jedyne człowieka, którego nigdy nie udało jej się pokonać.

Następnego ranka Elizabeth gotowa była do działania. Zeszła z portretu i przeciągnęła się. Poczula się niemal tak jak za życia, tyle że teraz zamiast napiętych mięśni czuła czystą energię. Opuściła ręce, spojrzała na złotą suknię i postanowiła, że przede wszystkim musi zmienić strój. Bardzo lubiła tę suknię, nie mogła jednak codziennie nosić tej samej.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie suknię, którą zawsze chciała mieć, ale nie odważyła się jej kupić. Rozległ się lekki szelest. Elizabeth otworzyła oczy, spojrzała w dół i ucieszyła się na widok jasnoturkusowej sukni z podwyższonym stanem i z krótkimi, bufiastymi rękawkami.

Teraz musiała tylko znaleźć Jasona. Sądząc z jego zachowania, gdy Mary zemdląła, był jej najbardziej prawdopodobnym sprzymierzeńcem.

Znów zamknęła oczy i wyobraziła sobie sypialnię pana domu. Poczula dziwny zawrót głowy i szybko otworzyła oczy. Nadal znajdowała się w jadalni.

Najwyraźniej musi nad sobą popracować. Z westchnieniem wypłynęła z jadalni, przeniosła się na górę i przemierzyła szereg pokoi, nim znalazła się w sypialni pana domu.

Niestety, Jasona tam nie było. Wydawało się, że pokój w ogóle nie jest używany. Będzie musiała go poszukać.

Znów wzdychając Elizabeth wypłynęła na korytarz i zajrzała do sąsiedniego pokoju.

Zobaczyła w nim młodą, rudą dziewczynę - Beatrice, tak się ktoś do niej zwrócił poprzedniego wieczoru - pogrążoną w rozmowie ze starszą kobietą o siwych włosach i zimnych, brązowych oczach. Elizabeth zatkało z wrażenia, kiedy ją rozpoznała. To była Eugenia Farlow! A raczej lady Weldon, poprawiła się w duchu. Przypomniała sobie, że ta kobieta dążyła do poślubienia hrabiego Weldon tak uporczywie, aż było to przerażające. Nigdy jej nie lubiła. Elizabeth spostrzegła także zdumiewające podobieństwo między lady Weldon a rudowłosą dziewczyną, podobieństwo, które wynikało nie tyle z rysów twarzy, ile z takiego samego ich wyrazu.

- Jak mamie idzie z księciem? - spytała Beatrice.

- Bardzo dobrze - odparła lady Weldon. - Podczas zabawy z rękawiczką poprosiłam go, żeby wziął udział we wczorajszym zebraniu Towarzystwa Czystości w Małżeństwie. Wydaje się, że zrobiło to na nim wielkie wrażenie. Jestem pewna, iż to tylko kwestia czasu, nim mi się oświadczy. A ty, córko? Czy poczyniłaś jakieś postępy w próbach pozbycia się z Helsbury House tej... tej prostaczki?

- Niech mama się nie martwi. Zamierzam odbyć z nią małą rozmówkę podczas balu maskowego. Jestem pewna, że ucieknie z płaczem tam, skąd przybyła. I Jason będzie mój...

Elizabeth z niesmakiem wycofała się z pokoju. Musi poradzić Mary, aby trzymała się z daleka od tych dwóch harpii.

Pozostałe pokoje były puste. Elizabeth przeniosła się do następnego korytarza, gdzie znajdował się błękitny apartament, i zaczęła znów zaglądać do pokoi. Tylko jeden z nich był zajęty.

Starsza siwowłosa kobieta w różowej lizesce z falbankami, również wydała jej się znajoma, ale rozpoznanie zajęło Elizabeth więcej czasu.

Sally Parsell! Droga Sally, która stanęła po jej stronie li w najtrudniejszej chwili życia!

Elizabeth przyglądała się Sally, która zajmowała się swoimi kwiatami.

- Sally? Sally!

Kobieta nie zareagowała. Elizabeth zadrżała. Ona i Sally były w tym samym wieku. Gdyby żyła, również byłaby teraz stara i siwa.

Przeszukała pozostałe pokoje na piętrze, ale nikogo więcej nie znalazła. Przeniosła się na następne piętro i zajrzała do pierwszego pokoju.

W środku przechadzał się Vincent. Elizabeth znieruchomiała, przyglądając mu się, i po raz pierwszy odczuła szok, wynikający z faktu, iż znów go widzi. Podziwiała jego taneczny krok, sposób, w jaki elegancki surdut i bryczesy podkreślały umięśnioną sylwetkę (Vincent nigdy nie musiał wypychać spodni na łydkach,

jak niektórzy mężczyźni) i lśniące jak złoto włosy. Zawsze zazdrościła mu tych włosów.

Doszedł do końca pokoju i odwrócił się, spoglądając zielonymi oczyma spod prostych czarnych brwi wprost na Elizabeth. Przez moment w jego spojrzeniu było coś, co przeniosło ją w przeszłość, do tego wieczoru, gdy udała się do jego pokoju, po obiecany pocałunek...

Nagle wyraz twarzy Vincenta stał się zimny i odpychający.

Coś zabolalo ją w środku, ale dumnie uniosła głowę i weszła do środka.

- Dzień dobry, Vincencie.

- Co ty tu, do diabła, robisz?

Najwyraźniej nie potrafił nawet przywitać jej w cywilizowany sposób.

- Chcę porozmawiać z Jasonem. Przekonać się, jak mogę pomóc jemu i Mary.

- Naprawdę chcesz mnie nastraszyć? Tracisz tylko czas. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat ćwiczyłem i doskonalilem swe umiejętności. Nie możesz konkurować z moją mocą.

- Być może.

O dziwo, Elizabeth czuła, iż przepełniają dziwne uczucie radości. Po raz pierwszy nie musiała się martwić tym, że Vincent wywiera na nią fizyczny wpływ. Mogła mu stawić czoło na określonych przez siebie warunkach. Ta myśl dodała jej odwagi.

- Czy nie możemy przynajmniej omówić całej sytuacji jak dwa cywilizowane duchy?

Vincent spojrzal na nią podejrzliwie.

- O czym tu rozmawiać? Dziewczyna zerwała zaręczyny. Jason byłby głupi, gdyby jej teraz nie wyrzucił. Miałby przez nią jeszcze większe kłopoty niż ja przez ciebie.

Elizabeth uniosła brwi.

- Mówisz tak, jakbym była za życia jakąś podstępna ladacznica, a nie niewinna dziewiętnastoletnia panienka.

- Ty niewinna panienka? Od urodzenia umiałaś maltretować mężczyzn.

Elizabeth straciła trochę dobrego humoru i spojrzala na Vincenta ze złością.

- Z ciebie też nie był znowu taki naiwniaczek. Przypominam sobie pewną baletniczkę, z którą się całkiem otwarcie prowadziłeś. Historie o twoim hulaszczym życiu przeszły do legendy.

- To nic w porównaniu z twoimi flirtami - odparł wyciągając tabakierkę.

- Moje flirty? Zachowywałam się uprzejmie, nic więcej. Rozmowa z mężczyzną to jeszcze nie flirt.

- Owszem, kiedy kobieta wygląda tak jak ty.

- Powinam była wiedzieć, że mnie przypiszesz całą winę. Nawet na jotę się nie zmieniłeś.

Vincent z leniwym wdziękiem sięgnął do tabakierki i wziął szczyptę tabaki.

- Ty też nie. Mężczyzna czy duch, byłby szaleńcem, żeby się zadawać z kimś takim, jak ty.

- Haversham na pewno nie przyznałby ci racji. Był bezgranicznie szczęśliwy przez cały czas naszego małżeństwa... Ja zresztą też.

Vincent znieruchomiał. Zatrzasnął tabakierkę i wykrzywił usta w nieprzyjemnym grymasie.

- Nie mam wątpliwości, iż owinęłaś sobie tego lalusia wokół małego palca. Był zbyt głupi, żeby się na tobie poznać.

- Może to tylko ty byłeś zbyt głupi, aby się na mnie poznać - powiedziała cicho Elizabeth.

- Wątpię - odparł Vincent, chowając tabakierkę do kieszeni. - Nie zmieniłaś się, Elizabeth. Nadal masz języczek ostry jak brzytwa i nadal się wpychasz do męskich sypialni.

Elizabeth, boleśnie zraniona, poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Zacisnęła pięści. Koniecznie chciała rzucić czymś w Vincenta.

Grzebień z toaletki poszybował w powietrzu, przeleciał obok Vincenta i uderzył w ścianę.

Elizabeth wpatrywała się w grzebień ze zdumieniem. Czy to jej sprawka? Nigdy w życiu nie zrobiła niczego tak gwałtownego.

Zawstydzona, spojrzała przepaszająco na Vincenta.

- Przepraszam. Nie wiem, co się stało. Nie chciałam...

- Nie udawaj, że ci przykro. Zawsze wiedziałem, że nie jesteś prawdziwą damą.

Wstyd znikł i jego miejsce znów zajął gniew. Pływała po pokoju, posyłając w stronę Vincenta następne przedmioty. Po grzebieniu poleciała szczotka do włosów. Vincent uskokczył na bok.

- Zawsze byłeś ordynarnym prostakiem!

Teraz poleciał but. Vincent uniósł się w górę.

- Najbardziej gburowatym...

Kałamarz strzelił mu prosto w głowę. Vincent opadł na podłogę.

- ...bezczelnym, wstrętnym...

Przez powietrze przeleciała garść węgla. Vincent się uchylił.

- ...obrzydliwym, sarkastycznym...

Miska z wodą uniosła się w powietrze i zawisała nad Vincentem. Spojrzał w górę i zmarszczył brwi.

- Posłuchaj, Elizabeth...

- ... i zrozumiałym mężczyzną, jakiegokolwiek znałam.

Miska przechyliła się i jej zawartość wylała się Vincentowi na głowę.

W powietrzu zamigotało. Vincent błysnął i znikł.

- Vincencie!

Nie było odpowiedzi.

Elizabeth przygryzła wargi. Czyżby go zabiła? Nie, przecież nie żył od dawna, nie mogła go zabić. Czy może go zdeelektryfikowała? Ach, ten jej wybuchowy charakter! Można by przypuszczać, iż śmierć ją z tego wyleczyła, tymczasem znów znalazła się w kłopotach.

- Vincencie - szepnęła przepaszająco.

Wyciągnęła rękę w tę stronę, gdzie się przedtem znajdował.

- Tak mi przykro.

Za sobą usłyszała cichy śmiech. Cofnęła rękę i odwróciła się szybko.

Postać Vincenta, niewyraźna, ale rozpoznawalna, stała przy kominku, ze złośliwym uśmiechem na ustach.

- Jeszcze mnie nie pokonałaś, Elizabeth.

I znikł.

Elizabeth spoglądała z wściekłością na kominek, kiedy za nią otworzyły się drzwi i jakiś głos zawołał:

- Co, do diabła...

Elizabeth odwróciła się w jego stronę. Jason, z surdudem przewieszonym przez ramię, z czołem zlanym potem, jakby uprawiał jakieś męczące ćwiczenia, stał w drzwiach, spoglądając z niedowierzaniem na bałagan w pokoju.

Elizabeth uśmiechnęła się do niego.

- Przepraszam za nieporządek, Jasonie. Chciałabym z panem porozmawiać.

Jason oderwał wzrok od czarnego atramentu skapującego ze ściany i spojrzał na rozświetloną postać przy kominku.

- O czym chce pani ze mną rozmawiać? - spytał grzecznie, wkładając surdut.

Elizabeth przyglądała mu się uważnie. Był przystojnym, wysokim, ciemnowłosym mężczyzną. Może nie tak przystojny jak Vincent, lecz w dziwnie znajomym spojrzeniu szaroniebieskich oczu widać było pewną stałość, której brakowało Vincentowi.

Przypomniła jej się wieczór muzyczny w Helsbury, kiedy poszła na górę do dziecinnego pokoju z Jane Parsell, młodą żoną Gilberta. W łóżeczku czekał mały chłopiec o szaroniebieskich oczach. Objął Jane rączkami za szyję i powiedział:

- Dobranoc, mamó. Kocham cię.

Elizabeth coś ścisnęło w gardle. Myślała kiedyś, iż pewnego dnia jej własne dziecko powie to samo...

- Słucham panią.

Elizabeth spojrzała w te same szaroniebieskie oczy, starsze i bardziej cyniczne.

- Pamiętam pana - powiedziała cicho. - Jest pan synem Gilberta i Jane. Teraz jest pan hrabią Helsbury.

Jason uklonił się grzecznie.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Ale dlaczego to pan odziedziczył tytuł? Gilbert był najmłodszym bratem Vincenta. Czy żaden z pozostałych trzech braci nie miał dzieci?

- Wszyscy moi stryjowie zmarli jako kawalerowie. Dzięki Vincentowi.

- A teraz Vincent się stara, żeby i pan się nie ożenił. Dlaczego?

- Vincent nie chce, żeby hrabia Helsbury przeżywał takie cierpienia, jakie on przeszedł. Przez panią, jak twierdzi.

- Rozumiem - powiedziała Elizabeth, bawiąc się medalionikiem, który miała na szyi. - Czy słusznie mi się wydaje, że jest pan przeciwny jego działaniom?

Jason roześmiał się gorzko.

- Oczywiście. Jego działania sprawiły, że Mary zerwała zaręczyny.

Elizabeth spojrzała ze zgrozą.

- Nie może pan na to pozwolić!

- Nie zamierzam. Odmówiłem przyjęcia tego do wiadomości.

- Cieszę się, że choć jeden z hrabiów Helsburych ma dość rozsądku.

Jason uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Podeszedł do nocnego stolika i wziął czysty ręcznik. Zaczął wycierać pot z czoła, po czym przerwał i rozejrzał się ostrożnie po pokoju.

Elizabeth, która zawisała w powietrzu nad krzesłem, nie zwróciła uwagi na jego zachowanie.

- Musimy opracować plan.

Jason przestał się rozglądać po pokoju i spojrzał na Elizabeth.

- My?

- Oczywiście.

Elizabeth na próbę usiadła na krześle. Początek nie był najszcześniejszy, na krześle bowiem wylądowała jej głowa, ale ponownie uniosła się i za drugim razem udało jej się usiąść normalnie.

- Jestem tu po to, żeby panu pomóc.

- Prawdę mówiąc, nie zależy mi na tym, żeby kolejny duch wtrącał się do spraw między Mary a mną.

- To dlaczego mnie pan tu wezwał?

- Wcale pani nie wzywałem. Przynajmniej nie miałem takiego zamiaru. Miałem jedynie nadzieję, że pani portret sprawi, iż Vincent się stąd wyniesie.

- Rozumiem.

Elizabeth pomyślała, iż sądząc z niedawnej obecności Vincenta, plan Jasona nie bardzo się powiódł.

- Myślę, że powinien pan przyjąć moją pomoc.

Jason wytarł twarz ręcznikiem.

- Co pani proponuje?

- Musi pan z nią porozmawiać na osobności.

Jason zmiął ręcznik i rzucił go na stojak przy umywalce.

- Mary się na to nie zgodzi.

- Przekonam ją, a pan musi jak najlepiej wykorzystać tę szansę.

Jason zawahał się, a potem skinął głową.

- Jeśli namówi ją pani, żeby się ze mną zobaczyła, zrobię co w mojej mocy.

- Niech pan pójdzie za godzinę do ogrodu. Obiecuję, że Mary tam będzie.

Elizabeth spróbowała zniknąć tak, jak to robił Vincent, ale jej się nie udało. Westchnęła i wyszła przez drzwi.

Stanowczo będzie musiała popracować nad sobą.

Vincent z niechęcią obserwował ruch bioder Elizabeth, kiedy wychodziła. Zapomniał już, że potrafi działać na mężczyzn zmysłowymi ruchami ciała - choćby tego ranka, gdy zeszła z portretu i przeciągnęła się jak kot.

Nie wątpił, iż zrobiła to celowo, tak samo jak był pewien, że celowo zmieniła suknię na jego oczach, choć niczego nie widział, co było jeszcze gorsze.

Wcale się nie zmieniła. Nadal była prowokującą, pełną tupetu dziewczyną i nadal potrafiła go rozzłościć bardziej niż ktokolwiek inny.

Haversham by się z tobą nie zgodził. Był bezgranicznie szczęśliwy przez cały czas naszego małżeństwa... I ja też.

Vincent zamknął oczy i zacisnął pięści. Poczł znajomą pustkę...

Elizabeth kłamała. Tak samo jak przed dwudziestu pięciu laty, kiedy mu napisała, że się zakochała w Havershamie. Tamtej nocy, dwadzieścia pięć lat temu, zamierzał zmusić ją do wyznania prawdy, ale zginął.

Teraz miał nową szansę. Musiał tylko wymyślić jakiś sposób.

Sposób, aby Elizabeth przyznała, iż nigdy nie kochała Havershama.

20

Jason, stojąc na lekko rozstawionych nogach, z założonymi z tyłu rękami, przyglądał się Mary, która siedziała na kamiennej ławce, spoglądając w przestrzeń. W niebieskiej sukni, z wysoko upiętymi włosami, wyglądała jak uosobienie świętej niewinności - zupełnie inaczej niż poprzedniego popołudnia w błękitnym apartamencie.

Jason wiedział, jak te włosy wyglądają, gdy leżą rozpuszczone na poduszce, jakie są miękkie w dotyku i jak wspaniale pachną, kiedy się wtuli w nie twarz. Wiedział, jak Mary wygląda pod tą skromną suknią, jaką ma jedwabistą i różową skórę, jak wyglądają i smakuje jej piersi. Wiedział, że gdyby wziął ją teraz w ramiona i dotknął w zagłębieniu szyi, tuż pod pępkiem czy tam, gdzie rosła kępka ciemnych loków - Mary wzdychałaby i wiła się z rozkoszy. Wiedział, że nie da się jej z nikim porównać, wiedział, jak pachnie, jak smakuje i jak reaguje, kiedy kocha się z mężczyzną.

Wczorajsze popołudnie było doskonałe. Idealne. Dlaczego zatem, u diabła, wszystko tak się popsulo? Pójście do łóżka powinno było rozwiązać ich problemy. Tymczasem sprawy przybrały zły obrót.

Jason odetchnął głęboko.

- Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać, Mary. Chcę ci wyjaśnić problem z Vincentem. Usiłuje cię stąd

wystraszyć, odkąd przyjechałaś. To on popchnął mnie w ramiona Beatrice i kazał ciotce Weldon i Quimby'emu mówić te idiotyzmy. Umie zmusić ludzi, żeby mówili to, co naprawdę myślą.

Zerwał z krzaka różową różę.

- Chociaż to on zmusił mnie do pójścia do twego pokoju, ja ponoszę pełną odpowiedzialność za to, co się stało. Przepraszam cię za moje wczorajsze zachowanie, Mary. Chcę, żebyśmy doszli do porozumienia - zakończył, wręczając jej różę.

Mary przyjęła różę i jakby lekko się odprężyła.

- Ja także bym tego chciała - powiedziała, spoglądając mu w oczy. - Nic już nie rozumiem, Jasonie.

Usiadł przy niej na ławce i wziął jej rękę w swe dłonie.

- Ja też nic nie rozumiem.

- Czuję się tak, jakbym cię wcale nie znała. Nie mam pojęcia, czego ode mnie chcesz.

Jason uśmiechnął się czule.

- Chciałbym pieścić twoje piersi.

Mary zeszywniała.

- To znaczy, chcę, abyś była częścią mojego życia - rzucił prędko Jason, rozglądając się z furią dookoła.

Nie było śladu Vincenta, choć w powietrzu wisiał ciężki zapach zeschniętych, jesiennych liści. Jason odwrócił się znowu do Mary.

- Jesteś dla mnie bardzo ważna. Ważniejsza, niż przypuszczasz. Chcę się z tobą ożenić i uwielbiać cię. A najbardziej chcę cię mieć w łóżku.

Mary zachnęła się i wyrwała rękę.

- Jeśli tylko o to ci chodzi...

Wstała z ławki wściekła i urażona.

- Nie, Mary! Zaczekaj!

Jason zerwał się i złapał ją za ramię.

- Nie to chciałem powiedzieć. Chciałem powiedzieć, że chcę cię naga w łóżku i chcę całować twoje usta, piersi, brzuch i...

- Jasonie!

Pot oblał mu czoło.

- Posłuchaj, Mary - powiedział przez zaciśnięte zęby. - To Vincent. Czujesz ten zapach jesiennych liści? On każe mi mówić wszystkie te rzeczy. Pamiętasz, powiedziałem ci, że Vincent potrafi zmusić ludzi do mówienia różnych rzeczy? To samo zrobił z Quimby'm i z ciotką Weldon.

- Czuję jedynie zapach róż - stwierdziła zimno Mary. - A poza tym powiedziałaś, że Vincent zmusza ludzi, żeby mówili to, co myślą naprawdę.

Jason przeczesał palcami włosy.

- Nie o to chodzi. Chodzi o to, że moim obowiązkiem jest poślubić ciebie. Zabrałem twoje dziewictwo, Mary. Musimy wziąć ślub, czy ci się to podoba, czy nie.

- Chodzi o to, że nic się nie zmieniło. Odchodzę, Jasonie. Znużyło mnie twoje towarzystwo.

Mary, z pobladłą i zaciętą twarzą, odrzuciła różę i wyszła z ogrodu.

Gdy tylko znikła, Elizabeth w czerwonej sukni wypląnęła zza krzaka i zawisła nad ławką.

- Sfuszerował pan sprawę.

Jason pochylił się i podniósł różę, którą rzuciła Mary.

- To sprawka Vincenta - powiedział ze złością.

Elizabeth spojrzała na niego pytająco.

- Czy on naprawdę potrafi zmusić człowieka, żeby mówił coś wbrew sobie?

Jason zaczerwienił się gwałtownie.

- Nie całkiem... Ach, nie szkodzi. Mary jest wściekła. Nigdy bym nie pomyślał, że potrafi być tak uparta. Nie chce przyznać, że musimy się pobrać.

- Nic dziwnego, nie postąpił pan zbyt taktownie. Powinien pan być zachowywać się bardziej ugodowo. Prosić, żeby za pana wyszła, a nie rozkazywać jej. Każda kobieta zbuntowałaby się przeciwko takiemu traktowaniu.

- Wiem, że niezbyt dobrze to wszystko wyszło. Zdenerwowałem się. Musi ją pani przekonać, żeby mnie poślubiła.

- Zobaczę, co się da zrobić, choć na razie powinnam chyba dać jej parę godzin, żeby się mogła uspokoić. Była bardzo zła.

Elizabeth opadła na dół i usiadła na ławce.

- Tymczasem - powiedziała sucho - myślę, że powinniśmy przeciwżyć to, co jej pan powie następnym razem.

Vincent, siedzący na gałęzi nad Jasonem i Elizabeth, uśmiechnął się z satysfakcją z udanego wyczynu. Odniosł zdecydowane zwycięstwo. Roześmiał się w duchu, gdy sobie przypomniał wyraz twarzy Mary, kiedy Jason powiedział, że chciałby pieścić jej piersi. Naprawdę, powinien bardziej kontrolować swe pożądliwe myśli.

Natomiast Elizabeth... Jeśli tylko tak potrafiła pomóc, Vincent nie musiał się niczego obawiać.

Z uśmiechem na ustach pochylił głowę, żeby posłuchać, co Elizabeth mówi Jasonowi.

-... Niech ją pan zaprosi dziś wieczorem do tańca. Potem wyjdźcie na balkon. I proszę pamiętać, iż ma ją pan traktować delikatnie. Z szacunkiem...

Vincent przestał się uśmiechać. Elizabeth zawsze chciała, aby ją traktować jak królową na tronie. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, otaczał ją tłum mężczyzn - kretynów, którzy ją wielbili i błagali, żeby mogli jej służyć. Zrobił sobie zabawę z tego, żeby ją wyprowadzać z równowagi, jednakże jej zinnemu zachowaniu zaprzeczały ukradkowe spojrzenia i rumieńce, kiedy ją na nich przyłapał.

Gra bawiła go do czasu, gdy popełnił straszny błąd i pocałował ją.

Kiedy spotkał ją sam na sam na korytarzu opery, chciał tylko zażartować. Popchnął ją w zacieniony kąt, zamknął - protestując gwałtownie - w ramionach i pocałował. Początkowo zeszytywniała z oburzenia. Potem, powoli, subtelne jej ciało rozluźniło się. Objęła go za szyję i odpowiedziała pocałunkiem.

I to jak! Ziemia stanęła w miejscu, gwiazdy pospadały z nieba, a we wszechświecie wybuchła różnokolorowa tęcza. Kiedy ją puścił, nie był w stanie nic zrobić, jedynie wpatrywać się w nią z uwielbieniem.

Vincent usiadł na gałęzi. Słońce świeciło jasno na niebie, ale nie czuł jego ciepła. Było mu zimno w każdej najmniejszej cząsteczce jego istoty.

- Bardzo ładnie.

Vincent, zaskoczony, spojrzał w górę i zobaczył Elizabeth, która wisiała nad nim z założonymi rękami.

Z przyzwyczajenia natychmiast ukrył głęboko swoje myśli i przyglądał się jej z ironicznym uśmiechem, którym bronił się przed uczuciami trudnymi do określenia.

- Dziękuję - wycedził, skłaniając głowę. - Zmuszanie ludzi, żeby mówili to, co naprawdę myślą, to bardzo pożyteczna umiejętność.

- Pożyteczna, choć trochę dziecinna.

Vincent uniósł brwi.

- Dziecinna?

- Chyba przyznasz, że wszystkie te manipulacje są trochę głupawe, prawda? Dlaczego nie pozwolisz, aby Jason sam podejmował decyzje? - spytała, siadając na gałęzi naprzeciwko Vincenta.

- Ponieważ zależy mi na tym chłopcu - odparł zimno Vincent.

Czarne loki Elizabeth i jej biała cera niezwykle pięknie wyglądały przy czerwonej sukni i na tle ciemnozielonych liści. Była tak śliczna, że jej widok sprawiał mu niemal fizyczny ból.

Wymachując drobną stopką Elizabeth roześmiała się perliście.

- Zachowujesz się jak apodyktyczny ojciec. Naprawdę, musisz pozwolić Jasonowi, żeby żył własnym życiem.

Vincent przyglądał się zgrabnym kostkom, widocznym spod brzegu sukni.

- Dopóki nie wykaże się mądrością, jest to absolutnie niemożliwe.

- I tak nie wygrasz. Oni się kochają - powiedziała Elizabeth z uwodzicielskim, czarującym uśmiechem.

- Miłość to bardzo przeceniane uczucie.

- Z tobą nie da się dyskutować, prawda?

- Nie. Chyba że... - przerwał Vincent, któremu coś nagle przyszło do głowy. - Chyba że zechcesz się założyć.

- Założyć? - powtórzyła Elizabeth, marszcząc brwi. - O co?

- Jesteś pewna, że Mary i Jason się kochają. Dobrze. Jeśli uda ci się nakłonić Mary, żeby go w środę poślubiła, wygrasz i dam ci, co zechcesz.

Elizabeth zastanawiała się przez chwilę.

- Chciałabym się nauczyć tej sztuczki, żeby ludzie mówili to, co myślą.

- Nauczę cię, jeśli wygrasz zakład? Ale jeżeli przegrasz...

- To co? Szkoda, że nie mogę cię poprosić o pocałunek - odparł Vincent z prowokacyjnym uśmiechem.

Elizabeth nie dała się sprowokować.

- Co będzie, jeśli przegram? - spytała powtórnie.

- Jeśli przegrasz, odpowiesz mi na jedno pytanie i musisz przysiąc na twoją nieśmiertelną duszę, że powiesz prawdę.

- Jakie pytanie?

- Dowiesz się, jak przegrasz. Zgadzasz się na moje warunki?

- Nie wiem. Nie będziesz się wtrącać?

- Tego nie powiedziałem. Nasz zakład nie jest niczym obwarowany.

- Dobrze - odparła Elizabeth po namyśle. - Zgadzam się.

Vincent starał się nie okazać przepełniającego go triumfu.

- Doskonale. Chyba powinnaś teraz odpocząć. Zachować siły na wieczór. Jako duch musisz sobie zdawać sprawę z takich rzeczy. W jednej chwili możesz zniknąć i nigdy się już nie pojawić.

- Ach, tak? Dziękuję za ostrzeżenie. Wydaje mi się jednak, że raczej porozmawiam z Jasonem i uprzedzę go o twoich sztuczках.

Vincent z uśmiechem spoglądał za odpływającą Elizabeth. To, co powie Jasonowi, nie miało żadnego znaczenia. Jason nie potrafi nic zrobić, gdy Mary jest tak na niego wściekła.

Należałoby się jednak upewnić, czy złość Mary nie minie za szybko. Może powinien z nią porozmawiać...

Vincent przetransportował się do błękitnego apartamentu, wiedząc, że czeka tam na niego niesprzyjająca siła.

Mary chodziła po pokoju. Vincent obserwował ją, niewidzialny dla jej oczu. Wyglądała na rozgniewaną, choć na policzkach widział ślady łez.

- Dzień dobry - powiedział Vincent, przybierając ludzką postać.

Mary odwróciła się, zaskoczona,

- To pan?

- Najwyższy czas, żebyśmy się poznali, nie sądzi pani?

- Nie, nie sądzę - powiedziała, stając przed nim z założonymi na piersiach rękami. - Nie życzę sobie znać pana.

Vincenta rozgniewało jej niegrzeczne zachowanie, mimo to uśmiechnął się.

- Rozumiem pani uczucia. Chciałem tylko przeprosić.

- Proszę nie udawać, iż jest panu przykro! - warknęła. - Przez cały czas o to panu właśnie chodziło. Powinien pan być teraz bardzo zadowolony. Razem z Jasonem możecie się rozkoszować waszą arogancją i zarozumiałstwem, wreszcie uwolnieni od szkodliwych wpływów kobiet. Nie mam pojęcia, jak z nim tak długo wytrzymałam.

Vincent zgrzytnął zębami. Panna Mary Goodwin nie była tak słodką istotą, jak mu się zdawało i potrafiła mieć bardzo zły humor.

- Ja także jestem zaskoczony pani tolerancją - powiedział uspokajająco.

- Nie pozwolę się tak dłużej traktować - stwierdziła ze złością Mary, ocierając łzę z policzka. - Zbyt spokojnie przyjmowałam obraźliwe zachowanie Jasona.

- Była pani niezwykle cierpliwa - przyznał Vincent. - I za bardzo uступliwa. Wiem, że nie chciałaby pani wyjść za kogoś, kto zaproponował pani małżeństwo wyłącznie z poczucia obowiązku.

- Z poczucia obowiązku? - powtórzyła Mary.

- Tak, żeby mieć dziedzica. Chyba to pani nie dziwi - powiedział, patrząc na nią z udawanym zaskoczeniem. - A przynajmniej musiała pani coś podejrzewać. Czyż nie było dziwne to, że zaproponował pani małżeństwo zaraz po tym, jak się dowiedział, że odziedziczył tytuł hrabiowski?

Mary przygryzła wargę. Nie, wtedy nie uważała tego za coś dziwnego. Była zadowolona, ucieszona, zachwycona. Teraz pomyślała, że może rzeczywiście nie było to całkiem normalne. Zrobiło jej się trochę niedobrze. Obowiązek!

- Jestem pewien, iż Jason uważał, że będzie pani doskonałą żoną, przynajmniej w łóżku. Po tym, jak wyrwał panią z ciężkiego życia, mógł przecież oczekiwać trochę wdzięczności.

- Wdzięczności? - zawołała pobladła Mary. - Jak śmiać?! Nie zniosę dłużej jego obraźliwego zachowania.

Vincent z fałszywym współczuciem pokiwał głową.

- Zatem wyjedzie pani jutro rano?

- Och, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Skoro zerwałam zaręczyny, to chyba powinnam wyjechać. Nie chcę tu być ani chwili dłużej, niż się to okaże konieczne. Byłabym wdzięczna, gdyby pan sobie poszedł. Pańskie towarzystwo także mi nie odpowiada.

Mimo satysfakcji z odniesionego sukcesu Vincent zeszywniał z obrazy. Skłonił się lekko i wyszedł na korytarz. Przez chwilę ze złością spoglądał na hebanowe drzwi. Potem gniew znikł i na jego wargach ukazał się uśmiech.

Jutro wyjedzie. Nie ma szans na pogodzenie.

Wreszcie, wreszcie otrzyma odpowiedź na pytanie, które gnębiło go od dwudziestu pięciu lat.

Jason, przebrany za rojalistę w pełnym rynsztunku, ze szpadą i w peruce, przywitał grubego greckiego bożka i podstarzałą Marię Antoninę. Para przeszła naprzód, do innych poprzebieranych gości wypełniających hol. Jason poprawił niebieski, wyszywany złotem surdut, odgarnął z twarzy długie, irytujący

lok i skrzywił się z niezadowoleniem.

Nie znosił tego idiotycznego przebrania, jakie hrabiowie Helsbury tradycyjnie wkładali na bal maskowy. Zapinane na sprzączki buty na wysokich obcasach i koronkowe żaboty przy kołnierzu i przy rękawach strasznie go złościły, a peruka z masą długich loków w kształcie kiełbasek doprowadzała wprost do szału.

I w dodatku Mary wciąż się nie zjawiała, choć goście przybywali już od godziny.

Beatrice, przebrana za turecką księżniczkę, z welonem, który odsłaniał tylko jej oczy, przytuliła się do jego boku.

- Mam nadzieję, że Mary nie jest chora. Ciekawa jestem, czy wie, iż powinna stać tutaj i witać gości. Na szczęście mogę ją zastąpić.

Elizabeth, wisząca w powietrzu za Jasonem, spojrzała na nią ze złością.

- Nie cierpię tej dziewczyny - syknęła mu do ucha. - Nie może się pan jej pozbyć?

Jason, nie zwracając uwagi na żadną z nich, powitał następnych gości.

Elizabeth westchnęła.

- Chyba nie. No, cóż - dodała, poprawiając czerwoną spódnicę Cyganki - niech pan tylko pamięta, żeby poprosić Mary do tańca, a potem zabrać ją na krążganek. Proszę być miłym i cierpliwym. I niech pan ją przeprosi. Koniecznie.

- Dobrze - mruknął Jason.

Przywitał kilkoro następnych gości, po czym powiedział pod nosem:

- Jeśli przyjdzie.

Lady Weldon, przebrana za podstarzałą Afrodytę, odwróciła się do niego.

- Jeśli kto przyjdzie? Czy masz na myśli Mary? Beatrice ma rację, Jasonie. Zachowanie Mary jest szokujące. Absolutnie szokujące. Powinna była zejść na dół godzinę temu.

- Przecież wiesz, mam, że Mary nie ma pojęcia o swych obowiązkach - powiedziała Beatrice. - Musimy cierpliwie znosić jej wulgarne, żalosne maniery. Wiesz, jak bardzo lubię Mary - dodała, uśmiechając się słodko do Jasona. - Wybaczyłam jej nawet to, że mnie uderzyła lotką przy grze w wolanta.

- Wygląda na to, że wszyscy goście już są - mruknął Jason. - Musimy przejść do sali balowej.

Odwrócił się, żeby odejść, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Podniósł głowę i zobaczył Mary u szczytu schodów.

W holu zapadła cisza.

Mary schodziła wolno, w cienkiej jak pajęczyna złotej sukni, podobnej do tej z portretu Elizabeth, świecącej i migocącej w blasku świec. Jednakże Elizabeth nigdy nie wyglądała tak zmysłowo i tak wspaniale.

Jason nie mógł oderwać od niej wzroku. Sposobu, w jaki się poruszała - z wyprostowanymi ramionami, kołysząc biodrami - tym razem nie skrywały obfite spódnice i luźne suknie, jakie zwykle nosiła. Zarys nóg, okrągłe piersi i biodra były prowokacyjnie widoczne. Mary, jak gdyby wiedząc, że wywiera niecodzienne wrażenie na patrzących, uśmiechała się w zdumiewająco uwodzicielski sposób.

Z pewnym wysiłkiem Jason przeniósł wzrok na złotą tiarę, wysadzaną brylantami, błyszczącą we włosach Mary. Dzięki fryzurze, składającej się z masy loków upiętych wysoko z tyłu głowy, widać było olśniewająco długą szyję, ramiona i piersi, których nie okrywał nawet pojedynczy sznur pereł. Lekki materiał, tak cienki, że widać było brodawki, przylegał do piersi w ekscytujący sposób...

Jason rozejrzał się wokół i zobaczył, że inni mężczyźni również gapią się na Mary, nie tylko z uprzejmym uśmiechem na ustach, lecz także z pożądlivym wyrazem oczu.

Jason podszedł do schodów i chwycił Mary za ramię, gdy zeszła na dół.

- Cóż to za pomysł z tą suknią? - warknął.

- Nie podoba ci się? - odparła pytaniem na pytanie Mary.

- Nie, wyglądasz jak ulicznica.

Jego ostry komentarz zabolął Mary. W głębi duszy, pewno naiwnie, spodziewała się, że suknia spodoba się Jasonowi. Jej ból, połączony z poczuciem winy i nieszczęścia, które gnębiło ją przez cały dzień, przekształcił się nagle w gorący, pulsujący gniew. Zaciśnęła pięści, walcząc z chęcią uderzenia go w twarz.

- Elizabeth nosi takie suknie. Moja matka również nosiła takie suknie - powiedziała zimno. - Nie ma w niej nic nieprzyzwoitego.

Ruszyła przed siebie, ale Jason odciągnął ją na bok.

- Suknia Elizabeth nigdy tak jej nie oblepiała. Przypuszczalnie dlatego, że nie przyszłoby jej do głowy nie nosić nic pod spodem. Zachowujesz się bezwstydnie.

- Ja? Ja się zachowuję bezwstydnie? - zawołała Mary, wyprostowując się na całą wysokość. - Nie rozśmieszaj mnie. Nie będę znosić twojego bezczelnego, aroganckiego zachowania ani chwili dłużej. Jutro wyjeżdżam.

- Co?!

- Wyjeżdżam rannym pociągiem do Liverpoolu. Pierścień Helsburchy leży na mojej toalecie. Może uda ci się znaleźć jakąś inną narzeczoną.

Odwróciła się na pięcie i poszła w stronę sali balowej, skąd dobiegały ją tony walca.

- Masz bilet? - usłyszała za sobą zniechęcony głos.

Mary zatrzymała się. Gdy przyjeżdżała do Helsbury House, dostała od Jasona tylko bilet w jedną stronę. Powoli odwróciła się w ku niemu.

- Nie, ale na pewno zwrócę ci pieniądze, jeśli kupisz mi bilet.

- Nie.

- Nie chcesz, abym ci oddała pieniądze?

- Nie kupię ci biletu.

Mary zatkało z oburzenia.

- Co zamierzasz zrobić? Przykuć mnie do ściany w lochu?

- Niezły pomysł - powiedział Jason, obrzucając ją zimnym spojrzeniem.

Nim Mary zdążyła cokolwiek powiedzieć, podeszły do nich lady Weldon i Beatrice.

Lady Weldon spojrzała z niesmakiem na suknię Mary.

- Powinieneś być zadowolony, Jasonie, że Mary zerwała zaręczyny. Wątpię, czy kiedykolwiek nauczy się odróżniać rzeczy gustowne od wulgarnych. Najwyraźniej nigdy nie będzie się zachowywać jak prawdziwa hrabina, co mnie specjalnie nie dziwi. Dziewczęta takie jak Beatrice przez całe życie przygotowują się do podobnych obowiązków.

Słowa lady Weldon uderzyły w Mary niczym ostre kamienie. Przez moment nie była w stanie odetchnąć. Po chwili jednak wyprostowała się i powiedziała z uśmiechem:

- Rzeczywiście, widzę, iż trzeba całego życia, aby się nauczyć, jak postępować z bezczelnymi, złośliwymi, głupimi ludźmi. A teraz proszę mi wybaczyć. Widzę, że jest tu Cecil, chciałabym z nim porozmawiać.

Nie zwracając uwagi na wściekłe spojrzenie lady Weldon, Mary odwróciła się i podeszła do grupy mężczyzn, stojących przy drzwiach do sali balowej.

Cecil, przebrany za świętego Jerzego, w kolczudze z czerwonym krzyżem, spojrzał na nią z zachwytem.

- Pięknie wyglądasz, Mary.

- Czarująco - dodał książę Stafford, obciągając ciasny czerwony surdut kostiumu admirała Nelsona. - Takie suknie były bardzo popularne w czasach mojej młodości. Są znacznie ładniejsze niż to, co każe się dzisiaj nosić kobietom.

- Dziękuję, wasza wysokość - powiedziała Mary trzepocząc rzęsami. - Cieszę się, że moja suknia się panu

podoba. Jasonowi się nie podobała - dorzuciła, oglądając się przez ramię.

- Ech, Helsbury, zawsze miałaś staromodne poglądy - zawołał księżę do Jasona, który stał sztywno parę metrów dalej. - Piękne kobiety powinny nosić piękne suknie. Tańce już się zaczęły, moja droga. Czy zaszczytnie mnie pani? Chciałbym porozmawiać z panią o ustawie dotyczącej reformy systemu wyborczego. Zastanawiałem się nad tym, co pani kiedyś powiedziała...

Vincent, marszcząc brwi, poszedł za Jasonem, który podążał za księciem i Mary do sali balowej. Jason oparł się o kolumnę przy drzwiach i założył ręce na piersiach, wpatrując się wściekłym wzrokiem w księcia i Mary, którzy ruszyli do tańca.

Vincent także spojrzął na Mary, która tańczyła, uśmiechając się i kiwając głową. Wygląd Mary zaszokował go tak samo, jak Jasona. Mary nie była tak piękna jak Elizabeth, lecz robiła zaskakująco zmysłowe wrażenie.

- Jest bardzo ładna, prawda? - szepnął mu do ucha znajomy, prowokujący głos.

Odwrócił się i zobaczył Elizabeth z uśmiechem na kuszących ustach. Zapominając o Mary, wpatrywał się w kobietę, którą niegdyś zamierzał poślubić, podziwiając jej długie, czarne rzęsy i błyszczące, ciemnoniebieskie oczy. W wystrzępionym, czerwonym cygańskim kostiumie, z czarnymi lokami na ramionach, wyglądała niesłychanie młodo i niewinnie. Coś ścisnęło mu się w miejscu, gdzie kiedyś miał serce.

Nim do końca zdał sobie sprawę z tego, co robi, uklonił się i poprosił Elizabeth do tańca.

Spojrzała nań ze zdumieniem.

- Chcesz ze mną zatańczyć? Czyżbyś coś knuł? - spytała podejrzliwie.

- Ależ skąd. Po prostu w dzisiejszych czasach nie mam zbyt wielu okazji do tańca, zwłaszcza z tak wdzięczną partnerką.

Pociągnął Elizabeth na parkiet. Niemal jej nie dotykał, czuł jednak pulsowanie jej aury i ciepło otaczającej ją poświaty.

- Jesteś lekka jak powietrze.

- Komplement, Vincencie? Nie poznaję cię.

- Dlaczego nie mielibyśmy omówić warunków przegranej w miły sposób?

- A zatem jesteś gotów się poddać, Vincencie?

Vincent z uśmiechem potrząsnął głową.

- Daj spokój. Zobacz, co się dzieje. Mary zeszła na dół dziesięć minut temu, a już zdążyli, się pokłócić. Poddaj się, Elizabeth.

Jej śmiech zagłuszył na chwilę muzykę.

- Och, Vincencie, nie widzisz, jak Mary wygląda? Jason nie będzie w stanie się jej oprzeć.

Vincent przyglądał się kobiecie, którą trzymał w ramionach, wirując wokół rozświetlonego żyrandola.

- Może masz rację. Ja z pewnością nie mogłem oprzeć się tobie. Pamiętasz? - powiedział, mocniej przyciągając ją do siebie. Ich aury zmieszały się i zaiskrzyły. - Pamiętasz, jak przyszedłem do twojego pokoju po balu maskowym i kochaliśmy się? Kochaliśmy się długo, powoli i wspaniale, a tobie wciąż było mało. Z radością spełniłem twoje pragnienie. Kochaliśmy się godzinami, a ty nadal błagałaś...

Policzki Elizabeth zrobiły się intensywnie czerwone, lecz mimo to spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak jak mówiłam, Jason nie potrafi jej się oprzeć. - Muzyka umilkła, Elizabeth cofnęła się o krok. - A teraz przepraszam cię, ale chciałabym porozmawiać z Jasonem i podsunąć mu kilka pomysłów.

Vincent przyglądał jej się z niepokojem, kiedy płynęła w stronę Jasona, a później zwrócił wzrok na Mary. Stała pośrodku grupy mężczyzn, śmiejąc się i flirtując ze zdumiewającą łatwością. Mężczyźni, z uśmiechem na ustach i z podziwem w oczach, uważnie słuchali jej słów.

Vincent był coraz bardziej zaniepokojony. Elizabeth miała rację. Przez cały ten czas nie doceniał Mary, co

się teraz dobitnie okazało. Cienka, złota, suknia była dowodem na to, jak bardzo Mary jest niebezpieczna. Jason na pewno zrobi wszystko, aby ją zatrzymać. Chyba że on, Vincent, wymyśli coś, co na zawsze usunie Mary spoza zasięgu Jasona.

Wyjął tabakierkę i otworzył wieczko. Wziął szczyptę tabaki w palce, nadal nie spuszczać oczu z grupy mężczyzn, wśród których znajdowała się Mary.

W pewnym momencie mężczyzna przebrany za świętego Jerzego pochylił się i szepnął coś Mary. Uśmiechnęła się i bez słowa kiwnęła głową. Vincent spojrzał na mężczyznę.

To był Cecil. Spoglądał na Mary z troską.

Vincent, podnosząc do nosa szczyptę tabaki, zawahał się na chwilę. Spojrzał na Mary, a potem znów na Cecila, na jego zdenerwowaną twarz.

Z namysłem zażył tabaki.

Cecil i Mary.

Może się uda...

Księżę mówił i mówił monotonnym głosem, a Mary uśmiechała się i kiwała głową, nie słysząc ani słowa. W uszach brzmiały jej wciąż słowa lady Weldon:

Nigdy nie potrafi się zachować jak prawdziwa hrabina.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak bardzo ją to zraniło. Wcale nie chciała zostać hrabiną. Czowała jednakże, iż to, co powiedziała lady Weldon ma jakieś znaczenie.

Przesunęła dłonią po oczach. Musi pozbyć się tych melancholijnych myśli i pomyśleć, co będzie robić po opuszczeniu Helsbury House.

Mogłaby wrócić do brata, ale nie chciała być mu ciężarem. Może pani Cooper przyjmie ją z powrotem? Mary była pewna, iż jej pracodawczyni nie miałaby nic przeciw temu. Oczywiście, nigdy nie mogłaby opowiedzieć, co się jej tu przydarzyło. Musiałaby zachować w najskrytszej tajemnicy fakt, że jest kobietą upadłą. Co nie powinno być zbyt trudne, chyba że...

- Mary - szepnął jej ktoś do ucha.

Odwróciła się do Cecila, który przyglądał jej się z niepokojem.

- Czy na pewno dobrze się czujesz? Trochę mizernie wyglądasz.

Mary nie mogła już dłużej udawać.

- Niezbyt dobrze się czuję - powiedziała, czując palące łzy pod powiekami. - Muszę chyba wyjść na powietrze.

Podzwaniając koczugą Cecil przeprowadził ją przez zatłoczoną salę balową na krużganek. Mary usiadła na kutym z żelaza krześle poza kręgiem światła wpadającego z wnętrza domu. Odetchnęła głęboko chłodnym, pachnącym jaśminem powietrzem i starała się opanować.

Cecil usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

- Powiedz mi, co się stało, Mary.

Z sali balowej dobiegała taneczna muzyka, z ogrodu - dźwięk świerszczy. Opanowało ją przemożne pragnienie, aby się komuś zwierzyć. Spojrzała na pociągniętą twarz Cecila, w jego zaniepokojone piwne oczy.

- Nie wiem, co robić - przyznała ze ściśniętym od łez gardłem. - Popeliłam coś bardzo głupiego. Ja... pozwoliłam się skompromitować.

Cecil zacisnął palce na jej dłoni.

- Jasonowi?

Mary kiwnęła głową.

- Wiem, że głupio zrobiłam. Miałam co do niego mieszane uczucia, a pozwoliłam mu się kochać. Teraz

jestem skończona.

W oczach Cecila zabłyśł gniew.

- Jasona powinno się zastrzelić.

- To nie była jego wina. Ja nie powiedziałam mu „nie”.

- W ogóle nie powinien był tego proponować. Jest pani za bardzo tolerancyjna. Mary. Jason nie jest dżentelmenem.

- Niech pan tak nie mówi, Cecilu. Nie chcę być przyczyną waśni między panem a pańskim kuzynem. Nie chodzi o mnie, lecz... Ach, co zrobię, jeśli będzie dziecko? - Mary jednym tchem wyrzuciła z siebie największy strach, który opadł ją zaledwie godzinę wcześniej. - Nie mogę znieść myśli, że musiałabym wychowywać dziecko w takich warunkach.

Cecil wziął ją za drugą rękę.

- Co mogę dla pani zrobić? - spytał bezradnie.

Mary uśmiechnęła się doń przez łzy. Był taki miły. I spoglądał na nią z takim niepokojem, z taką troską...

Nagle wyraz twarzy Cecila zmienił się, powieki mu opadły, rysy twarzy zaostrzyły się, ramiona cofnęły. Ciepły, lekko wilgotny dotyk jego dłoni zrobił się lodowato zimny.

- Może jednak mógłbym coś zrobić.

Nawet jego głos brzmiał inaczej. Był niższy, bardziej arogancki. Słowa Cecila odwróciły uwagę Mary od zmian w jego wyglądzie i zachowaniu.

- Jak mógłby mi pan pomóc? - spytała, znów niebezpiecznie bliska łez.

- Mógłbym się z panią ożenić.

Łzy Mary znikły. Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Zrobiłby pan to dla mnie?

Promień światła wydobył zielony błysk z piwnych oczu.

- Dla pani i... dla Jasona. Już od dawna miałem wrażenie, że nie jesteście sobie przeznaczeni, i wiem, że on czuje to samo. Jednakże jego poczucie honoru nigdy nie pozwoliłoby mu na zerwanie zaręczyn, zwłaszcza po tym, jak panią wykorzystał.

- Poczucie honoru? - szepnęła Mary z niedowierzaniem.

- Tak jest. Nie może zerwać zaręczyn ani pani na to pozwolić, dopóki ktoś inny nie weźmie pani pod opiekę.

- Rozumiem. To bardzo miło z pana strony, ale nie mogę się zgodzić. Muszę obstawać przy swojej decyzji.

- A co z dzieckiem? - spytał Cecil, dziwnie napiętym tonem. - Musi pani wyjść za mąż. Nie chce pani przecież skrzywdzić niewinnego dziecka, prawda?

- Nie - odparła wolno Mary. - Może jednak byłoby lepiej, gdybyśmy zaczekali i przekonali się, czy dziecko będzie, czy też nie.

Cecil potrząsnął głową.

- Sama pani wie, jacy są ludzie. Lubią liczyć na palcach. I choć jestem zdecydowany żeby wziąć na siebie odpowiedzialność za dziecko, to wolałbym uniknąć sytuacji, kiedy wszyscy będą wiedzieli, iż nie jest moje. - Mary spojrzała na niego, a Cecil wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że nie uważa mnie pani za egoistę, Mary.

- Nie, oczywiście, że nie - stwierdziła Mary z wymuszonym uśmiechem. - Jest pan nadzwyczaj uprzejmy i wielkoduszny.

Zaczynała boleć ją głowa. Brylantowy diadem był strasznie ciężki. Mary chciała postąpić tak, jak należy, ale zupełnie nie miała pojęcia jak. Nie mogła przecież wykorzystywać obcego mężczyzny i wychodzić za niego dla własnej korzyści. W normalnych warunkach nigdy nie brałaby tego pod uwagę. Ale jeśli miałyby dziecko...

- Dobrze - powiedziała żałośnie. - Wyjdę za pana.

Oczy zabłyśły mu w ciemności.

- Nie będzie pani tego żałować. Mary - rzekł z uśmiechem i otoczył ramieniem jej kibić. - I na pewno nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żeby przypieczętować naszą umowę pocałunkiem.

Wcale tego nie chciała. Wszystko w niej protestowało, ale jak mogła odmówić? Skinęła głową.

Zamknął jej usta swoimi wargami. Oczekiwała lekkiego, przyjacielskiego pocałunku, tymczasem jego usta były zuchwałe i pożądliwe. Mary poczuła obrzydzenie - Cecil całował zbyt rutynowo, zbyt dobrze, zbyt obojętnie.

Usiłowała się wyrwać z jego objęć, lecz Cecil zdumiewająco silnym ramieniem mocniej przycisnął ją do siebie. Kolczuga wbiła jej się w skórę.

Walczyła bezskutecznie.

Zaczęła już się naprawdę denerwować, gdy nagle ktoś oderwał od niej Cecila. Mary, oddychając gwałtownie, spojrzała w górę i znów zaparło jej dech.

Przed nią, trzymając Cecila za kołnierz, stał Jason.

I spoglądał na nią morderczym wzrokiem.

22

Jasonie!

Ledwo rzucił na nią okiem. Zbyt był zajęty duszeniem Cecila. Przyciskając mniejszego od siebie mężczyznę do kamiennej balustrady, mocniej złapał go za gardło.

Mary podskoczyła i chwyciła go za ramię.

- Przestań, Jasonie! Zwariowałeś?!

- Nie! - warknął przez zaciśnięte zęby. - To Cecil zwariował, chcąc zabrać mi to, co jest moje.

Mary zeszywniała, rozluźniając uścisk.

- Czyżbyś zapomniał, że zerwałam nasze zaręczyny? Nie masz prawa się wtrącać. Puść go!

- To ty zapomniałaś, że nie przyjąłem twej decyzji do wiadomości.

Jason odwrócił się w jej stronę i mimo woli zwolnił uścisk dłoni na gardle Cecila. Cecil walnął go w żołądek. Jason, zaskoczony, jęknął z bólu i puścił rywala.

- Dobrze się pan czuje? - zawołała Mary podbiegając do Cecila.

Kiwnął głową i Mary odwróciła się z gniewem do Jasona, który poprawiał koronki przy mankietach.

- To ja nie przyjmuję twoich słów do wiadomości. Wychodzę za Cecila.

Jason znieruchomiał.

Cecil roześmiał się i Mary spojrzała nań ze zdumieniem. Nigdy przedtem nie śmiał się w ten sposób.

- Tym razem masz pecha, chłopcze.

Jason szeroko otworzył oczy, a potem je zmrużył.

- Chyba się mylisz... staruszk. Ożenię się z Mary i ty na pewno mnie nie powstrzymasz. Przegrałeś - dodał ciszej. - Dlaczego nie chcesz przyjąć tego do wiadomości i pójść sobie stąd?

- Ja nigdy nie przegrywam. Powinieneś to dobrze zapamiętać.

Jason zignorował zawołaną groźbę.

- Nie pozwolę ci się z nią ożenić.

- Jak chcesz mnie powstrzymać?

Jason dotknął palcami rękojęści szpady.

- Jeśli trzeba, będę z tobą walczył.

Cecil znów się roześmiał.

- Myślisz, że możesz mnie zabić?

- Myślę, że mogę cię stąd wyrzucić.

- A zatem co to będzie? - spytał Cecil z uśmiechem. - Szpady?

- Jak sobie życzysz. Czy przejdziemy do pokoju szermierczego?

- Po co iść tak daleko? W jadalni też są szpady.

Jason z ponurą miną przeszedł do ukrytych w cieniu drzwi na końcu krużganka i wszedł do domu. Kilka kroków za nim podążał Cecil.

Mary stała nieruchomo, przypominając sobie szermierczy pojedynek - Jason bezlitośnie atakował Cecila, a szpady tylko fruwały w powietrzu.

Och, Boże, tylko nie to.

Pospiesznie pobiegła za Jasonem i Cecilem. Przeszła przez drzwi i znalazła się w kompletnej ciemności. Zrobiła krok naprzód i uderzyła w jakiś mebel. Wyciągnęła rękę, żeby wykorzystać go jako punkt orientacyjny, i rozległ się dźwięk pianina. Cofnęła rękę i wbiła wzrok w atramentową ciemność, starając się cokolwiek zobaczyć.

Nadal nic nie widziała, jednakże wiedząc, iż jest w pokoju muzycznym, wymacała przed sobą drogę w kierunku wyjścia. Wpadła na kilka krzeseł, ale udało jej odnaleźć drzwi. Westchnęła z ulgą i weszła do jasno oświetlonego holu, skąd przeszła do jadalni, gdzie Jason i Cecil zapalali właśnie świece w kinkietach na ścianach i w kandelabrze na stole. Podeszła do Jasona i złapała go za ramię.

- Oszalałeś?! - zawołała. - Cecil nie jest dla ciebie przeciwnikiem. Przestań natychmiast albo poproszę innych gości o interwencję.

Jason strząsnął jej rękę.

- Jeśli to zrobisz, umówimy się na kiedy indziej. Nie wtrącaj się, Mary.

Ściągnął z głowy perukę i rzucił ją na ziemię. Odpiął od pasa ozdobną szpadę, a potem zdjął surdut i kamizelkę, zostając w bryczesach, pończochach do kolan i w koszuli z koronkami. Zdjął ze ściany szpadę, która wisiała pod portretem Vincenta, i odwrócił się do Cecila.

- Gotów?

- Prawie.

Mary spojrzała na Cecila. Kolczuga leżała na podłodze u jego stóp i Cecil miał na sobie tylko zwykłą lnianą koszulę sięgającą do bioder i rajtuzy. Przeszedł przez pokój i zdjął ze ściany drugą szpadę. Przyłożył czubek do ściany i, nie przejmując się ozdobnym obiciem, naciskał tak długo, aż szpada wygięła się w półkole.

- Doskonale - stwierdził i ciął powietrze. - Umawiamy się, że Mary przypadnie zwycięzcy, czy tak?

Nie zwracając uwagi na oburzony okrzyk Mary, Jason skinął głową.

- *En garde.*

- *En garde.*

Skrzyżowali szpady w szybkim pozdrowieniu i cofnęli się lekko.

Mary załamała rękę.

- Jasonie... Cecilu...

Cecil zaatakował.

Jason sparował ze zdumiewającym refleksem. Cecil znów zaatakował, ale Jason zrobił unik i ostrze stłukło szklane drzwiczki kredensu z porcelaną.

Cecil wyciągnął szpadę i odwrócił się do przeciwnika. Znów zaatakował, zmuszając Jasona, aby się cofnął

do końca pokoju.

Mary przyglądała się ze zdumieniem i z przerażeniem. Myślała, że Jason rozbije w pył Cecila. Tymczasem Cecil okazał się godnym przeciwnikiem. Mary zamknęła oczy. Nie zniosłaby tego, gdyby któryś z nich został ranny.

Otworzyła oczy słysząc głośnie trzask.

Cecil machnął szpadą po bufecie zrzucając na podłogę beczenny serwis do herbaty, który rozbił się w drobny mak.

Mary krzyknęła, ale mężczyźni nie zareagowali. Zaczęła bać się o Jasona. Cecil walczył jak człowiek opętany, z furią machając szpadą. Uderzenia stali o stal stawały się coraz głośniejsze, wreszcie Mary zatkała uszy rękami. Jason mógł się tylko bronić.

W tym samym momencie, gdy o tym pomyślała, Jason nagle zaatakował Cecila.

Vincent odskoczył, ledwo unikając śmiertelnego ostrza. Zaklął w duchu. Spodziewał się, że pójdzie mu łatwiej. Zapomniał, jak ciężkie jest ludzkie ciało, gdyż zdążył się już przyzwyczaić do swej nieważkości. Poruszał się ociężale, niezręcznie, powoli, a wysiłek związany z kontrolowaniem ciała Cecila zjadał całą energię.

Musiał jednak wytrzymać. Jeśli wygra ten pojedynek, Mary przestanie być zagrożeniem. Spojrzał na nią kątem oka - stała w kącie, zakrywając uszy rękami. Kiedy odjedzie, wszystko znów będzie tak, jak przed jej przyjazdem, tak jak przez ostatnie dwadzieścia pięć lat.

Vincent strząsnął krople potu z czoła i zrobił krok w tył, żeby odetchnąć. Jednocześnie roześmiał się, aby zamaskować swą słabość.

- Poddaj się, Jasonie. Nie wygrasz. Będziesz bez niej szczęśliwszy. Nie bądź głupcem.

- Jedyną głupią rzeczą, jaką zrobiłem, było słuchanie się siebie. Odkąd tu przybyłem, mówiłeś mi, co mam zrobić, co mam powiedzieć, co mam myśleć. Jak imbecyl pozwoliłem ci sobą rządzić. Nie będę tego dłużej tolerował, stryju.

- Ty niewdzięczny szczeniaku, beze mnie byłbyś przypadł!

- Jakoś bym sobie poradził. Od tej chwili sam będę decydował, czego chcę i z kim się ożenię, a ty będziesz musiał to zaakceptować.

- A jeśli odmówię?

- Będziesz musiał odejść.

Vincent znów się roześmiał.

- Nie sądzisz chyba, że potrafisz mnie pobić, bratanku. Jestem najlepszym szermierzem w całej Anglii. W końcu jestem hrabią Helsbury.

- Nie - stwierdził Jason, nie spuszczać z niego wzroku. - To ja jestem hrabią Helsbury.

Vincent poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Pchnął szpadą, ale Jason łatwo go zablokował.

- Myślisz, że nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi? - powiedział Jason, zasłaniając się przed kolejnym atakiem. - Myślisz, że nie wiem, dlaczego wciąż się tu czaisz? Dlatego, że wiesz, iż popełniłeś błąd. Gdybyś nie był taki głupi, nadal byś żył. Chciałeś mieć absolutną władzę i zrezygnowałeś ze wszystkiego, nawet z kobiety, którą kochałeś.

Vincent znieruchomiał. Zrezygnowałeś ze wszystkiego, nawet z kobiety, którą kochałeś...

Słowa odbijały mu się echem w głowie. Przeszył go nagły ból, który sprawił, iż nie mógł odetchnąć.

Zrezygnowałeś ze wszystkiego, nawet z kobiety, którą kochałeś.

Ogarnęła go straszna furia. Wściekłość wypełniła mu żyły, wypierając stamtąd całą słabość i niezręczność.

Zaatakował gwałtownie, machając szpadą wokół siebie.

Jason obronił się w ostatniej chwili i wrócili do stołu.

- Wydaje mi się - powiedział Vincent przez zaciśnięte zęby - że być może zasługujesz jednak na to, żeby umrzeć...

Walka przybrała śmiertelny obrót.

Jason parował pchnięciem za pchnięciem, ale był coraz słabszy, coraz trudniej się koncentrował. Żałował, że musi zrobić to, co musi.

Mimo swych wcześniejszych słów wiedział, że trudno byłoby mu sobie poradzić bez Vincenta. Duch był dla niego prawie jak ojciec. Nie chciał, żeby wszystko tak się skończyło, nie miał jednak wyjścia. Vincent rządził stanowczo za długo. Ktoś musiał go powstrzymać i to zadanie przypadło Jasonowi.

Grał na zwłokę, czekając na okazję. Kiedy Vincent potknął się o perukę na podłodze, Jason skorzystał i pchnął szpadę.

Jego przeciwnik zrobił unik i ostrze Jasona uderzyło w portret Vincenta, przebijając jego prawe ramię.

Vincent złapał się za ramię. Pot spływał mu z czoła i zalewał nienaturalnie bladą twarz. Z trudem chwycił powietrze, ale nadal się uśmiechał.

- Nawet jeśli mnie zabijesz, nic się nie zmieni. Mary nie dba o ciebie.

- Nie masz pojęcia o jej uczuciach - powiedział Jason, starając się ukryć ogarniające go osłabienie.

- Czyżby? Czy wiesz, jak słodko mnie pocałowała, kiedy myślała, że jestem Cecilem? Czy wiesz, jak wpijała mi się w usta? Jak się do mnie przyciskała? Jakby mnie błagała, żebym...

Słabość Jasona znikła. Wykrzywił usta i skoczył na przeciwnika.

Vincent zrobił krok w bok. Jason, niezdolny do zatrzymania się w pędzie, wpadł na krzesło i przewrócił je. Potknął się, stracił równowagę i ciężko upadł na podłogę. Szpada wyleciała mu z ręki.

Vincent nie zawahał się ani przez moment. Pchnął znowu, mierząc ostrzem prosto w serce Jasona.

Mary krzyknęła głośno.

W ostatniej chwili Jason złapał krzesło i zasłonił się, blokując ostrze Vincenta. Wstał, chwycił szpadę i machnął nią z całej siły, siekąc Vincenta w ramię.

Vincent upuścił szpadę i złapał się za ranę. Wpatrywał się w Jasona. Na policzkach wykwitły mu dwie czerwone plamy, krew przepływała przez palce i kapiała na podłogę.

Jason, ciężko oddychając, oparł się na szpadzie.

Vincent upadł w zwolnionym tempie.

- Mam nadzieję, że wszystko zostało wyjaśnione - stwierdził zimno Jason.

Wyprostował się i wyciągnął rękę do Mary.

- Chodź, Mary.

Spojrzała na jego rękę, a potem na twarz.

- Ty potworze! Jak mogłeś! Nigdy za ciebie nie wyjdę!

Podbiegła i uklękła obok Vincenta.

- Cecilu, mój biedny, drogi przyjacielu, odezwij się, proszę!

Otworzył oczy i spojrzał na Mary.

- Czy... - zakaszłał. - Czy wyjdiesz za mnie?

Mary zawahała się na sekundę.

- Oczywiście, że tak. Jeśli naprawdę tego chcesz - dodała, obejmując go delikatnie.

Vincent rzucił okiem na Jasona ponad jej ramieniem.

Uśmiechnął się i wyszeptał:

- Przegrałeś, bratanku.

23

Mary odwróciła się, słysząc cichy jęk. Tuż za nią stał Jason, z bladą twarzą i oczami bardziej ponurymi i ciemniejszymi niż kiedykolwiek.

- Pójdę po lekarza - oznajmił cicho i wyszedł z pokoju.

Mary ścisnęło coś w gardle. Wszystko skończone. Jej zaręczyny z Jasonem naprawdę zostały zerwane. Oczy znów zapiekły ją od łez.

Cecil z jękiem zwrócił na siebie jej uwagę. Nagle jego ciało stało się bezwładne. Mary, zaniepokojona, objęła go mocniej, czując powiew zimnego powietrza.

- Jak się czujesz, Cecilu?

Otworzył oczy i zamrugał kilka razy, usiłując przyjść do siebie.

- Co... Co się stało?

Mary spojrzała na niego z troską.

- Ciii... straciłeś dużo krwi.

Rozejrzała się po pokoju i spostrzegła na stole złożoną serwetkę. Poszła po nią i pośpiesznie wróciła do Cecila.

- Pojedykowałeś się z Jasonem - powiedziała, przykładając lnianą serwetkę do poplamionej krwią koszuli.

Cecil zamknął oczy.

- Czy jestem martwy?

- Nie, skądże znowu!

Oderwała kawałek jego koszuli - z czerwonym krzyżem i pomogła mu usiąść, aby przywiązać opatrunek.

- Żyjesz i mamy się pobrać.

- Oświadczyłem ci się? - spytał Cecil, szybko otwierając oczy.

- Nie pamiętasz? - zapytała Mary marszcząc brwi.

- Pamiętam - odparł z wahaniem. - Ale... Ale to wszystko jest bardzo dziwne. Jakby mi się śniło. Jakbym był kimś innym.

- To musi być szok z powodu rany. Albo... - przerwała i przestała bandażować ranę. - Czy zmieniłeś zamiar, Cecilu? Może jednak nie chcesz się ze mną ożenić?

Cecil zmarszczył czoło i przez chwilę się nad czymś zastanawiał.

- Pamiętam... Może będziesz miała dziecko. Tak, musimy wziąć ślub. To doskonałe rozwiązanie. Powinienem być wcześniej o tym pomyśleć.

- Pomyślałeś o tym wcześniej - powiedziała Mary, zawiązując supeł.

- Ach, tak. Prawda.

Mary przysiadła na piętach, bacznie wpatrując się w jego twarz.

- Jesteś pewien, że nie zmieniłeś zdania? Wiem, że z twojej strony to wielkie poświęcenie.

- Żadne poświęcenie. Zrobisz mi przysługę, wyzwalając mnie od tych wszystkich swatających mnie nieustannie matek. Lubię cię, Mary. Nie jesteś taka, jak inne londyńskie damy.

- Nie, nie jestem - przyznała ze smutkiem.

Otworzyły się drzwi i wszedł doktor Scott, przebrany za rzymskiego gladiatora.

- Helsbury powiedział, że ktoś jest ranny...

Przerwał i rozejrzał się zdumiony po zdemolowanym pokoju.

- Wielki Boże! - wykrzyknął, gdy spostrzegł Cecila, ledwo widocznego w cieniu za stołem. - Ho, ho, a cóż my tu mamy? Czy mogłaby pani przynieść nam trochę światła?

Mary wzięła ze stołu ciężki kandelabr i trzymała go w górze, podczas gdy doktor rozdarł rękaw koszuli Cecila i odsłonił ranę. Mary przełknęła ślinę. Krew nadal leciała z rozciętej ręki. Doktor Scott szybko ją obejrzał, nie zadając zbędnych pytań.

- Masz pan szczęście, Parsell. Rana jest raczej powierzchowna - powiedział, obmywając ranę i bandażując ramię. - Powinien pan odpocząć przez parę dni, ale to nic poważnego. Zawołam służącego, żeby pomógł panu wejść na górę.

- Nie, nie trzeba. Dam sobie radę - powiedział Cecil, wstając z pewnym trudem. - Nic mi nie jest.

- Takim młodym głupkom nigdy nic nie jest - mruknął pod nosem lekarz i wyszedł, kręcąc głową.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Mary zwróciła się do Cecila.

- Ach, Cecilu, jakże mi przykro. To moja wina.

- Bzdura - odparł uśmiechając się słabo. - Cieszę się, że tak to wyszło. Będę miał żonę, która bardzo mi się podoba.

Zachwiał się na nogach.

- Niech pan będzie ostrożny, Cecilu!

Przytrzymał się oparcia krzesła.

- Proszę się nie martwić. Słyszała pani, co powiedział doktor. Rana jest powierzchowna. Na szczęście, ponieważ muszę zaraz wyjechać.

- Wyjechać? - powtórzyła tępo.

- Tak, muszę załatwić specjalne pozwolenie na nasz ślub. Czy pojedzie pani ze mną?

Mary wzdrygnęła się odruchowo.

- To chyba nie byłoby właściwe.

Cecil uśmiechnął się z lekką ironią.

- Ma pani rację, to byłoby bardzo niewłaściwe. Jeśli wyjadę zaraz, zdążę wrócić jutro wieczorem.

Z ukłonem wyszedł z pokoju, trzymając ramię nieruchomo przy boku.

Mary spoglądała za nim, czując, jak oblewają rumieniec. Cecil był prawdziwym dżentelmenem.

Będę dla niego dobrą żoną, obiecała sobie w duchu. Zasłużył na to.

Mary wróciła do holu. Przez otwarte drzwi sali balowej słychać było śmiech i muzykę. Nie była w stanie wrócić na bal. Unosząc tren sukni pospiesznie wbiegła na górę.

Kilka chwil później weszła do swego pokoju, gdzie zastała chodzącą tam i z powrotem Elizabeth. Jej jasna aura oświetlała pokój.

- Jesteś wreszcie! - zawołała Elizabeth. - Jason opowiedział mi, co zaszło. Nie mogę uwierzyć, jak bardzo pokpiłaś sprawę.

- To nie była moja wina... - obruszyła się Mary.

- Ty fujaro! - przerwała jej niegrzecznie Elizabeth. - Nie spostrzegłaś, że oświadczył ci się Vincent, a nie Cecil?

Mary opadła na łóżko.

- Vincent?

- Tak, Vincent. Dziwię się, że tego od razu nie zauważyłaś.

Mary przypomniała sobie zaskakujące zachowanie Cecila i to, że był skonfundowany pojedynkiem i oświadczeniami - i nic dziwnego! To był Vincent!

- O mój Boże! - mruknęła, patrząc w dywan.

- A zatem sama widzisz - powiedziała Elizabeth, stojąc przed Mary z rękami opartymi na biodrach. - Nie możesz za niego wyjść.

Mary podniosła głowę.

- Właśnie, że mogę - stwierdziła przez zaciśnięte zęby.

- Nie mów głupstw. Nie możesz wyjść za człowieka, który ci się nie oświadczył.

- Może nie oświadczył mi się na początku, ale zrobił to potem. Chce się ze mną ożenić i ja chcę za niego wyjść. Pojechał, aby dostać specjalne pozwolenie, i wróci jutro. Weźmiemy ślub pojutrze.

- Żartujesz! Przecież kochasz Jasona!

Mary dumnie uniosła brodę.

- Na pewno nie kocham tego aroganckiego, bezmyślnego brutala. O mało nie zabił Cecila.

Elizabeth wzniosła oczy do nieba.

- Mówiłam ci już, że Jason walczył z Vincentem.

- Ale to Cecil został ranny. Podjęłam decyzję. Wychodzę za Cecila.

Elizabeth, widząc upór Mary, o mało nie zrezygnowała z udziału w całym przedsięwzięciu. Powstrzymało ją jedynie wspomnienie własnego nieszczęścia.

- Poślubienie mężczyzny, którego się nie kocha, jest potwornym błędem. Może ci się wydawać, że wszystko się jakoś ułoży, ale kiedy będziesz miała na palcu jego obrączkę, zrozumiesz, że teraz on może cię dotykać i nie możesz mu się przeciwstawić... - Elizabeth zadrzała. - Pomyśl o tym. Mary. Mam nadzieję, że do jutra odzyskasz zdrowy rozsądek.

Pozostawiając Mary samą, aby mogła przemyśleć jej ostrzeżenia, Elizabeth udała się na poszukiwania Jasona.

Zajrzała do sali balowej. Goście tańczyli, rozbawieni, zupełnie nie zdając sobie sprawy z dramatu, który rozegrał się kilka metrów od nich. Jasona nigdzie nie było widać.

Elizabeth rzuciła okiem do jego sypialni, ale i tam go nie było. Pokój szermierczy także stał pusty.

Wreszcie znalazła go w bibliotece, gdzie przesuwiał figury na szachownicy wykonanej z hebanu i kości słoniowej. Wydawał się przeraźliwie opanowany.

Na jej widok wstał automatycznie, trzymając w dłoni figurę szachową.

- Wszystko skończone - powiedział. - Mary wyjawiała swoje uczucia. Nie ma o co walczyć.

Elizabeth obrzuciła go zimnym spojrzeniem.

- Będę udawać, że pan tego nie powiedział. Musi ją pan powstrzymać.

Jason potrząsnął głową.

- Dokonała wyboru.

- Musi ją pan powstrzymać - powtórzyła Elizabeth. - W przeciwnym wypadku wyjdzie za Cecila, a nie za pana.

Przepląnęła przez ścianę i biblioteka znów pograżyła się w ciemnościach, z jedną tylko świecą odpędzającą cienie.

Siadając Jason spojrzał na białą królową, którą trzymał w ręce.

Wyjdzie za Cecila, a nie za pana.

Nagłym ruchem zmiótł szachy na podłogę i skoczył na nogi. Wyszedł z biblioteki, wszedł na górę i ruszył korytarzem do błękitnego apartamentu.

Nie wahając się ani sekundy, jednym szarpnięciem otworzył drzwi tak gwałtownie, że uderzyły o ścianę.

Mary, która siedziała przy toalecie i przyglądała się pierścieniowi Helsburchów w świetle pojedynczej świecy, podniosła głowę. Odczuła dziwne déjà vu, gdy zobaczyła w drzwiach sylwetkę Jasona. Nadal miał na sobie bryczesy i koszulę z koronkami. Materiał ciasno opinał uda i ramiona; w cieniu widać było wyostrome rysy twarzy i pociemniałe oczy.

Sprawiał dzikie i ponure wrażenie. Wyglądał groźnie.

Pierścień wypadł jej z rąk na stolik. Serce zaczęło walić jak szalone. Usiłując nie okazać strachu, Mary spojrzała na Jasona z góry, starając się jak najlepiej naśladować wyniosłe spojrzenie lady Weldon.

- Hrabio wie najwyraźniej nie muszą pukać - stwierdziła oziębło.

Jason z trzaskiem zamknął drzwi i przeszedł przez pokój. Złapał Mary za ramiona, podniósł ją gwałtownie z krzesła i pocałował.

Przeszyło ją pożądanie. Usiłowała odepchnąć Jasona, nie poddać się namiętnym żądaniom jego ust. Zsunął dłonie z jej ramion i złapał ją za ręce, odpychając je do tyłu. Ustami powędrował po szyi aż do miejsca tuż nad bijącym jak oszalałe sercem. Zatrzymał się tam na chwilę i powrócił do warg Mary, całując ją głęboko, płomiennie, bez końca...

Całe otoczenie znikło i czuła tylko jego wargi na swoich. Pocałunek Jasona, jego dotyk wydawały się tak cudowne, tak dobre, tak właściwe...

Ale to przecież nie było właściwe. To błąd, straszny błąd!

- Nie!

Ze szlochaniem oderwała się od niego, usiłując zwalczyć jakiś bezwład, który ją ogarniał. Uderzyła w toaletkę, przewracając świecę. W pokoju zapanowała ciemność.

- Mary...

Głos Jasona płynął w ciemności, niski, głęboki, uwodzicielski, przypominając jej inną okazję, kiedy byli razem, we dwoje, po ciemku.

- Mary, pamiętasz, jak byliśmy zamknięci w lochu? Powiedziałeś, że lubisz ciemność, że wszystko wtedy wydaje się bogatsze, pełniejsze, intensywniejsze...

Jego głos miał takie same brzmienie, jak w lochu - miękkie, perswazyjne, nalegające i nieodparte. Mary znów zrobiła krok w tył, dotykając rękami aksamitnych zasłon. Materiał lekko zaszeleścił.

- Mary?

Jego głos był coraz bliżej.

- Pamiętasz wczorajsze popołudnie? Chciałbym znów tak się z tobą kochać, ale tym razem po ciemku. Chcę wiedzieć, jak to jest, kiedy cię całuję w ciemności, twoje usta, szyję, ręce...

Mary doskonale pamiętała język Jasona na dłoni, wargi na palcach, zmysłową rozkosz, o której dotąd nie miała pojęcia. I słowa wypowiedziane ochryplym głosem: wyobrażałem sobie, jak pieszczą mnie twoje palce...

- Byłaś cudowna. Myślałem, że nie dożyję chwili, kiedy zdejmę z ciebie te wszystkie ubrania. Te cholerne, podniecające, torturujące mnie ubrania.

Mary pamiętała, jak rozpiął jej suknię, całując jednocześnie w szyję, aż nagle, niecierpliwie zsunął ją w dół, odrywając dwa guziki.

- Wyglądałaś tak rozkosznie w gorsecie, w majtkach i w pończochach...

Pamiętała, jak odsunął brzeg koszuli i całował jej piersi. Jak przyciągnął ją do siebie i poczuła jego twardą męskość.

- Pamiętam, jak mnie dotykałaś...

Mary także to pamiętała. Klatka piersiowa i ramiona Jasona były twarde i gładkie, a włosy na jego piersi - szorstkie. Wydawał się taki silny, a ona rozkoszowała się tą siłą, tak różną od jej miękkości.

- Zdjąłem z ciebie resztę ubrania, a ty wyglądałaś... wyglądałaś po prostu przepięknie. Mógłbym ci się przypatrywać całymi godzinami.

Mary zacisnęła palce na aksamitnych zasłonach. Mrowiące ciepło rozlało jej się po skórze, jakby i teraz patrzył na nią naga. Sprawiał, że czuła się piękna. Godna pożądania. Zamknęła oczy, starając się powrócić do rzeczywistości.

- Musiałem cię pocałować. Poczuć twój smak. Smakowałaś tak słodko... Twoja szyja, piersi, brzuch i uda. Pamiętasz, jak całowałem twoje uda. Mary?

Nie mogła zapobiec wspomnieniom. Pamiętała, jak jego usta zbliżyły się niebezpiecznie do miejsca, w którym byli potem złączeni. Wówczas była zaszokowana, teraz jednak na samo wspomnienie, poczuła żar dokładnie w tym miejscu. O mało nie jęknęła.

- A potem rozpięłaś mi spodnie i ściągnęłaś je. Czy wiesz, jaka to była słodka tortura. Mary, kiedy twoje palce dotykały mnie i się o mnie ocierały? Kiedy twoja dłoń głaskała mnie tak miękko, tak delikatnie, tak prowokacyjnie? Z trudem to wytrzymałem.

Był taki... duży. Mary była jednocześnie zawstydzona i zaciekawiona. Czuła, że Jason zadrżał cały, gdy go dotknęła, i zrozumiała, że sprawia mu to przyjemność. I to ją ucieszyło.

- Niczego jednak nie da się porównać z twoją ciasną, gorącą wilgotnością... Nasze ciała tak doskonale do siebie pasowały. Byłaś cudowna. Mary. Kiedy wszedłem w twoją słodką głębię, myślałem, że jestem w niebie. I myślałem, że zostałaś stworzona specjalnie dla mnie.

Z początku trochę bolało, ale Jason był taki delikatny, taki cierpliwy. Wiedziała, że jest kochana. A potem i ona odczuła ten specyficzny rytm, to wrażenie, tę przyjemność...

- Nigdy wcześniej nie zaznałem takiej przyjemności, Mary. Pamiętasz tę przyjemność? Pamiętasz, Mary?

Zasłony poruszyły się, jakby dotknęła ich jeszcze jakaś ręka, ale Mary nie zwróciła na to uwagi. Ogarnęły ją wspomnienia czystej, intensywnej, niesłychanej przyjemności...

- Nie uciekaj, Mary. Chodź tutaj. Chcę się tylko z tobą kochać...

Objął ją w pasie ramieniem. Mary jęknęła, lecz zaraz poczuła jego usta, gorące i głodne, na swoich wargach. Miał smak dymu, brandy i soli. Pachniał mydłem i tytoniem, lekko używaną bielizną, męskim potem i znajomym odorem pożądania.

Jason podniósł do góry złotą suknię, aż do nagiej skóry ud. Nie miała na sobie halki, gorsetu, majtek, niczego, co by hamowało jego niecierpliwie dłonie.

Pogłaskał ją między udami i Mary krzyknęła. Wsunął palec w jej sekretne miejsce i poruszyła się pod jego dotykiem.

- Jesteś gorąca, mokra i ciasna - mruknął.

Zrobił coś przy spodniach i poczuła dotyk jego członka. Rękami złapał ją za pośladki, unosząc w górę. Nim zdążyła się zorientować, co się dzieje, już w niej był.

Mary wciągnęła powietrze. Przycisnął ją plecami do aksamitnych zasłon, wsuwając się na całą długość, a potem znów wysuwając.

- Obejmij mnie nogami w pasie - wychrypiał.

Wykonała jego polecenie. Z początku słyszała jedynie szybkie oddechy, tarcie skóry i poruszanie się złączonych ciał.

Po czym, na kilka chwil, dźwięki oddały pierwszeństwo miękkiemu, namacalnemu światu dotyku. Wszystko zmieniło się w koronki i aksamit. Jego koronkowy kołnierz dotykający jej piersi. Dotyk aksamitnych zasłon na plecach. Jego koronkowe mankiety na jej pośladkach. Aksamitne bryczesy przesuwane wzdłuż jej nóg. Koronka jego oddechu na jej wargach. Aksamit jego członka między jej udami...

Wrażenia stawały się coraz intensywniejsze. Jason wchodził w nią raz po raz, aż zaczęła dyszeć i jęczeć. Gdzieś głęboko powstawała ognista kula, która wreszcie wybuchła.

Jej ciałem wstrząsały kolejne fale przyjemności. Krzyknęła i wtedy, z ochryplym jękiem, Jason nappełnił ją swym nasieniem, przyciskając do siebie z całej siły.

I przyszedł koniec. Przyjemność powoli bladła. Mary, drżąc i bez tchu, nie mogła się poruszyć ani nic powiedzieć. Czuła bicie jego serca na piersi, żar jego ciała mokrego od potu. Nadal trzymał jej nogi wokół

swych bioder, nie wykazując chęci do postawienia jej na podłodze.

Z wyraźnym zadowoleniem, wciągnął głęboko powietrze.

- Jesteś moja - szepnął jej do ucha, władczo i triumfująco. - Moja. Jutro powiem Cecilowi, że za niego nie wyjdiesz.

Mary zeszywniała, cała namiętność gdzieś się ulotniła.

Cecil.

Wielkie nieba, co ona narobiła?

Odepchnęła Jasona.

- Puść mnie - powiedziała drżącym głosem.

Czuła, że Jason wpatruje się w nią intensywnie mimo ciemności.

- Czy coś się stało. Mary?

- Czy coś się stało? Czy coś się stało? - powtórzyła piskliwie. - Jak możesz o to pytać?

Powoli puścił jej nogi i postawił ją na podłodze, nadal przyciskając do atlasowych zasłon.

- Mary...

- Jak mogłam tak zdradzić Cecila? - wybuchnęła, starając się odepchnąć od siebie Jasona. - Był dla mnie taki dobry, taki miły. Ach, strasznie się wstydzę!

Jason nadal przytulał ją do siebie.

- Nie ma się czego wstydzić - powiedział ostrym głosem. - Jesteś moja. Oboje dobrze o tym wiemy. I twoje ciało o tym wie.

Wsunął nogę między jej uda. Mary nie mogła powstrzymać odruchowego jęku.

- Widzisz, Mary? Jesteśmy dla siebie stworzeni - stwierdził łagodniejszym tonem.

- Kiedyś może tak było. Zmieniłeś się, Jasonie.

Mary czuła napływające do oczu łzy.

Pocałował ją delikatnie.

- Nie, wcale się nie zmieniłem. To Vincent posiał w tobie zwątpienie.

- Nie, nie chodzi wcale o Vincenta. To ty. I ja. Nie rozumiesz?

- Rozumiem tylko to, że cię chcę. Zawsze chciałem - odparł Jason, marszcząc brwi.

- Kiedyś obchodziło cię to, czego ja chcę. Troszczyłeś się o innych. Teraz myślisz jedynie o sobie. Takie ma być nasze życie? Mamy się zajmować wyłącznie własnymi przyjemnościami, nie zwracając uwagi na innych, których możemy skrzywdzić? Sama siebie już teraz nie lubię.

Zapadła cisza.

Jason odsunął się od Mary. Suknia opadła. Mary, stojąc na drżących nogach, wpatrywała się w ciemność, usiłując dojrzeć kształt, cień sylwetki. Nie widziała niczego.

W chwilę później usłyszała cichy dźwięk krzesiwa uderzającego o hubkę. Mały płomyk pojawił się na kominku. Jason zapalił świecę i miękkie światło oświetliło pokój.

Odłożył krzesiwo na półkę nad kominkiem i ruszył w stronę Mary, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Mary przyłożyła dłoń do szyi i cofnęła się gwałtownie.

Jason przystanął, marszcząc brwi. Odwrócił od niej wzrok, spoglądając na toaletkę i na pierścionek Helsburch. Wziął go do ręki i przyglądał mu się z dziwnym wyrazem twarzy. Zaciśnął dłoń na klejnocie.

- Przepraszam - powiedział cicho.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Mary przez cały następny dzień nie wychodziła z sypialni. Po kolacji służąca poinformowała ją, że Cecil wrócił i chciałby z nią porozmawiać w bibliotece.

Powoli zeszła na dół.

Nie była w stanie spojrzeć mu w twarz. Cecil podszedł i pocałował ją w policzek.

- Dostałem pozwolenie.

Spojrzała na niego i szybko odwróciła oczy.

- Najpierw muszę panu coś powiedzieć. Wczoraj wieczorem coś się stało...

- Nie musi mi pani nic mówić - przerwał jej szybko.

- Muszę - odparła, unosząc głowę i walcząc ze łzami. - Nie będzie się pan chciał ze mną ożenić, kiedy powiem, co zaszło.

Ujął ją za rękę.

- Ani słowa więcej. Chcę się z panią ożenić. Nie obchodzi mnie, co się stało. Musimy zostawić za sobą przeszłość i myśleć o przyszłości.

Mary przycisnęła chusteczkę do oczu.

- Jest pan taki dobry. Taki uprzejmy. Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

- Nie, to ja mam szczęście. Niech pani nie płacze. Jutro weźmiemy ślub i wyjedziemy stąd.

- Jutro!

Mary z przerażeniem pomyślała, że wszystko dzieje się bardzo szybko, zwłaszcza po długich, spokojnych dniach, gdy była zaręczona z Jasonem.

- Ale... Ale przecież właśnie jutro miałam brać ślub z Jasonem. I wydaje mi się, że Jason niczego nie odwołał. Wszyscy przyjdą do kościoła, sądząc, iż pobieramy się z Jasonem.

- Jeśli przyjdą na ślub, nie możemy ich rozczarować. Nie ma powodu, abyśmy nie mieli się pobrać.

- Wszyscy będą zaszokowani, oburzeni...

- Niech będą. Ja się nie wstydzę tego, że żenię się z panią, i chcę, aby cały świat o tym wiedział. Najlepiej od razu stawić czoło tym plotkarzom.

- Sama nie wiem...

Mary spojrzała na niego z wahaniem.

- Będzie to dla mnie wielka przyjemność.

- Dobrze - powiedziała żałośnie. - Jeśli tak pan sobie życzy.

- Dziękuję - odparł całując ją w rękę. - A teraz proszę iść do łóżka. Przed nami wielki dzień.

Mary wróciła do pokoju. Wyjęła z szafy niebieską suknię i powiesiła ją na wieszaku. Dotknęła delikatnego haftu.

Poczuła, że coś w niej umarło.

Wybuchnęła płaczem, zakrywając twarz rękami.

Jason leżał na łóżku w swoim pokoju, wpatrując się w sufit i myśląc o tym, jak bardzo był szczęśliwy, gdy się dowiedział o swym dziedzictwie.

Zyskując naraz posiadłość, tytuł i pieniądze poczuł, że spełniło się jego marzenie. Z początku jednak nie myślał o tym zbyt wiele, ponieważ wówczas oznaczało to tylko jedno - że może się ożenić.

Może oświadczyć się Mary.

Pamiętał dzień, kiedy poprosił, aby została jego żoną. Szukał jej, żeby opowiedzieć o swoim szczęściu i

znalazł ją w ogrodzie, z kwiatami w ramionach. Był to najpiękniejszy widok, jaki w życiu widział - słońce oświetlało włosy Mary, która trzymała w ramionach żółte i pomarańczowe róże. Jej niebieskie oczy rozświetliły się na jego widok słodyczą, jakiej nigdy nie widział, słodyczą, która przeniknęła mu do serca, obiecując radość, jakiej nigdy nie czuł.

Była najlepszą osobą, jaką znał, cenniejszą niż jakiekolwiek bogactwa - dlaczego nie spostrzegł tego wcześniej? Dlaczego nie cenił jej tak, jak na to zasługiwała?

Ponieważ był głupcem. Zarozumiałym, aroganckim głupcem. Sprawił jej zawód. Gdybyż tylko miał jeszcze jedną szansę...

Ktoś zastukał do drzwi.

Jason usiadł na łóżku, wpatrując się w drzwi. Kto przyszedł tu o takiej porze? Serce zabiło mu szybciej. Czyżby? Czyżby Mary zmieniła zdanie?

Znów rozległo się stukanie.

Z nadzieją podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

Na progu stał Cecil z ponurą twarzą i zaciśniętymi ustami.

- Czy mogę wejść? - spytał zimno.

Nadzieja Jasona zmieniła się w popiół. Z równie zimnym wyrazem twarzy usunął się i wpuścił kuzyna do środka.

- Nie zabiorę ci dużo czasu. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli kiedykolwiek zbliżysz się do Mary, zabiję cię.

- Możesz spróbować.

Policzki Cecila pokryły się czerwienią.

- Jak możesz być tak nonszalancki? Nie widzisz, co zrobiłeś? Łamiesz jej serce. Jeśli w ogóle darzysz ją jakimś uczuciem, zostaw ją, na litość boską, w spokoju.

Dobitne słowa Cecila wbijały się Jasonowi w samo serce. Przypomnił sobie głos Mary, drżący z bólu i pomieszania.

Już nawet sama siebie nie lubię.

Co zrobił? Co takiego zrobił?

Jason odwrócił się, przybity poczuciem winy i żalu. Musi jej to wynagrodzić.

I w głębi serca wiedział, co to ma być.

- Dobrze - powiedział cicho. - Życzę wam wszystkiego najlepszego.

- Naprawdę? - spytał Cecil z niedowierzaniem.

- Tak.

Jason włożył rękę do kieszeni i zacisnął ją wokół przedmiotu, który się tam znajdował. Czuł, jak mu się wrzyna w dłoń, ale ten ból, w porównaniu z bólem serca, ledwo odczuwał.

- Cieszę się, że się z nią żenisz. Będzie z tobą o wiele szczęśliwsza.

Cecil zawahał się na moment, po czym kiwnął głową.

- Do widzenia, Jasonie - powiedział i wyszedł.

Jason wyjął rękę z kieszeni i powoli ją otworzył. Na dłoni leżał pierścień Helsburych.

Rubin błyszczał złym, diabelskim blaskiem.

Jason podszedł do okna, otworzył je i rzucił pierścień jak najdalej w ciemną, zimną noc.

Przez chwilę nie mógł odetchnąć. Przeszywał mu płuca straszny ból, ale ból w sercu, kiedy przyłożył czoło do chłodnej szyby, był jeszcze większy. Mary...

Dzień ślubu był jasny i słoneczny.

Elizabeth, która opanowała już sztukę znikania i pojawiania się zniecka, zmaterializowała się w pokoju Mary, wzbudzając wokół siebie jedynie kilka iskier.

Mary, gładząc muszlę, siedziała w halce przy toaletce.

- I co? - spytała Elizabeth, zakładając ręce na biuście odzianym w białą, jedwabną suknię. - Zmądrzałaś wreszcie?

Mary rozejrzała się. Elizabeth zmarszczyła czoło. Znikł gdzieś blask, który zdawał się emanować z tej dziewczyny. Jej usta wykrzywiły się w uśmiechu, ale oczy pozostały ciemne i smutne.

- Tak - odparła Mary. - Wychodzę za Cecila. - Żałuję, że w ogóle poznałam Jasona - dodała ciszej.

Elizabeth poczuła gwałtowny ból, gdy przypomniała sobie, iż sama wypowiedziała niemal dokładnie takie same słowa dwadzieścia pięć lat temu.

- Nie mów tak!

Mary spojrzała na nią ze smutnym zrozumieniem.

- Przedtem tego nie rozumiałam, ale teraz już wiem. Pani kochała Vincenta, prawda?

Elizabeth odwróciła się od niej bez słowa.

- Co się stało? - zapytała Mary. - Dlaczego zerwała pani zaręczyny?

- To długa historia - odparła Elizabeth, wpatrując się w rzeźbiony słupek baldachimu nad łóżkiem.

- Chciałabym ją usłyszeć - powiedziała Mary. - Po wszystkim, co się zdarzyło, chciałabym wiedzieć.

Elizabeth westchnęła.

- Nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Od początku - poradziła Mary, odkładając muszlę. - Czy zakochała się pani w nim od pierwszego wejrzenia?

- Ależ skąd! Jednakże było w nim coś takiego... - Elizabeth urwała, wpatrując się w przestrzeń. - Był... Ach, sama nie wiem. Ekscytujący, inny. Było w nim tyle życia, że inni mężczyźni wydawali się przy nim po prostu nudni. Przejawiał naturalnie wiele arogancji, zaloty stanowiły dla niego tylko zabawę. Doprowadzał mnie do szału, bo zamiast pisać dla mnie wiersze i błagać, abym za niego wyszła, radził mi przyjąć oświadczyzny jakiego biednego głupca, żeby reszta moich wielbicieli mogła odetchnąć. Nie cierpiałam go, lecz kiedy byliśmy gdzieś razem, nie mogłam się powstrzymać, aby na niego nie patrzeć ukradkiem. Przypuszczam, iż nie wyszlibyśmy poza wzajemne obelgi, ale pewnego razu postanowił mnie pocałować. I to był dla mnie koniec. - Nie łudziłam się, że zechce mnie poślubić - mówiła dalej. - Dość jasno wyrażał swe poglądy na temat małżeństwa. I bardzo się zdziwiłam, gdy któregoś dnia przyszedł w swym najelegantszym ubraniu. Miał w ręce jedną różę i poprosił, abym została jego żoną.

- Ach! - zawołała Mary. - Jakie to romantyczne!

Elizabeth uśmiechnęła się ironicznie.

- Prawda? Byłam niesłychanie szczęśliwa. Dopóki nie popełniłam błędu i nie poszłam z nim do łóżka.

Mary spuściła wzrok.

- Zmienił się potem. Stał się jeszcze bardziej zarozumiały. Mniej się przejmował moimi uczuciami. Jakby nagle zdobył całą władzę. Chciał szybkiego ślubu, ale ja nie chciałam się na to zgodzić. Pragnęłam mieć ślub kościelny w obecności rodziny i wszystkich przyjaciół. Przyznaję, iż było to dość głupie, czasami jednak chciałam wrócić do dawnych czasów. - Elizabeth potrząsnęła głową. - Strasznie byłam naiwna. Oczywiście, nie było powrotu, jednak zamiast się z tym pogodzić, walczyłam z nim, dopóki nie postawił mi ultimatum. Albo za niego wyjdę, albo mam mu zwrócić pierścionek. Zwróciłam pierścionek.

Mary zaparło dech w piersi.

Elizabeth uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Żałowałam tego do końca życia. Nie powtarzaj mojego błędu.

- Dziękuję, że opowiedziała mi pani swoją historię - powiedziała Mary. - Moja sytuacja jest jednak zupełnie inna.

- Wcale nie. Jeszcze nie jest za późno. Pomyśl o tym, co powiedziałam.

Mary z tragicznym wyrazem twarzy otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła ładna, hoża blondynka.

- Kathryn! - wykrzyknęła Mary, wstając z krzesła, żeby uściskać przybyłą. - Tak się cieszę, że cię widzę. Nie byłam pewna, czy będziesz mogła przybyć. Czy John z tobą przyjechał?

- Oczywiście. Musi być na ślubie swojej siostrzyczki. Właśnie przyjechaliśmy i od razu przyszedłam na górę z nadzieją, iż będę mogła porozmawiać z tobą w cztery oczy.

- Ach, tak?

Mary rzuciła okiem na Elizabeth.

Elizabeth skrzywiła się, ale zrozumiała, że Mary chce zostać sama ze swą bratową i posłusznie się zdematerializowała. choć nie opuściła pokoju, lecz poszybowała pod sufit, aby posłuchać, co Kathryn ma do powiedzenia.

- O czym chcesz ze mną mówić? - spytała Mary.

- O czym chcę z tobą mówić?! - zawołała Kathryn, rzucając jej zirytowane spojrzenie. - Nie sądzisz, że trochę się zdziwiliśmy, przyjechawszy na twój ślub z hrabią Helsburym i dowiedziawszy się, że nastąpiła zmiana pana młodego?

- Ach, to. Sprawy między mną a Jasonem się nie układały i ja... Postanowiłam wyjść za Cecila.

- Tak po prostu? - spytała z niedowierzaniem Kathryn.

- No... Tak.

- Nie wydaje ci się, że to trochę niespodziewane?

- Nie.

Kathryn spojrzała na nią badawczo.

- Jesteś pewna. Mary? Wiesz, że zawsze możesz do nas wrócić.

- Wiem, Kathryn - odparła z wymuszonym uśmiechem Mary. - Ale daję słowo, że robię to, na czym mi zależy.

- Bardzo dobrze - odrzekła Kathryn. - Twój brat i ja martwiliśmy się o ciebie, skoro jednak tego chcesz, to przyjmujemy twoją decyzję. Spotkaliśmy Cecila na dole. To miły człowiek.

- Bardzo miły - mruknęła Mary. - Jeden z najmiłszych ludzi, jakich znam.

W kąciку pod sufitem Elizabeth prychnęła gniewnie. Miły! Cecil może być jednym z najmiłszych ludzi na świecie, ale to nie zmienia faktu, iż Mary kocha Jasona...

Bez żadnego ostrzeżenia u jej boku ktoś się pojawił. Zaskoczona Elizabeth obejrzała się i zobaczyła Vincenta. Jego postać była bardzo niewyraźna, jakby miał mało energii.

- Czy coś się stało? - spytała z niepokojem. - Mamie wyglądasz.

- Martwisz się o mnie, Elizabeth? - zapytał z uśmiechem. - Jestem wzruszony.

Jej troska znikła.

- Dlaczego tu jesteś? Przyszedłeś triumfować? Czy może podglądać?

- Wygląda zdecydowanie lepiej bez ubrania - wycedził.

- Och, ty wstręciuchu! Zawsze byłeś obrzydliwym świntuchem.

- A ty jesteś, jak zwykle, czarująca. Założę się, że zatrąłaś życie Havershamowi.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie.

- Bądź uprzejmy się zamknąć. Usiłuję usłyszeć, co mówi jej bratowa.

Vincent uniósł brwi i zamilkł.

- Mam nadzieję, że nas odwiedzicie - mówiła Kathryn. - Serdecznie zapraszamy.

- Dziękuję - mruknęła Mary. - Jestem pewna, że przyjedziemy z prawdziwą przyjemnością.

Drzwi znów się otworzyły i weszła Beatrice w żółtej sukni.

- Ach, przepraszam. Nie chciałam przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz - powiedziała Mary z wymuszonym uśmiechem. - Lady Beatrice, to moja bratowa, Kathryn Goodwin.

- Miło mi panią poznać - powiedziała Kathryn.

Beatrice skinęła głową, po czym przeniosła wzrok na Mary.

- Mogę przyjść później.

- To nie jest konieczne.

Kathryn spojrzała pytająco na Mary.

- Czy chcesz, żebym pomogła ci się ubrać?

- Nie, dziękuję, Kathryn, dam sobie radę.

Kathryn zawahała się przez chwilę i skinęła głową. Uściskała Mary, szepcząc jej do ucha:

- Porozmawiamy po ślubie.

Beatrice zaczęła, aż drzwi zamknęły się za Kathryn.

- Dzień dobry. Mary. Widzę, iż nie jesteś jeszcze gotowa.

Przyjrzała się sukni leżącej na łóżku.

- To ciekawe. Chyba słusznie postąpiłaś, nalegając na własnoręcznie uszytą suknię. Pasuje do ciebie.

- Dziękuję - powiedziała bezbarwnym głosem Mary.

Beatrice podeszła i położyła Mary rękę na ramieniu. Mary zeszywniała, ale się nie odsunęła. Beatrice uśmiechnęła się miło.

- Chciałam ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro, iż sprawy między tobą a Jasonem się nie ułożyły.

- To miło z twojej strony.

- Muszę jednak stwierdzić, iż moim zdaniem podjęłaś słuszną decyzję. Nie chciałam mówić tego wcześniej, wydaje mi się jednak, że nie bylibyście razem szczęśliwi. Jasonowi potrzeba żony bardziej... wyrafinowanej. Cecil lepiej do ciebie pasuje. Będzie zadowolony z tego, co mu dasz. Życzę szczęścia wam obojgu.

- Dziękuję - powtórzyła Mary.

Poruszyła się lekko, odsuwając od Beatrice.

- Nie chciałam być niegrzeczna, lady Beatrice, lecz wołałabym teraz zostać sama. Możemy kontynuować tę rozmowę później.

- Naturalnie, Mary. Nie musisz przeproszać, rozumiem. I tak muszę już iść. Chcę poprosić Jasona, żeby po ceremonii w kościele zawiózł mnie do wioski. Muszę kupić perfumy i kilka innych drobiazków.

- Nie znoszę tego dziewczyniska - mruknęła Elizabeth do Vincenta, gdy Beatrice wyszła. - Lubi intrygować. Widziałam, jak się przyciskała do Jasona na balu maskowym. Bezczelna dziewczucha, jak tylko Mary odjedzie, rzuci się na Jasona.

- Tak jak ty na Havershama.

- Ja nie... Ach, wszystko jedno, możesz sobie wierzyć, w co chcesz. Rozmowa z tobą nie ma żadnego sensu. Dlaczego tu jesteś?

- Żeby się upewnić, że nie namówisz Mary do zmiany decyzji.

- Chyba nie mam na to wielkich szans - stwierdziła gorzko Elizabeth. - Możesz być z siebie dumny.

Vincent zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

- Idź stąd. Osiągnąłeś, co chciałeś. Skazałeś dwoje ludzi na zmarnowane życie i zaspokoileś swe egoistyczne zachcianki.

Vincent zacisnął usta.

- Moje egoistyczne zachcianki? - wybuchnął po chwili. - Dobre sobie! Chyba zapomniałaś, że zrobiłem to dla Jasona, a nie dla siebie.

- Sam w to nie wierzysz. Nigdy nie dbałeś o nikogo poza sobą. Wszystko musiało być zawsze tak, jak ty chcesz. Nie zamierzałeś dopuścić do tego, aby ktoś zajął twoje miejsce, prawda?

- Mówisz zupełnie jak Jason.

Vincent otworzył tabakierkę i wziął szczyptę tabaki.

- Może masz rację. Może oboje macie rację. A może był jeszcze inny powód? Może nie mogłem patrzeć na to, że inna kobieta miałaby zająć twoje miejsce?

Elizabeth zbladła gwałtownie.

- Nie wierzę ci...

Drzwi otworzyły się i weszła kobieta w różowej sukni z falbankami.

Elizabeth, walcząc ze łzami, oderwała oczy od Vincenta.

- Mój Boże - zawołała. - To przecież...

- Ciocia Sally! - powiedziała zaskoczona Mary. - Wyszła ciocia ze swojego pokoju!

Ciotka Sally rozejrzała się nerwowo, jakby szukając po kątach Vincenta.

- Jason prosił, żebym ci coś przekazała.

- Tak?

- Tak. Prosił, abym ci powtórzyła, że bardzo cię przeprasza i że więcej nie będzie ci się narzucał.

- Rozumiem.

Mary z trudem uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Dziękuję, że ciocia opuściła swój pokój, żeby mi to przekazać. Jestem cioci bardzo wdzięczna.

- Nie ma za co. Myślałam, że pomogę ci w ubieraniu.

Tym razem Mary uśmiechnęła się naturalniej.

- Dziękuję. Chętnie skorzystam z cioci pomocy.

Z rozjaśnioną twarzą ciotka Sally podeszła do łóżka i wzięła suknię. Pomogła Maryją włożyć i poprawiła fałdy spódnicy.

- Miałam długą rozmowę z Jasonem - powiedziała.

- Ach, tak?

Ciotka Sally zaczęła zapinać długi rząd guziczków z tyłu sukni.

- Tak. Powiedział mi, że rozmawiał z Vincentem i Vincent nie jest już na mnie zły.

Mary nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

- I postanowiła ciocia wyjść ze swego pokoju?

- Nie od razu. Nadal się denerwowałam, ponieważ się bałam, że Vincent jakoś się dowie, iż to ja kazałam zanieść portret Elizabeth do lochu. Jednakże Jason powiedział coś, co mnie przekonało.

- Co takiego?

- Powiedział, że skończył remont wdowiego domu. Eugenia i Beatrice się tam przenoszą i Jason potrzebuje

kogoś, kto prowadziłby mu dom. Poprosił mnie o tę przysługę. To ja zajmowałam się domem przed przyjazdem Eugenii - wyjaśniła ciotka Sally z lekkim rumieńcem na policzkach. - I całkiem dobrze dawałam sobie radę.

Mary przyglądała się jej uważnie. Wyglądało na to, że ciotka Sally bardziej bała się lady Weldon niż ducha. Ciekawe, czy Jason również na to wpadł?

Mary zamrugwała oczyma. Może Jason miał rację? Może powinna zaufać jego osądowi?

- Pomyślałam, że pójde także na twój ślub, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała ciotka Sally.

- Oczywiście, że nie mam! - zawołała Mary. - Sprawi mi ciocia wielką przyjemność.

- Skoro wychodzisz za mąż, chcę przy tym być. Z radością wezmę udział w uroczystości ślubnej - powiedziała, robiąc krok w tył. - Proszę, moja droga. Pięknie wyglądasz. Bardzo ci ładnie w niebieskim.

Mary spojrzała do lustra. Suknia była trochę staromodna - miała wąskie rękawy i wąską spódnicę - choć ciotka Sally się nie myliła: było jej ładnie w niebieskim. Suknia była skromna i słodka, taka jak kiedyś Mary. Przyjrzała się delikatnym szwom, wspominając długie godziny spędzone przy robocie. Wspomniała także miłość w sercu, nadzieję i marzenia na przyszłość.

Pod powiekami poczuła piekące łzy.

- Co się stało, moja droga? - spytała z troską ciotka Sally.

- Nic, ciociu.

Mary odwróciła głowę, starając się ukryć łzy. Jason... Kochany Jason. Tak bardzo go kochała. Gdyby...

- Mary, ty chyba nie płaczesz?

- Nie, ciociu.

Mary miała tak ściśnięte gardło, że z trudem mogła coś powiedzieć. Oczy piekły ją coraz bardziej.

- Mary - powiedziała z rozpaczą ciotka Sally - nie płacz. Nie mogę tego znieść. Za bardzo mi to przypomina Elizabeth.

Elizabeth zeszywniała. Vincent spojrzał na nią z zainteresowaniem.

Mary zamrugwała oczami, żeby odpędzić łzy.

- Elizabeth? - powtórzyła.

- Mimo wszystko pozostałyśmy przyjaciółkami. Byłam jej druhną. Pomagałam jej ubierać się do ślubu z Havershamem. Przez cały czas była strasznie rozstrojona. Wyglądała przez okno, jakby na kogoś czekała. - Ciotka Sally włożyła rękę do kieszeni i na czymś ją zacisnęła. - Podczas uroczystości Elizabeth zachowywała się dziwnie, wciąż spoglądając w stronę drzwi. Trzeba jej było podpowiadać słowa małżeńskiej przysięgi. Tak długo milczała nim powiedziała „tak”, że wszyscy myśleli, iż w ogóle się nie odezwie. Gdy uroczystość się skończyła, poszłam na górę, żeby pomóc jej się przebrać. Kiedy zostałyśmy same, zaczęła płakać. Nie szlochała na głos, lecz wielkie łzy leciały jej po policzkach. Ja też zaczęłam płakać, choć sama nie wiedziałam dlaczego.

Elizabeth, mimo odwróconej w bok twarzy, czuła na sobie wzrok Vincenta.

- Elizabeth - powiedział.

Bez słowa wyleciała przez drzwi na korytarz.

26

Vincent dogonił Elizabeth u szczytu schodów. Ta kobieta w przeszłości sprawiła mu wiele cierpienia, lecz była także źródłem nieopisanego radości. Vincent czuł się tak, jakby się znajdował na skraju przepaści: miał wrażenie, że niebawem pozna odpowiedź na pytanie, którego szukał od dwudziestu pięciu lat.

- Dlaczego płakałaś? - spytał.

- Każda panna młoda płacze w dzień ślubu - odparła Elizabeth, nadal na niego nie patrząc.

- Ach, tak? - powiedział, przysuwając się bliżej, tak, że poczuł ciepło jej aury. - Czy naprawdę dlatego

plakałaś, Elizabeth?

- A z jakiego innego powodu?

- To właśnie chciałbym wiedzieć. Powiedz mi, Elizabeth, dlaczego plakałaś?

- Ja... Och, jeśli chcesz wiedzieć, to myślałam, że mnie powstrzymasz. Wysłałam ci ten okropny list i byłam pewna, że przyjedziesz - wyjaśniła, podnosząc na niego zapłakane oczy. - Dlaczego nie przyjechałeś? Dlaczego?

- Chciałem przyjechać, naprawdę. - Vincent, wstrząśnięty bólem, jaki zobaczył w jej oczach, cofnął się o krok. - Naprawdę. Była burza. Koń mnie zrzucił i wpadłem do rzeki. Utonąłem po paru minutach.

- Och, Vincencie, nie miałam o tym pojęcia.

- Może dobrze się stało. Jestem pewien, że byłaś bardzo szczęśliwa z Havershamem.

- Nasze małżeństwo było pechowe. Planowaliśmy podróż poślubną we Włoszech, ale w dwa dni po wypłynięciu nasz statek zatonął w czasie burzy. Wszyscy utonęli.

- Mój Boże! - zawołał Vincent, podchodząc bliżej. - Nikt mi tego nie powiedział. Tak mi przykro!

- Właściwie dobrze się stało. W pewnym sensie przyniosło mi to ulgę. Haversham nie był ze mnie zadowolony.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, iż był niesłychanie szczęśliwy. Powinien był być zadowolony przynajmniej przez te dwa dni.

- Jego szczęście trochę przybladło, kiedy okazało się, że od pierwszej chwili na statku cierpię na morską chorobę.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy cię nie dotknął? - spytał ze zdumieniem Vincent.

- Prawdę mówiąc, było mi niedobrze bardziej na myśl o tym, że Haversham miałby mnie dotknąć, niż od kołysania statku.

- Nigdy nie lubiłaś, żeby cię dotykać.

- Nieprawda.

Vincent gorzko się roześmiał.

- Nie udawaj teraz, że mnie chciałaś. Za każdym razem, kiedy cię dotykałem, byłaś dla mnie odpychająca.

- Bałam się, ty cymbale. Czy to tak trudno zrozumieć? Za każdym razem, kiedy mnie dotykałeś, cała się roztopiałam. A ty z tego skorzystałeś, Vincencie. Nie możesz zaprzeczyć.

- Nie chciałem cię wykorzystywać.

Vincent zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Chciałem się z tobą ożenić i kochać się z tobą, Elizabeth. Czy było w tym coś z tego? - Przeszedł kilka kroków i zatrzymał się tuż przy niej. - No, powiedz, Elizabeth.

- Nie, Vincencie - szepnęła, z oczyma błyszczącymi od łez. - Ale chciałam czegoś więcej. Wydawało mi się, że łączy nas tylko fizyczne pożądanie. Nie dbałeś o nic ponadto.

Vincent spojrzał na jej twarz, tak piękną, że aż bolało go serce.

- Ja... - zaczął ściśniętym głosem.

Brakowało mu słów. Zawsze brakowało mu słów. Usiłował to nadrobić swoim zachowaniem. Chciałby i teraz wziąć ją w ramiona, całować ją, kochać...

Nie mógł. Teraz zostały mu jedynie słowa. Słowa, których nie potrafił wymówić, kiedy żył.

Może już nigdy nie będzie miał następnej szansy. Musi jej powiedzieć. Musi.

Musi.

Zaczerpnął powietrza...

Nie potrafił.

Nie był w stanie wypowiedzieć tych słów. Zwłaszcza teraz, gdy nie wiedział, jak Elizabeth zareaguje. Gdy jej odpowiedź mogłaby go skazać na wieczny ból i cierpienie.

- Co takiego, Vincencie?

- Nic. To nic ważnego. Dla nas jest już za późno, Beth.

Miękki blask jej twarzy znikł, jakby coś w niej zgasło.

- O wiele za późno - przytaknęła, wznosząc ku niemu oczy. - Możemy jednak zrobić coś dla Jasona i Mary. Wiem, że się kochają. Nie możemy pozwolić, aby skończyli tak jak my.

Vincent był smutny i zmęczony. Nie uważał już, że musi uchronić kolejnego hrabiego Helsbury'ego od małżeństwa. Wszystkie te lata, kiedy usiłował zapobiec małżeństwom swych braci, wydały mu się nagle puste i zmarnowane.

- Przypuszczam, iż powinienem naprawić szkody, jakie do tej pory wyrządziłem - powiedział z namysłem. - Mimo tego, co sobie o mnie myślisz, zależy mi na szczęściu bratanka. Cóż jednak możemy zrobić? Mary ma wyjść za Cecila za niecałą godzinę.

Elizabeth bezradnie spojrzała na Vincenta. W milczeniu odwzajemnił jej spojrzenie.

Tylko cud mógł im pomóc. I oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Niestety, na żaden cud się nie zanosilo.

- Musimy z nimi porozmawiać - stwierdziła Elizabeth po długiej chwili ciszy.

Vincent uniósł brwi.

- Oboje są szalenie uparci.

- Musimy przynajmniej spróbować - nalegała Elizabeth. - Proszę cię, Vincencie. Idź do Jasona, ja porozmawiam z Mary.

Vincent zawahał się, wzruszył ramionami i znikł.

Elizabeth wróciła do błękitnego apartamentu. Ciotka Sally wciąż tam była. Rozmawiała z Mary i wpinała jej kwiaty we włosy.

- Sama wyhodowałam te dzwonki. Mary, i pomyślałam, że będą doskonale pasować do twojej sukni. Podobają ci się?

- Tak - mruknęła Mary.

- Zazdroszczę ci małżeństwa - mówiła dalej ciotka Sally. - Zawsze miałam nadzieję... Cóż, tak się nie stało. Nigdy nikomu tego nie mówiłam, ale kiedyś podobał mi się książę Stafford. Niestety, byłam pulchna i brzydka, a on kochał lady Helen. Ogromnie rozpacział, gdy umarła, tak przynajmniej słyszałam.

Elizabeth zdawało się, że minęła wieczność, nim ciotka Sally w końcu wyszła, żeby sprawdzić, czy powóz już zajechał.

Natychmiast się zmaterializowała.

- Mary, nie możesz wyjść za Cecila.

Zdumiona Mary podniosła oczy.

- Już o tym rozmawialiśmy. Moja decyzja jest nieodwołalna.

- Jason cię kocha. I ty kochasz jego. Czy możesz zaprzeczyć?

Mary wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem opuściła głowę.

Elizabeth westchnęła z ulgą.

- A zatem nie wyjdiesz za Cecila? Zerwiesz z nim?

Mary zacisnęła usta.

- Nie. Zamierzam za niego wyjść.

- Co? Nie rozumiem! Dlaczego?

Mary przesunęła dłonią po sukni z niebieskiego jedwabiu.

- Kiedy Jason mi się oświadczył, nie zastanawiałam się nad tym, jaką pozycję będę zajmować jako jego żona. Jason nie byłby tylko moim mężem. Jest odpowiedzialny za mieszkańców i dzierżawców w swoim majątku, ma obowiązki w parlamencie. Wydaje mi się, że chciał mnie o tym uprzedzić, lecz go nie zrozumiałam. To nie w porządku wobec niego, Elizabeth. Jemu potrzebna jest prawdziwa hrabina. Ktoś, kto potrafi odpowiednio przyjąć księcia Stafforda. Ktoś, kto będzie mu pomagał w jego obowiązkach towarzyskich. Ktoś, kto woli Paryż od morza. Nie można go obarczać zwykłą Mary Goodwin.

- Ma zatem zrezygnować z kobiety, którą kocha?

Mary ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Znajdzie sobie kogoś innego.

- A ty? Czy też tak łatwo sobie kogoś znajdziesz? Nie bądź głupia. Przecież go kochasz.

- Właśnie dlatego, że go kocham, nie mogę zostać jego żoną. Nie mogłabym zrobić czegoś, co by mu zaszkodziło.

- Powóz zajechał - oznajmiła Sally wchodząc do pokoju.

Elizabeth bezradnie przyglądała się, jak Mary wychodzi. Cóż mogła powiedzieć w obliczu takiego altruizmu?

Robisz błąd - powiedział Vincent, obserwując Jasona, który uderzył w niewidzialny cel. - Nie wypuszczaj jej z rąk.

Jason przeciął szpadą powietrze.

- Dlaczego tak nagle zmieniłeś zdanie, stryju?

- Zrozumiałem, że nie mam racji - wymamrotał Vincent.

- Ty? Nie masz racji? Czy ja dobrze słyszę? Chyba jesteś chory, stryju.

Vincent zazgrzytał zębami.

- Musisz mnie wysłuchać.

- Słucham cię uważnie.

- Kochasz Mary, a ona kocha ciebie. Ożeń się z nią.

- Nie mogę - odparł Jason, wlepiając wzrok w swoją szpadę. - Skrzywdziłem ją wczoraj wieczorem. Mary mi tego nigdy nie wybaczy. Miałeś rację, stryju, kiedy powiedziałeś, że życie tutaj ją zmieni. Jak mogę krzywdzić kobietę, którą kocham?

- Nie bądź tak cholernie szlachetny.

- Wcale nie jestem szlachetny. Idź sobie, Vincencie. Nie mam ochoty rozmawiać z tobą na ten temat.

Vincent spojrział na niego ze złością. Jason był nieprawdopodobnie uparty.

Zszedł do jadalni, gdzie czekała na niego Elizabeth.

- I co? - zapytała, spoglądając nań z nadzieją.

Vincent potrząsnął głową.

- Przyznaje, że kocha Mary, ale uważa, iż unieszczęśliwiłby ją, gdyby się z nią ożenił. Nie da się go przekonać.

- Ach, mój Boże! Mary przyznała, że kocha Jasona, ale twierdzi, iż nie nadaje się na jego żonę - powiedziała Elizabeth ze łzami w oczach. - Tak bardzo się kochają. Są tacy dobrzy, tacy szlachetni, tacy...

- Głupi - dokończył Vincent, chodząc wokół stołu. - I co my z tym zrobimy?

- Nie wiem. Oboje są okropnie uparci. A przecież zostali dla siebie stworzeni. Tymczasem Mary wychodzi

za Cecila.

- Musimy znaleźć sposób, aby nie dopuścić do ślubu.

- Jak? - spytała Elizabeth, załamując ręce.

Vincent zastanawiał się przez chwilę. Wystraszył już tyle różnych narzeczonych kolejnych hrabiów Helsburchów, że jeden ślub nie powinien mu sprawić większych trudności.

- Chodź ze mną, Elizabeth - powiedział ponuro. - Coś wymyślę...

28

Kościół był pełen. Mary przyglądała się zgromadzonym tłumom, ale nigdzie nie widziała Jasona.

W pierwszej ławce siedziała lady Weldon. Nawet z tej pozycji potrafiła patrzeć na Mary z góry. Obok niej siedział książę Stafford, a z jego drugiej strony - Beatrice z radosnym uśmiechem na twarzy.

- Mój Boże - powiedziała ciotka Sally, rozglądając się wokół. - Jeszcze nigdy nie widziałam tu takich tłumów. I nic dziwnego. To miał być pierwszy ślub hrabiego Helsbury'ego od czasu, gdy żenił się ojciec Vincenta, ponad pięćdziesiąt lat temu.

Ciotka Sally wsunęła rękę do kieszeni. Zawahała się na moment, a potem wyciągnęła złoty medalion.

- Skąd ciocia to ma? - spytała zdumiona Mary, rozpoznając medalion Elizabeth.

- Dostałam go od Elizabeth zaraz po jej ślubie z Havershamem. Prosiła, żebym oddała medalion Vincentowi, kiedy jednak wróciłam do Helsbury House, już nie żył.

- Co w nim jest?

- Nie wiem. Zapięcie się zacięło. Kiedyś chciałam je otworzyć, ale mi się nie udało - powiedziała, podając medalion Mary. - Wiem, że Elizabeth przywiązywała do niego dużą wagę. Chcę, żebyś go wzięła.

- Jest ciocia pewna?

Ciotka Sally skinęła głową i włożyła medalion na szyję Mary.

Mary podziękowała jej ze łzami w oczach. Ciotka Sally mocno ją uściskała i pośpiesznie usiadła w ławce za lady Weldon, obok brata i bratowej Mary.

W kościele zapanowało jakieś poruszenie. Mary spostrzegła Cecila, który wszedł bocznym wejściem i zajął miejsce przed ołtarzem. Uśmiechnął się do Mary, gdy ją zobaczył.

Zmusiła się, żeby odwzajemnić jego uśmiech. Cecil był naprawdę dobrym człowiekiem. Miłym i delikatnym. Wiedziała, że będzie z nim szczęśliwa.

Odetchnęła głęboko i podeszła przed ołtarz, zajmując miejsce u boku Cecila.

Wziął jej rękę w obie dłonie.

- Rozmawiała pani z Jasonem? - zapytał szeptem.

- Nie. Dlaczego?

- Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem. Powiedział, że życzy nam wszystkiego najlepszego. I że się cieszy, że wychodzi pani za mnie, bo jestem lepszy od niego i będzie pani ze mną szczęśliwsza.

Mary przyglądała mu się kompletnie zaskoczona. Jason to wszystko powiedział? Znowu poczuła napływające do oczu łzy.

Cecil przyglądał jej się z przyjemnością.

- Czy będzie pani ze mną szczęśliwsza. Mary?

- Ja... Ja... Oczywiście.

Mary spojrzała w dół, na ich splecione palce. Będzie szczęśliwa z Cecilem. I będzie dla niego dobra. Za parę lat zapomni o Jasonie...

Quimby dał znak komuś stojącemu w cieniu. Mężczyzna podeszedł do ołtarza i zapalił świece. Mary zatkało, kiedy go poznała.

To był Blevins, mężczyzna, który prosił Jasona o zajęcie we młynie.

- Cecilu - szepnęła. - Skąd się tu wziął pan Blevins?

- Wydaje mi się, że jest wikarym u Quimby'ego. Jason dowiedział się, że dawno temu Blevins przyjął święcenia, i namówił Quimby'ego, żeby go przyjął na pomocnika.

Mary w milczeniu przyjęła tę wiadomość. A zatem wszystko zostało załatwione - Blevins miał pracę, a Quimby mógł dopilnować, żeby za dużo nie popijał.

Pastor chrząknął.

- Drodzy przyjaciele, zebraliśmy się tutaj, aby w obliczu Boga i nas wszystkich połączyć tego oto mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim.

Mary poczuła, że coś ściska ją w gardle. Jason jednak wysłuchał jej prośby. Zawsze starał się postępować sprawiedliwie i uczciwie. Od samego początku ujął ją swą dobrocią. Może to, że został hrabią, tak bardzo go nie zmieniło?

- Celem małżeństwa jest prokreacja, unikanie grzechu...

Mary przycisnęła rękę do brzucha. Tak będzie najlepiej dla wszystkich, powiedziała sobie, walcząc ze łzami.

-... wzajemna pomoc i wspólna radość. Obecne tu dwie osoby chcą zawrzeć święty związek małżeński. Jeśli ktoś ze zgromadzonych wie o jakiejś przeszkodzie w zawarciu małżeństwa, niech wystąpi albo na zawsze zachowa to dla siebie.

W kościele panowała cisza. Łzy płynęły po policzkach Mary. Za późno...

Rozległ się głośny grzmot.

Mary spojrzała w okno nad ołtarzem. W tej samej chwili za oknem zrobiło się ciemno.

Zabrzmiał następny grzmot i gwałtowny wiatr uderzył w kościół. Gwizdał w szparach w drzwiach i pod dachem. Wierni poruszyli się niespokojnie w ławkach. W kościele się ściemniło.

Quimby rozejrzał się niespokojnie i pochylił nad modlitewnikiem.

- A zatem...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do kościoła wpadł podmuch gwałtownej wichury z deszczem i ze śniegiem. Ludzie nie wierzyli własnym oczom. Wiatr zerwał Mary wianek z głowy i zburzył jej fryzurę. Cecil objął ją ramieniem, starając się zasłonić przed atakiem wichury. Quimby z trudem zrobił kilka kroków do tyłu. Kobiety przytrzymały rękami szale i kapelusze. Kilku mężczyzn usiłowało zamknąć drzwi, ale wiatr wyrwał im je z rąk.

Na dachu kościoła Elizabeth, w czarno-srebrnej sukni, spojrzała na Vincenta z szacunkiem.

- Jak ty to robisz? - spytała, obserwując go z podziwem.

- To sprawa odpowiedniej koncentracji - wyjaśnił.

Klasnął w ręce i rozległ się grzmot. Dmuchnął i wiatr zawiał z nową siłą.

- Podziwiam cię.

Vincent uśmiechnął się, robiąc pauzę na nabranie powietrza w płuca.

- Zobacz, co się dzieje w kościele. Długo tak nie pociągnę.

Elizabeth kiwnęła głową i zajrzała do kościoła.

Ludzie wydzielali się, żeby przekrzyczeć wiatr. Dwóch mężczyzn nadal walczyło z drzwiami. W jednej z ławek ktoś cicho płakał.

Ciotka Sally.

- Wiedziała, że nie powinnam była wychodzić z pokoju. To moja wina!

- Nic podobnego - powiedział przez ramię księżę Stafford. Wstał i walcząc z wiatrem i z deszczem przesiadł się na miejsce koło ciotki Sally.

- Uspokój się, Sally - powiedział, poklepując ją po ręce. - Jestem pewien, że to nie twoja wina.

Lady Weldon spojrzała na nich z wściekłością. Beatrice miała identyczny wyraz twarzy.

Mary zbladła, ale zachowała spokój.

- Niech pan kontynuuje, pastarze! - zawołała, przekrzykując zawodzący wiatr.

Pastor spojrzał na nią jak na wariatkę. Rzucił okiem na Cecila, który zawahał się i skinął głową.

Quimby w rozwianych szatach pochylił się i wlepił wzrok w modlitewnik.

- Co to ja mówiłem?

Elizabeth, marszcząc brwi, wycofała głowę z kościoła.

- Nic nie pomaga - powiedziała. - Mary jest całkiem spokojna, za to Sally wpadła w histerię. Myśli, że sprowadziłeś burzę, aby ukarać ją za wyjście z pokoju. Co zrobiłeś tej biednej kobiecie?

Vincent przestał dmuchać. Wiatr ucichł i deszcz ustał.

- Zapewniam cię, że nic. To lady Weldon wmówiła jej moją zemstę.

- Koszmarna kobieta! Nigdy jej nie lubiłam.

Vincent wzruszył ramionami.

- Dostanie, na co zasłużyła. Zajrzyj jeszcze raz do kościoła. Spróbuję czegoś innego.

Elizabeth znów wsunęła głowę do środka.

Ludzie znacznie się uspokoiłi. Panowie wycierali ławki chusteczkami. Panie usiłowały doprowadzić do porządku ubrania.

Pastor odchrząknął.

- A, już mam...

Nim zdążył coś jeszcze powiedzieć, ziemia zakołysała mu się pod nogami. Złapał rękami pulpit.

Mary chwyciła Cecila za ramię, żeby się nie przewrócić. Jedno z okien rozbiło się na drobne kawałeczki. Część osób usiłowała wejść pod ławki. W kościele rozległy się przerażone okrzyki.

- Trzęsienie ziemi!

- Koniec świata!

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

- Może powinniśmy odłożyć ślub? - powiedział wstrząśnięty Cecil.

- Nonsens - stwierdziła Mary ze złością. - W końcu muszą przestać.

- Kto? - spytał Cecil, już lekko przestraszony.

Elizabeth potrząsnęła głową z desperacją.

Vincent namyślał się przez chwilę, a potem skinął dłonią.

- Chodź ze mną, Elizabeth. Mam pomysł.

Razem przeniknęli przez dach do kościoła.

Ziemia przestała drżeć.

Mary uśmiechnęła się niepewnie do Cecila.

- Widzi pan? Możemy kontynuować.

Cecil, wciąż niespokojny, szepnął coś pastorowi i biedny, blady Quimby skinął głową. Otworzył usta.

- Oooooooooochchchchchch!

Quimby szybko zamknął usta. Rozejrzał się wokół z niepokojem. Zebrani - jedni coś do siebie szeptali, inni płakali z powodu szoku - umilkli.

Dziwny dźwięk znów wypełnił kościół.

- Oooooooooochchchchchchchchch

Ludzie patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczyma.

- OOOOOOOOooooooooochchchchchchchchch!

- To duch Helsburch! - zawołał ktoś z tyłu. – Jesteśmy zgubieni!

W kościele znów rozległy się przerażone okrzyki. Wszyscy wstali i ruszyli do drzwi.

- Duch Helsburch! Duch Helsburch! - wołali w panice.

Zadzwoniły łańcuchy. Wiatr przeleciał środkiem kościoła, przekrzywiając kapelusze i podwiewając w górę suknie.

Panował coraz większy chaos. Jakiś człowiek pierwszy dobiegł do drzwi i zaczął manipulować przy zatrasku. Tłum napierał mu na plecy i las rąk wyciągnął się do otwierania drzwi, wzajemnie sobie przeszkadzając.

Wysoko, nad głowami ludzi, rozległ się szaleńczy śmiech.

Zamek ustąpił, drzwi się otworzyły. Tłum, wrzeszcząc i piszcząc, wysypał się na dziedziniec. Jedni wskakiwali do powozów, inni, nie czekając nawet, aż powóz podjedzie, uciekali piechotą.

Elizabeth i Vincent stali w drzwiach kościoła i przyglądali się uciekającemu tłumowi. Elizabeth uśmiechnęła się do Vincenta, rzucając mu spojrzenie pełne podziwu.

- Jesteś naprawdę świetny.

- Mam dużą praktykę - odparł Vincent skromnie.

Lekkim dmuchnięciem zatrzasnął drzwi kościoła i odwrócił się do ołtarza. Z wrażenia aż go zatkało.

Elizabeth podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła bladego jak śmierć pastora stojącego nieruchomo przy ołtarzu. Przed nim wciąż stali Mary i Cecil.

Elizabeth z niedowierzaniem rozejrzała się po kościele i zauważyła, że wcale nie wszyscy uciekli. W jednej ławce siedział brat Mary z żoną, w innej modliła się na głos ciotka Sally, w jeszcze innej obok starszej kobiety siedzieli młodzi ludzie trzymając się za ręce.

- Cynthio, Peregrine, dlaczego ci wszyscy ludzie sobie poszli? - spytała starsza pani głośno, tak jak zazwyczaj mówią głusi ludzie. - To doprawdy bardzo niegrzecznie.

W innej ławce jakaś kobieta ciągnęła męża za rękaw.

- Bardzo cię proszę, Trumball. Chodźmy stąd. Boję się.

- Nic się nie bój. Przyjechaliśmy na hrabiowski ślub i na pewno go zobaczymy. Nawet jeśli pan młody jest tylko kuzynem hrabiego. Muszę powiedzieć, że to nie w porządku. Zwabia się nas tutaj pod pretekstem ślubu hrabiego, a potem załatwia się sprawę kuzynem. Skoro jednak jesteśmy, to już zostaniemy. Duch nie duch.

W pierwszej ławce lady Weldon i Beatrice zadzierały nosy do góry, jakby chciały pokazać duchowi, że wcale się go nie boją. Za nimi księżę Stafford nachylił się do ciotki Sally i powiedział głośnym szeptem:

- Na zamku Stafford mamy także kilka duchów.

- Na co pan czeka, pastorze? - spytała Mary spokojnie.

Quimby otrząsnął się z osłupienia.

- Mhm. Gdzie to ja byłem? - powiedział lekko drżącym głosem.

Zrozpaczona Elizabeth odwróciła się do Vincenta.

- Nie udało się. Wszystko na nic. Nie możemy ich powstrzymać.

- Nie mów tak. Nie poddamy się, Elizabeth.

- Co jeszcze można zrobić? Nawet jeśli przeszkodzimy im teraz, wyjadą i wezmą ślub gdzie indziej. Przegraliśmy, Vincencie.

Vincent zmarszczył czoło. Nie chciał tego głośno przyznać, lecz Elizabeth miała rację.

- Ach, tak - wymamrotał pastor. - Już mam. Jeśli ktoś z tu zgromadzonych wie o jakiejś przeszkodzie w zawarciu małżeństwa, niech wystąpi albo na zawsze zachowa to dla siebie. Quimby rozejrzał się nerwowo po cichym i niemal pustym kościele.

- A zatem...

Drzwi otworzyły się szeroko.

Na progu stał Jason.

29

Wszyscy zgromadzeni gapili się na Jasona z szeroko otwartymi ustami i oczami.

Pan Trumball podciągnął spodnie.

- No i co o tym myślisz?! - zawołał do żony. - Przypuszczałem, że Helsbury, po tym, jak panna Goodwin go rzuciła, nie pokaże nam się na oczy. To bardzo ładnie, moim zdaniem, że przyszedł na ślub.

- Nie podoba mi się wyraz jego twarzy - szepnął księżę Stafford ciotce Sally.

Elizabeth była dokładnie przeciwnego zdania. Wyraz twarzy Jasona po prostu ją zachwyił.

- Zatrzymaj ich - ponagliła Vincenta. - Pospiesz się.

- Najmocniej przepraszam, pastorze - powiedział Jason, podchodząc bliżej ołtarza. - Nie chciałem przeszkadzać.

Podszedł do ławki, w której siedzieli ciotka Sally i księżę Stafford i usiadł obok nich. Beatrice uśmiechnęła się do niego przez ramię.

W kościele znów zapanowała cisza. Elizabeth czekała z nadzieją, że Jason coś powie.

Tymczasem Jason kiwnął tylko głową pastorowi, żeby sobie nie przeszkadzał.

- Elizabeth - zaczął Vincent.

W jego głosie brzmiało podniecenie. Elizabeth spojrzała nań z zainteresowaniem.

- Może masz rację - powiedział. - Chyba popełniliśmy błąd, starając się nie dopuścić do ślubu.

- Błąd? - powtórzyła. - O co ci chodzi?

Vincent uśmiechnął się do niej wesoło.

- Chodzi mi o to, że powinniśmy się postarać, aby ślub doszedł do skutku...

Mary spoglądała na Jasona i głupia nadzieja powoli znikwała z jej serca. Przez chwilę, gdy wszedł, myślała...

Wiedziała, że kocha Jasona, od czasu balu maskowego, kiedy pozwoliła, aby się z nią kochał, ale do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo. Dobroć Jasona dla ciotki Sally, Cecila i Blevinsa, sprawiła, iż Mary wstydziła się swych wcześniejszych wątpliwości. Kochała go tak bardzo, że myślała, iż serce jej pięknie, choć wiedziała też, że nigdy mu tego nie powie. Nie nadaje się na żonę dla Jasona, który potrzebuje prawdziwej hrabiny.

Pastor chrząknął.

- Hm, co to ja mówiłem? Aha, już mam. A zatem, jeśli któreś z was wie o jakiejś przeszkodzie, uniemożliwiającej wam zawarcie małżeństwa, niech teraz to wyjawi.

Mary przygryzła wargę. Chciała się rozplakać, wiedziała jednak, iż nie może tego zrobić. Musi być dzielna...

Nagle poczuła, że coś się z nią dzieje. Jej usta otworzyły się bezwiednie.

- Istnieje pewna przeszkoda - powiedziała.

Słowa Mary zaskoczyły wszystkich, łącznie z nią samą. Nieliczne osoby, pozostałe w kościele, zaczęły coś do siebie szeptać. Otworzyła usta, żeby odwołać to oświadczenie, kiedy nieoczekiwanie dla siebie samej powiedziała coś zupełnie innego:

- Nie mogę wyjść za Cecila.

Szmer rozmów przybrał na sile.

Quimby zamrugał oczyma.

- Nie może pani? Dlaczego?

- Ponieważ kocham Jasona.

Publiczność zatkało z wrażenia. Mary odwróciła się i spojrzała bezradnie na zaszokowanych ludzi. Jej błagalny wzrok padł na Jasona.

Bardzo blady wstał z miejsca.

- Ona nie wie, co mówi - wyjąkał.

Nagle jego ciało zadrżało i przemówił ponownie:

- To znaczy, chciałem powiedzieć, że ja też kocham Mary i chcę się z nią ożenić.

Szepty zmieniły się w głośne okrzyki. Ciotka Sally uśmiechnęła się radośnie. Lady Weldon spoglądała na otoczenie z dezaprobatą, Beatrice była wściekła, książe Stafford nie bardzo rozumiał, co się dzieje.

Pastor nie posiadał się ze zdumienia.

- To wszystko jest niezgodne z przepisami. Pan się na to zgadza? - spytał zdumionego Cecila.

- Chyba tak. Jeśli Mary tego chce.

Mary zacisnęła usta, ale jej głowa sama kiwała potakująco.

Cecil przyglądał jej się przez chwilę, a potem się uśmiechnął. Delikatnie pocałował ją w policzek i odszedł, zajmując miejsce w ławce, które zwolnił Jason.

- Nie! - krzyknął Jason. - To nie jest...

Urwał i zamknął usta. Szedł do ołtarza dziwnymi krokami, jakby go ktoś popychał.

Kiedy stanął obok Mary, dziewczyna spojrzała na niego z niepokojem.

- Co się dzieje? - szepnęła. -

- Vincent i Elizabeth najwyraźniej postanowili wziąć sprawę w swoje ręce - syknął przez zaciśnięte zęby. - Musimy walczyć...

Jego głowa odwróciła się do pastora.

- Niech pan robi, co należy, pastorze - powiedział głośno.

Quimby przyglądał mu się niepewnie.

- To bardzo dziwne. Muszę zacząć od początku.

- Proszę bardzo - powiedział Jason.

Quimby znów chrząknął.

- Drodzy przyjaciele...

Tym razem mówił znacznie szybciej, rzucając nerwowe spojrzenia na Mary i na Jasona. Mary starała się zaprotestować, ale usta odmawiały jej posłuszeństwa. Spojrzała spod oka na Jasona. Twarz wykrzywił mu grymas, jakby i on próbował coś powiedzieć.

- Czy bierzesz tę kobietę za żonę? - spytał Quimby Jasona. - Czy będziesz ją kochał, szanował i opiekował się nią w zdrowiu i w chorobie? I zapominając o innych będziesz tylko z nią aż do śmierci?

Jason nie odpowiedział. Mięśnie jego twarzy wykrzywiały się w najokropniejszy sposób.

- Ja... Ja... Tak.

Ostatnie słowo, wydarte mu jakby siłą, zabrzmiało jak okrzyk.

Zdenerwowany pastor zwrócił się do Mary.

- Czy bierzesz tego mężczyznę za męża? Czy będziesz mu posłuszna, czy będziesz mu służyć, kochać go, szanować i opiekować się nim w zdrowiu i w chorobie? I zapominając o innych będziesz tylko z nim aż do śmierci?

- Ja... Ja... Ja...

Pastor patrzył na nią przerażony.

- Ja... Ja... Ja...

Jason ścisnął ją za rękę.

Wszyscy ludzie pochylili się do przodu.

Niewidzialne dłonie otworzyły jej usta.

- Ja... Ja... Ja... Tak.

Wszyscy obecni westchnęli. Pastor otarł czoło.

- Czy ma pan obrączkę? - spytał Jasona.

Jason zawahał się, a potem zdjął z małego palca złotą obrączkę swej zmarłej matki. Bardzo powoli nałożył ją Mary na palec.

- Zważywszy, że Jason i Mary złączeni zostali przed Bogiem świętym węzłem małżeńskim, czego wszyscy byliśmy świadkami, oraz wymienili obietnice małżeńskie i obrączki, ogłaszam ich mężem i żoną. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Mary pochyliła głowę. Była bardzo osłabiona i oszołomiona. Została żoną Jasona.

Jej serce wypełniła wielka radość.

Elizabeth spojrzała na mężczyznę u swego boku. Jego wewnętrzna poświata gwałtownie rozbłysła, nakładając rysy Vincenta na twarz Jasona. Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- Wygląda na to, że zasłużyłem na pocałunek.

Elizabeth roześmiała się perliście.

Vincent też się roześmiał, ale po chwili jego śmiech umilkł. Wziął jej rękę w swoje dłonie.

- Elizabeth - powiedział ochryple. - Chyba ci nie mówiłem, że...

- Tak? - spytała bez tchu.

- Ja... Ja... Och, do diabła z tym wszystkim! Kocham cię, Beth. Zawsze cię kochałem i zawsze będę cię kochał.

W oczach Elizabeth zabłyśły łzy.

- Och, Vincencie!

- Do diabła, Beth, tylko tyle masz mi do powiedzenia? Dwadzieścia pięć lat czekałem, żeby cię zapytać i teraz musisz mi odpowiedzieć. Kochasz mnie?

- Oczywiście, Vincencie. Zawsze i na wieki.

- Pocałuj mnie, Beth.

Spełniła jego prośbę z sercem przepelnionym miłością.

Vincent odwzajemnił jej pocałunek z miłością, której tak długo zaprzeczał.

Kiedy się całowali, medalion, który Elizabeth nosiła na szyi, otworzył się i wyleciały z niego płatki róży, wypełniając cały kościół słodkim zapachem.

Horace Quimby poluzował palcami kołnierzyk, usiłując nie patrzeć na parę, którą miał przed sobą. Pomyślał, że w kościele zrobiło się okropnie gorąco. Upał znów mu chyba zaszkodził. Mógłby przysiąc, że

mówili do siebie „Elizabeth” i „Vincencie”. I że się świecili.

- Mhm. Musimy jeszcze odśpiewać psalmy, moje dzieci. Macie dużo czasu na... inne działania.

Światłość wokół nich wzmogła się, aż w powietrzu ukazały się iskry. Była już tak jasna, że ludzie musieli osłaniać oczy. Światła poszybowały w górę, po czym się połączyły i znikły z jaskrawym błyskiem, zostawiając za sobą słabą poświatę.

Jason przestał całować Mary i spojrzął jej w oczy.

Powoli, jednocześnie, obrócili się do ludzi zgromadzonych w kościele.

Wszyscy się w nich wpatrywali.

- O, mój Boże - mruknęła Mary.

Jason objął ją ramieniem.

Nagle wziął ją na ręce i wyniósł z kościoła, zostawiając za sobą zdumioną publiczność.

30

Jason umieścił Mary w powozie i usiadł przy niej. Woźnica ruszył z kopyta, o mało co nie zrzucając Mary z siedzenia.

Jason przytrzymał ją ramieniem.

- Wielki Boże, co ja najlepszego zrobiłem?

Mary odwróciła wzrok. Nie mogła złapać tchu, miała rozwiane włosy i potarganą suknię.

- Chyba się ze mną ożeniłeś. Wydaje mi się jednak, że bez trudu będziemy mogli wystąpić o unieważnienie małżeństwa. Możemy przysiąc, że wzięliśmy ślub wbrew naszej woli.

- A jakże - powiedział ironicznie Jason. - Powiemy, że nie byliśmy przy zdrowych zmysłach i że duchy zmusiły nas do małżeństwa.

Nadal obejmował ją w pasie, gładząc materiał sukni.

- Musimy coś zrobić - stwierdziła cicho Mary.

- Tak, musimy - przytaknął. - Chyba że chcemy zostać małżeństwem.

Mary nie podnosiła głowy, nie chcąc, aby Jason zobaczył Jej łzy.

- Nie, to niemożliwe.

- Niemożliwe? - powtórzył Jason, zaciskając dłoń na jej talii. - Nawet gdybym powiedział, że cię kocham?

Mary spojrzała na Jasona. Wyglądał zupełnie inaczej. Na jego twarzy malował się czuły wyraz miłości.

Mary rozplakała się.

- Proszę, nie. Nie zniosę tego dłużej.

- Dlaczego? To prawda. Kocham cię, Mary. Wiem, że dużo od ciebie oczekuję. Wiem, że będziesz musiała wieść życie pełne uciążliwych obowiązków. Wiem, że może mnie z tego powodu znenawidzisz. Ale kocham cię, Mary.

- Och, Jasonie, nie rozumiesz? Nie mam nic przeciwko obowiązkom, ale ja nie pasuję do ciebie. Powinieneś ożenić się z damą, która jest wyniosła i piękna... Powinieneś się ożenić z prawdziwą hrabiną.

- Jesteś doskonałą żoną.

- Nie, nie jestem. Nie mam pojęcia o modzie i nie lubię chodzić na przyjęcia, gdzie muszę uważać na to, co mówię. Nie możesz mnie kochać.

- Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Twoje wesołe usposobienie i śmiech rozjaśniają moje ponure życie.

Wzięła go za kłapy surduta.

- Wolę morze od Paryża.

- To pojedziemy nad morze. Możemy być niemodnie szczęśliwi. Kocham cię Mary.

- Ja też cię kocham. I postaram się być dobrą hrabiną.

- Mary...

- Tak?

- Pierwsza zasada to być cicho, kiedy hrabia chce cię pocałować.

Mary, z sercem wezbranym miłością, objęła męża za szyję i udowodniła, że potrafi doskonale grać rolę hrabiny.

Epilog

Quimby, przekonany, iż wydarzenia w kościele były znakiem od Boga, zmienił się i jeździł z hrabstwa do hrabstwa, przekonując ludzi, że zbliża się koniec świata. Jego miejsce w Helsbury zajął Blevins, który zyskał wielką popularność wśród parafian, jako człowiek rozumiejący ludzkie ułomności.

Cecil przeżywał rozterki przez parę miesięcy, po czym doszedł do wniosku, iż woli Mary jako żonę kuzyna niż własną żonę i zaczął znów szaleć w towarzystwie, aż poznał pewną ładną brunetkę, która zabrała mu serce.

Lady Beatrice po stracie Jasona znalazła sobie nową ofiarę - księcia Stafforda. Jej matka, lady Weldon, nie była zachwycona konkurencją ze strony własnej córki i obie damy bez przerwy się kłóciły. Kiedy zaprzestały na jakiś czas awantur i znów pojawiły się w towarzystwie, ze zdumieniem dowiedziały się, że Sally Parsell skradła im księcia sprzed nosa. Lady Weldon tak się zdenerwowała, iż dostała ataku apopleksji i umarła. Nawet na łożu śmierci czyniła wymówki Beatrice, przysięgając, że nigdy jej nie wybaczy.

Kilka miesięcy później zmarła pani Trumball i Beatrice, która nie miała innych widoków, wydała się za pana Trumballa. Jednakże małżeństwo nie było udane, gdyż za każdym razem, kiedy pan Trumball usiłował kochać się z żoną, widział przed oczyma nieprzychylną twarz teściowej. Małżeństwo pozostało bezdzielne.

Mary i Jasonowi urodziły się bliźnięta, którym dali na imię Vincent i Elizabeth. Dzieci towarzyszyły rodzicom w podróżach do Francji, do Włoch i do Austrii, najbardziej jednak lubiły wyjeżdżać na wakacje do małego domku nad brzegiem morza, gdzie ich rodzice spędzili miodowy miesiąc.

W jadalni w Helsbury House portrety Vincenta i Elizabeth zawisły obok siebie, a na stoliku pod ścianą zawsze stał wazon ze świeżymi kwiatami.

Legenda mówi, że kwiaty te nigdy nie więdną i są tak wieczne, jak miłość wszystkich właścicieli Helsbury i ich żon.